



VERONICA SJÖSTRAND KRAK

ALTHEA
MOLIN
2



Przekład Michał Bolek

**VERONICA
S|ÖSTRAND
KRAĞ**

Przekład Michał Bolek



Tytuł oryginału: *Kretsen*

Przekład z języka szwedzkiego: Michał Bolek

Copyright © Veronica Sjöstrand, 2024

This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S, Copenhagen 2024

Projekt graficzny okładki: Anders Timren

Redakcja: Anna Poinc-Chrabąszcz

Korekta: Aneta Iwan

ISBN 978-91-8034-997-0

Konwersja i produkcja e-booka: www.monikaimarcin.com

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S

Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K

www.gyldendal.dk

www.wordaudio.se

Drobne, niemal mikroskopijne płatki śniegu wirują, spadając z czarnego nieba. Pontusowi przyszła ochota, żeby łąpać je na język jak w dzieciństwie. Uśmiechnął się sam do siebie i podciągnął odrobinę zamek kurtki. Miał za sobą ciężki tydzień, ale postąpił właściwie. Wybrał właściwie. Wszystko się ułoży. Skręcił w niewielką przecznicę łączącą parki Kungsträdgården i Berzeliusa. Wcisnął dłonie głęboko w kieszenie i pochylił głowę. Nagle poczuł, jak coś twardego i zimnego przyciska się do jego skroni. Zesztywniał na całym ciele. Bicie serca zadudniło mu w uszach. Duża dłoń w rękawiczce chwyciła go za ramię, obróciła i przyparła do kamiennego muru. Mężczyzna stojący naprzeciwko był wysoki i barczysty. Pod obszerną czarną peleryną przeciwdeszczową Pontus dojrzał parę jasnych oczu i – mógłby przysiąc – uśmiech. Rozglądał się rozpaczliwie za kimś w pobliżu, za kimkolwiek, kto by mu pomógł, ale ulica była zupełnie pusta. Zanim Pontus zdążył zawołać na pomoc, mężczyzna przycisnął jego głowę do chropowatej ściany budynku i owinał mu ramię wokół szyi. On z całych sił spróbował nabrać powietrza, ale mu się nie udało. Przed oczami wystrzeliły mu białe iskry. Poczuł, jak drży na całym ciele, i przestał się kontrolować. Po nogach spłynął mu ciepły mocz. Usłyszał głuchy huk. A potem wszystko spowiła czerń.

Ciało Pontusa Olssona upadło na chodnik. Wysoki mężczyzna pochylił się i wcisnął mu w usta złożoną kartę. Następnie odszedł szybkim krokiem, powstrzymując się jednak od biegu. Przy najbliższym koszu na śmieci zdjął czarną pelerynę i ją zgniótł. Pod spodem miał czarny płaszcz zimowy sięgający do ziemi, czarne trzewiki i zrobioną na drutach czapkę. Rękawiczek nie ściągnął. Poszedł w dół ulicy, a potem przez park Berzeliusa. Wszędzie panowała cisza. Płatki śniegu wciąż wirowały w powietrzu. Topiły się natychmiast po wylądowaniu w ciemnoczerwonej kałuży, która powstała na chodniku.

Kiedy chuchałam na dłonie w rękawiczkach, żeby się rozgrzać, oddech zmieniał się w wielką chmurę. Stałam pośrodku mostu Strömbron i zmrużonymi oczami wpatrywałam się w połyskującą wodę. Widziałam nieprzerwany strumień opatulonych ludzi sunący przez wąską kładkę prowadzącą do Moderna Museet. Chwiałam się na zdrętwiałych palcach u stóp. Był pierwszy naprawdę słoneczny dzień od dawna. Kiedy tylko zobaczyłam, jak przez okno sypialni wpada żółtobiałe zimowe światło, włożyłam koszulkę polo, długi, gruby płaszcz z wełny oraz mocne trzewiki na wysokim obcasie i wyszłam z domu, słuchając Andrei Bocellego na słuchawkach iPoda. Dobrze się złożyło, bo i tak przed południem miałam się spotkać z Emelie pod bankiem Lindstein.

Przeszłam przez most i zatrzymałam się w okolicach dolnej części Kungsträdgården. Tuż obok wielkiego kręgu drzew znajdował się skwer z prostokątnymi, schludnie przyciętymi krzewami bukszpanu. Dokładnie nad prostą krawędzią żywopłotu wystawały maleńkie róże w kolorze ciemnego, zgaszonego różu, a brzegi ich płatków oprószone białym szronem iskrzyły się w słońcu. Mróz zakonserwował kwiaty. Stałam tak i długo się im przyglądałam. Kiedy obchodziłam klomb, żeby zobaczyć je z drugiej strony, prawie wdepnęłam w zamrożone wymiociny. Pamiątka po którymś z gości Café Opera. Obróciłam się na pięcie i poszłam dalej, mijając ślizgawkę z hałaśliwymi łyżwiarzami.

Duet Madonny i Justina Timberlake'a leciał z głośników lodowiska na cały regulator i ostro wbijał się w subtelne tony *Ave Maria* w moich słuchawkach. Wokół tafli zbudowano całe miasteczko składające się z czerwonych miniaturowych domków. Mocno kontrastowały ze snobistycznymi, niedostępnymi fasadami otaczającymi park. Wokół placu jedyny pokrzepiający widok stanowił kościół Świętego Jakuba w żywym pomarańczowo-czerwonym kolorze, sąsiadujący z Café Opera. Skręciłam w stronę budynku z grubo ciosanego szarego kamienia z wielkimi czarnymi kratami w oknach. Emelie stała przed drzwiami i rozmawiała przez zestaw słuchawkowy ukryty pod czarnym kapeluszem w stylu lat dwudziestych. Spod ronda wystawały jej blond włosy. Mówiła z ożywieniem, śmiała się i gestykulowała. Brązowe oczy lśniły. Zastanawiałam się, kto jest na drugim końcu linii. Kiedy weszłam na chodnik i do niej pomačałam, pożegnała się, wyłączyła telefon i mocno mnie uściśnęła.

– Właśnie rozmawiałam z Fredrikiem Hesslowem z banku. Spotka się z nami za dziesięć minut. Carl przyjdzie trochę później.

– Co to za Fredrik? Dyrektor?

– Dyrektorem jest Carl. To o nim ci wcześniej opowiadałam, że wygląda jak horrorowa wersja pana Burnsa z *Simpsonów*. Hesslow jest kontrolerem, a poza tym prawą ręką Carla, że się tak wyrażę. To moja osoba do kontaktu.

– Aha. I na pewno fajny facet – odparłam, kiwając znacząco w stronę jej telefonu.

– O tak! – odpowiedziała Emelie z szerokim uśmiechem. – I w sumie przystojny. A do tego singiel. Z moim szczęściem na pewno jest gejem. – Emelie przewróciła brązowymi oczami. – Zdążymy sprawdzić, gdzie zginął Pontus Olsson, jeśli jeszcze chcesz.

– Jasne.

Emelie wskazała drogę, po czym weszłyśmy w pobliski zaułek. Machnęła w głąb ulicy. Znajdował się tam granatowy kontener na odpady budowlane. Był pokryty bazgrołami i otoczony rozwalonym płotem. Pod ścianą stał przepełniony kosz na śmieci.

– Jakbyś poszła dalej, trafisz do parku Berzeliusa i hotelu Berns. Tutaj go zastrzelono. Za kontenerem.

Weszłyśmy za płot. Na chodniku rozpościerała się wielka ciemna plama. Wciąż wisiała tu biało-niebieska taśma policyjna. Dzisiaj był poniedziałek, a ciało jakaś kobieta z psem znalazła wczesnym rankiem w sobotę. Popatrzyłam w obie strony. Miejsce można było dojrzeć z parku Berzeliusa, ale z Kungsträdgården już nie. Na kilku zaciemnionych szybach po jednej stronie ulicy widniało logo Chinateatern. Po drugiej stronie wysoko w górze było otwarte okno, a wewnątrz pomieszczenia wisiały lśniące patelnie.

– Raczej niezbyt dogodne miejsce, żeby do kogoś strzelać. – Podrapałam się w głowę pod czapkę z daszkiem. – Chociaż oczywiście, w środku nocy, w środku zimy jest tu na pewno dość pusto. Ale i tak wymagało to sporo chłodnej kalkulacji albo kompletnego szaleństwa.

Emelie pokiwała głową.

– W zeszyły piątek Pontus wyszedł z banku jako ostatni. Było w okolicach jedenastej. Około siódmej rano w sobotę policja zatelefonowała do Tommy’ego, współlokatora Pontusa, który też jest technikiem w banku. Od razu do mnie zadzwonił.

– Dlaczego? – Przestępowałam z nogi na nogę i uderzałam się skrzyżowanymi ramionami, żeby się rozgrzać.

– Odpowiadam przecież za bezpieczeństwo banku, w tym danych. Jeśli policja zechce sprawdzić komputer służbowy Pontusa, a chciała, dopilnuję, żeby przy okazji nie dotarły do niej żadne tajemnice biznesowe.

Emelie miała własną firmę o nazwie Infosec zajmującą się bezpieczeństwem danych. Zatrudniała w niej pięciu pracowników. Lindstein był ich największym klientem. Dodała:

– Popędziłam do banku i zrobiłam kopię twardego dysku Pontusa. A potem sama zaczęłam w nim trochę grzebać, no i... – Zaśmiała się sucho, kopiąc pognieciony jednorazowy kubek. – Wtedy się zorientowałam, że mam problem. – Podeszła do mnie i wsunęła mi rękę pod ramię. – Całe szczęście, że możesz pomóc. Liczę na to, że kiedy wytrzasnę im profilerkę, chociaż trochę się ucieszę.

Ścisnęłam jej dłoń.

– Jasne. Od czego są przyjaciele?

– Mam nadzieję, że nie musiałś niczego przeze mnie odwoływać.

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową.

– Bez obaw. Raczej nikt nie zasypuje mnie pracą.

Zaczęłyśmy powoli kierować się w stronę banku.

– Myślałam, że pracujesz dla Modusa.

– Tak, robię trochę analiz jako freelancerka, ale raczej nie za dużo. To bardzo miłe ze strony Toma, że chciał mnie zostawić w firmie. Ciągle jeszcze marudzi, żebym wracała. Ale nie chcę się przeprowadzać do Nowego Jorku, a jego zespół woli oczywiście zaangażować pracownika, z którym można odbywać spotkania stacjonarnie. Ja też bym wolała. – Rozłożyłam ramiona. – Znalezienie pracy w Szwecji graniczy z cudem. Baza klientów nie jest zbyt duża.

– Policja, policja albo policja, tak?

– Coś w tym rodzaju. Ale od tamtej sprawy zeszłego lata nie zadzwonili.

Dotarliśmy pod wejście do banku. Emelie otworzyła ciężkie przeszklone drzwi i weszłyśmy do pomalowanej na biało sali o wysokim suficie. Na drugim końcu pomieszczenia pięły się ogromne spiralne schody. Wyglądało jak w hotelowym lobby. Nigdzie nie było widać skrytek ani tablicy elektronicznej z czerwonymi cyframi. Wielki plakat głosił:

Działamy na 100%

Obsługa – bezpieczeństwo – internet

– Myślałam, że w całym tym halo z Lindsteinem chodzi o to, że nie ma biur – powiedziałam do Emelie, rozglądając się dookoła.

– Bo nie ma. Wszystkie pozamykali dwa lata temu. To jest siedziba główna, tutaj spotyka się wewnętrzny krąg bankowców i kluczowych klientów. Prawdziwe szychy. Innymi słowy, to miejsce do wręczania łapówek przy lunchu i zawierania potajemnych układów.

Podążyłam za Emelie do białego kontuaru wypolerowanego na wysoki połysk. Kiedy szłyśmy po jasnej kamiennej podłodze, rozległa się echem stukanie naszych wysokich obcasów. Recepcjonistka wpisała nas na listę, dała mi identyfikator gościa i wskazała dwa duże fotele o wysokich oparciach, obite czerwonym materiałem firmy Marimekko. Zdjęłyśmy szaliki, rękawiczki i czapki, po czym usiadłyśmy. Chociaż powinnam powiedzieć, że ja zdjęłam brązowy kaszkiet, dzianinowe rękawice i długi jaskrawoczerwony szalik. Emelie natomiast kapelusz w stylu lat dwudziestych, czarne skórzane rękawiczki i apaszkę marki Pucci w różnych odcieniach zieleni. Nikt nie mógłby nam zarzucić, że za sprawą trwającej ponad dwadzieścia lat znajomości jedna upodobniła się za bardzo do drugiej. Emelie spojrzała na zegarek, a potem na mnie.

– Spotkanie nie powinno za długo potrwać. Zjemy u mnie potem brunch? Wstawiłam do lodówki ciasto do wyrośnięcia.

– Do lodówki? To tam cokolwiek wyrośnie?

– No... Nie pytaj, jak to się dzieje. To zbyt skomplikowane dla tak kulinarnie upośledzonej jak ty.

Przewróciłam oczami.

– Tak, tak, obrażaj mnie, obrażaj, śmiało!

Brunch u Emelie wart był kilku przytyków. Uwielbiała brunchy tak bardzo, że właściwie przyrządzała je o każdej porze dnia i nocy.

Po pięciu minutach podszedł do nas jakiś mężczyzna. Lśniące blond włosy zaczesał na karku w długi, ciasny kucyk i miał orzechowobrazowe oczy. Ubrany był w białą koszulę, kamizelkę i dopasowany jasnoszary garnitur ze srebrnymi guzikami mankietów. Eleganckie, minimalistyczne oprawki, także srebrne. Sygnet na małym palcu. Poruszał się z mieszanką delikatności i siły, która niezupełnie pasowała do oficjalnego stroju.

– Fredrik Hesslow – podał mi rękę z uprzejmym uśmiechem i popatrzył w oczy.

– Althea Molin.

Uścisk jego dłoni był mocny i przyjemny. Fredrik i Emelie gawędzili ze sobą, kiedy wspinaliśmy się po wielkich spiralnych schodach w drodze do bankowego biura.

– Wchodźcie i siadajcie, ja tylko poproszę o kawę – powiedział, otwierając nam drzwi do sali konferencyjnej.

Weszliśmy. W środku panowała kompletna cisza. Nie było słycać ulicznego hałasu ani muzyki z lodowiska w Kungsträdgården. Przechadzałam się, rozglądając dookoła. Przesunęłam palcami po gładkiej, lśniącej powierzchni pieca kaflowego.

– Ale sala! – powiedziałam cicho.

– No... Raczej wyższa półka, wiem – odrzekła Emelie, również cichym głosem.

W pomieszczeniu stały krzesła w stylu gustawiańskim, stół konferencyjny wypolerowany na wysoki połysk i z ciemnego drewna wyprodukowanego wbrew zasadom ochrony lasów deszczowych, a na ścianach wisiały portrety w złotych ramach. Pomieszczenie wypełniały reprodukcje. Chociaż Lindstein nazywano obecnie najnowocześniejszym bankiem w Szwecji, jego przedstawiciele najwyraźniej nie chcieli, aby goście odwiedzający siedzibę główną zapomnieli, że jest też jednym z najstarszych. Luksusowe wnętrza bez wątpienia nie współgrało z finansowymi turbulencjami w ostatnim czasie. Ale oczywiście nikt nie może przecież żądać, aby bank powyprowadzał swoje gustawiańskie krzesła tylko dlatego, że giełda szaleje. Czy na pewno?

Drzwi lekko skrzypnęły i wszedł do nas Hesslow. Usiedliśmy w trójkę.

– Kawa się parzy. Carl przyjdzie za kilka minut i opowie o banku, a kiedy będziemy czekali, może się przedstawić? – Spojrzał na mnie.

– Jasne. Jestem, jak na pewno mówiła Emelie, wykwalifikowaną profilerką, kryminolożką i psycholożką. Pracuję głównie dla firmy o nazwie Modus Operandi. – „Głównie” to pewnie lekka przesada, ale brzmiało dobrze.

– Czy to nie ciebie napadł tamten seryjny morderca w Nowym Jorku?

Pokiwałam głową, ale nic nie powiedziałam. Nie miałam ochoty zagłębiać się w szczegóły na temat tego, jak w zimnym kościele w Nowym Jorku niemal poderżnięto mi gardło. Uznałam, że nie ma to nic wspólnego ze sprawą. Gazety w Szwecji sporo na ten temat pisały, więc mimo wszystko nie zdziwiłam się, że o tym słyszał. Dotarło do mnie, że wydarzyło się to niemal dokładnie rok temu.

Na szczęście przerwała nam kobieta w średnim wieku ubrana w szarobeżowy kostium, wchodząc z tacą. Stały na niej cztery misterne filiżanki z biało-niebieskiej porcelany i półmisek cynamonowych bułeczek.

– Dziękuję – powiedział Hesslow do kobiety, gdy porozstawiała przed nami filiżanki, a ona uśmiechnęła się i wyszła z pomieszczenia.

Jak zauważyłam, nowoczesność nie rozciągała się też na role płciowe. Ani na rozmiar filiżanek do kawy. Drzwi znowu się otworzyły i do środka wszedł starszy mężczyzna. Był łyсы. Bezwłosą głowę zdobiło kilka plam wątrobowych. Miał pomarszczoną twarz i jasnoszare, kryształowo przejrzyste oczy za parą szkieł bez oprawek. Jego ubrania były wprost perfekcyjne. Inaczej nie da się tego opisać. Dopasowany fason, spinki do mankietów ekskluzywne, ale nie nachalne, i granatowy nowoczesny garnitur. Dłoń, którą wyciągnął, daleka jednak była od perfekcji. Przypominała raczej łapę z pazurami – pomarszczona i upstrzona starczymi plamami. Kiedy wstawałam, żeby się z nim przywitać, przypomniało mi się, że Emelie opisywała go jako pana Burnsa z *Simpsonów*. Nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu. Opis pasował kropka w kropkę. Jediną różnicą było to, że Carl Lindstein, dyrektor generalny banku, wydawał się znacznie bardziej nieprzejednany. Kiedy wszyscy się ze sobą przywitali i z powrotem usiedliśmy, Carl zabrał głos.

– Dziękuję za przybycie. Na początek chciałbym powiedzieć kilka słów na temat banku.

Pokiwaliliśmy głowami.

– Lindstein to bardzo stary bank i trzeci pod względem wielkości w Szwecji. Założył go mój dziadek. – Carl wskazał sękatą dłonią złote ramy na przeciwległej ścianie pokoju. Zastanawiałam się, w jakim może być wieku. Jeśli był

tak stary, na jakiego wyglądał, musiał mieć dobrych osiemdziesiąt lat. Na pewno nie aż tyle. Popatrzył na mnie ostro, jakby potrafił czytać w myślach. Mimowolnie wyprostowałam plecy. Ciągnął:

– Oferujemy usługi zarówno dla przedsiębiorców, jak i klientów indywidualnych. W zaledwie pięć lat udało nam się przejść drogę od wiekowej firmy z tradycjami do najnowocześniejszego i najlepiej prosperującego banku w Szwecji. W tym czasie nasze notowania giełdowe wzrosły dziesięciokrotnie.

Zauważyłam, że nie wspomniał, iż w ciągu ostatnich sześciu miesięcy notowania spadły o ponad połowę.

– Kluczowe okazały się właśnie usługi internetowe, w związku z którymi praca Emelie nad bezpieczeństwem w ostatnim czasie tak bardzo się nam przysłużyła. – Zrobił teatralną przerwę i wziął niewielki łyk kawy. – Mężczyzna, którego w tak... nieprzyjemny sposób nam odebrano, pracował jako operator systemu w dziale IT. Chciałbym jak najmocniej podkreślić powagę sytuacji. Jeśli zabójstwo miało coś wspólnego z bankiem, chcę to wiedzieć. Chcę, żebyśmy dowiedzieli się na temat śledztwa wszystkiego, co tylko się da. – Carl wbijał po kolei wzrok w każdego z nas.

Nikt nic nie powiedział. W końcu odwrócił głowę do Emelie.

– Przejdźmy jednak do kwestii najważniejszej. Fredrik wspomniał, że w komputerze Pontusa znalazłaś nieprawidłowości. Mogłabyś to rozwinąć?

Emelie miała usta pełne kawy, którą szybko przełknęła i ostrożnie odstawiła filiżankę.

– W zeszłą sobotę prewencyjnie przeprowadziłam rutynową kontrolę komputera Pontusa, żeby nie znalazło się tam nic, czego nie powinna zobaczyć policja...

Carl pokiwał z aprobatą i minimalnie się uśmiechnął. Emelie odwzajemniła uśmiech i mówiła dalej:

– Odkryłam, że w sobotę rano, to znaczy po śmierci Pontusa, jakiś fałszywy użytkownik zalogował się do jego komputera i usunął z niego pliki.

– Co znaczy „fałszywy”? – spytał Carl.

– Chodzi o konto użytkownika, które wygląda dokładnie tak samo jak konto wszystkich innych poza tym, że nie można go przypisać do żadnego pracownika banku. To Pontus zakładał nowe konta, więc to też musiał osobiście utworzyć jako jakiegoś rodzaju konto dodatkowe.

– Co usunęła osoba, która zalogowała się na to konto?

– Na razie zdążyłam uruchomić tylko najbardziej podstawowe programy diagnostyczne, ale już wiadomo, że skasowała historię chatów i wiadomości e-mail. Pracuję nad ich przywróceniem, żeby sprawdzić, co w nich było.

– Chodzi o jakąś formę przestępstwa? – Carl się pochylił. Wyglądał poważnie.

– Tak. Wydaje mi się, że ktoś szukał danych wrażliwych. Może jakiegoś rodzaju informacji do wykorzystania w celu wywarcia presji. Żeby powiedzieć więcej, muszę przeprowadzić całościową analizę. – Skinęła w moją stronę. – Zaprosiłam tu dziś Altheę. Zarówno z tego powodu, że ma doświadczenie ze śledztwami w sprawie zabójstwa i może nas wprowadzić w metody pracy policji, jak i dlatego, że mogłaby wykonać profil psychologiczny Pontusa, co pozwoli nam go lepiej zrozumieć.

– Ale czy to ma coś wspólnego z morderstwem? – spytał Hesslow.

– Zdecydowanie istnieje taka możliwość – odpowiedziała Emelie. – Trudno mi sobie wyobrazić, że to zbieg okoliczności.

Carl ściągnął usta w linijkę i wolno pokiwał głową.

– Rozumiem. Brzmi to bardzo poważnie. Jeśli coś zagraża bezpieczeństwu banku, musimy to dogłębnie zbadać. W ciągu tygodnia chcę otrzymać szczegółowy raport i plan działania. To pod żadnym pozorem nie może się dostać do wiadomości publicznej. Media potrafią rozmuchiwać takie sprawy poza wszelkie granice. – Utkwił spojrzenie w Emelie i uśmiechnął się chłodno. Skinęła głową. Carl zwrócił się w moją stronę. – W obliczu tych faktów rozumiem, dlaczego Emelie zechciała cię zaangażować. Spojrzenie na problem pod tym kątem wydaje mi się bardzo interesujące. Emelie poinformowała cię zapewne, że obowiązuje cię taka sama zasada poufności co Infosec. Mam nadzieję, że to nie problem.

– Absolutnie – odpowiedziała szybko za mnie Emelie.

– Dobrze. – Wstał, a wraz z nim Emelie, Fredrik i ja.

– Dziękuję, że przyszliście. Fredrik omówi z wami szczegóły. Informujcie go o wszystkim na bieżąco i do zobaczenia za tydzień.

Ucisnęliśmy sobie dłonie. Kiedy Carl odszedł, wokół stołu przez chwilę panowała cisza. Pierwszy odezwał się Fredrik Hesslow:

– Cała ta afera jest strasznie niepokojąca, Emelie. Dopilnujesz, mam nadzieję, żeby policja niczego się nie dowiedziała? Nie wiemy jeszcze, czy to w ogóle coś poważnego, a ostatnia rzecz, której byśmy sobie życzyli, to niepokojenie naszych klientów groźnymi nagłówkami w gazetach, że mamy problemy z bezpieczeństwem. Nie mam racji?

Emelie i ja obeszyliśmy stół.

– Tak, całkowicie się zgadzam. Musimy wiedzieć znacznie więcej, zanim z kimkolwiek porozmawiamy. Althea przeprowadzi tak zwaną autopsję psychologiczną Pontusa, czyli analizę jego życia, stanu psychicznego i tego, jaką osobą był tuż przed śmiercią, aby znaleźć zachowania mogące wskazywać, że popełnił przestępstwo lub je planował.

– Dobrze. – Fredrik zwrócił się w moją stronę. – Dziękuję, że zgodziłaś się nam pomóc. Chcę, abyś wiedziała, że nie spodziewamy się cudów. Z taką garstką informacji wyciągnięcie jakichkolwiek wniosków raczej nie może być łatwe, prawda?

– Nie, to prawda, ale coś na pewno uda mi się wypracować.

– Tak jak mówię, wszystko się przyda, nawet drobiazgi. I widzimy się za tydzień. Emelie, mogłabyś przez ten czas dzwonić i informować mnie na bieżąco?

– Jasne.

Fredrik wziął wyciągniętą rękę Emelie w swoje obie dłonie i uśmiechnął się krótko, a potem odwrócił się do mnie i uścisnął moją dłoń nieco bardziej oficjalnie.

– Powodzenia z psychologią – rzekł, patrząc na mnie oczami o orzechowobrzązowym kolorze. Potem zniknął za drzwiami.

– Ale się spieszył – powiedziałam, spoglądając za nim.

– Tak, jak zwykle – stwierdziła Emelie i uśmiechnęła się krzywo. – My też się spieszymy. Na brunch!

Światło słoneczne wpadające przez okno sprawiało, że intensywnie zielona kuchnia Emelie z oknem wychodzącym na restaurację Claes på Hörnet niedaleko Roslagsgatan nabierała śródziemnomorskiego charakteru.

– Ty nakryj do stołu, a ja wstawię chleb do piekarnika. – Emelie zaczęła wyczarowywać na stole jedzenie. Trzy rodzaje sera, jajecznica, pieczone pomidory, pieczarki podsmażane na maśle i jagodowe smoothie. Dosłownie wszystko. Nikt nie umiał przygotowywać brunchów tak jak ona. Poza tym rozniósł się niebawem po kuchni zapach świeżo pieczonego chleba. Otworzyłam szafkę, wzięłam opakowanie płatków i prawie je upuściłam. Ważyło dobrych parę kilo.

– Co ty trzymasz w tej paczce? Sztabki złota?

Emelie się zaśmiała.

– Kopię zapasową danych z banku. To najbezpieczniejsze miejsce, jakie znam.

– Ty jesteś naprawdę nienormalna. Czy to nie powinno być w sejfie czy czymś takim?

– Ech, to przecież pierwsze miejsce, w którym by szukali. Poza tym jeden egzemplarz jest też w sejfie antywybuchowym. To w zasadzie tylko kopia zapasowa systemu Infosecu, ale jego dużą część stanowią dane banku.

– Wiedzą tam o tym?

– Że ją mam? Tak, to wchodzi w zakres moich obowiązków. A gdzie ją mam, to zupełnie inna kwestia...

– O rany! – Ostrożnie odłożyłam paczkę wraz z jej drogocenną zawartością na sam tył szafki i wyjęłam inną, o odpowiedniej wadze. – To są płatki? Czy znajdę tu system innego klienta?

– To są prawdziwe płatki, nic innego, przysięgam. Resztę trzymam w paczkach mąki.

Emelie wybuchła śmiechem, widząc moje szeroko otwarte oczy.

– Żartowałam! Spokojnie. Jak ci się podobał Fredrik? – spytała, krojąc świeżo upieczony chleb.

– Nie wiem. Nie jest trochę zbyt... czarujący?

Emelie uniosła brwi.

– Zbyt czarujący? Pierwszy raz słyszę, żeby ktoś to uznawał za wadę. W przeciwieństwie do tych dupków, którymi interesuję się zazwyczaj, tak?

– Nie, tak. Nie o to mi chodziło, przepraszam. Tylko normalnie nie podobają ci się tacy wymuskani faceci. Bardzo dużo ma z przedstawiciela elity finansowej, a bardzo mało z rock'and'rollowca.

– To prawda. To ty się zakochujesz w koleśkach jak z reklam Ganta. Może po prostu zaczynam dojrzewać. Boże uchowaj! Ma w każdym razie długie włosy.

– Właśnie. Spotkałaś się z nim kiedyś? – Wzięłam duży kęs kanapki. Miała niezmiernie smaczny smak: słony, lekko orzechowy, a na górze delikatnie roztopione masło.

– Kilka razy zjedliśmy lunch i umawialiśmy się na drinka. Kiedy śledztwo się skończy, może spróbuję go gdzieś wyciągnąć. Parę kolejek Long Island Ice Tea wystarczy, żeby pozbyć się tych jego kancików i poluzować mu krawat, no nie?

– Jasna sprawa. Podaj jajecznicę.

– Proszę. A propos eleganckich facetów, odzywał się do ciebie twój chłopak? Co u niego?

– Świetnie się bawi – odpowiedziałam z ponurą miną.

Rickard był komisarzem kryminalnym i spędzał urlop na nartach w Val d'Isère z trzema najlepszymi kumplami. Taki mieli najwyraźniej coroczny męski rytuał. Nie dostałam zaproszenia, by im towarzyszyć. Powiedział coś w stylu „kobiety niemile widziane”. Nienawidziłam zjeżdżać ze stoku, więc właściwie mi to nie przeszkadzało, ale i tak nie mogłam się powstrzymać od dowcipkowania na ten temat. Coś mi się chyba należy od życia za to, że zostałam w styczniowym Sztokholmie, który z wyjątkiem dzisiejszego dnia był smutny i ponury, podczas gdy Rickard jeździł slalomem, popijał wino i mieszkał w fantastycznym hotelu.

– Mało solidarnie z jego strony. Mimo wszystko powinien cię zabrać. Zamiast zjeżdżać mogłabyś przecież chodzić do spa.

Wybuchłam śmiechem.

– Do spa? Ja? To byłby jakiś koszmar! Pamiętasz, jak dostałam od ciebie kartę upominkową na manicure? Po kwadransie piłowania i dłubania dostałam świra. Ile czasu może zająć ogarnięcie dziesięciu paznokci?

– Jesteś po prostu zbyt niecierpliwa. Musisz się nauczyć, jak zwalniać i cieszyć się tym, co tu i teraz.

– Cieszyć się tym, co tu i teraz, to żaden problem, ale siedzieć bez ruchu i nie robić nic innego? To nie dla mnie.

– W takim razie nic dziwnego, że twoje paznokcie wyglądają tak okropnie. – Emelie lekko zmrzączała oczy i uważnie przyjrzała się mojej twarzy. – Powinnaś przynajmniej nakładać w domu jakąś maseczkę, bo wyglądasz szaro i blade.

– Tak, tak... Zaczynasz mówić jak moja mama. Też ma obsesję na punkcie pielęgnacji skóry.

Przewróciłam oczami i zmieniłam temat.

Kiedy najadłyśmy się już tak, że omal nie pękłyśmy, posprzątałyśmy ze stołu, a Emelie włączyła zmywarkę. Zerkałam na nią ukradkiem. Sama była blade i mimo uśmiechu i makijażu wyglądała na wyczerpaną. Zaczęłam się zastanawiać, czy opowiedziała mi wszystko, czy jest coś jeszcze. Chociaż to jasne – odkrycie potencjalnej kradzieży danych w banku, gdzie sama odpowiada za bezpieczeństwo, to na pewno nic przyjemnego. Nawet jeśli Infosec wyszedł z tego cało, utrata takiego klienta jak bank byłaby zapewne katastrofą. Nie miała nikogo, kto pozwalałby wyciągać choćby podobne pieniądze.

Kiedy posprzątałyśmy w kuchni, wzięłyśmy filiżanki z kawą i usiadłyśmy na ciemnozielonej sofie w salonie. Mieszkanie Emelie wyglądało, jak by to ująć, niczym wnętrze w stylu Laury Ashley na speedzie. Albo rezultat eksplozji w sklepie z farbami. Na mniej więcej sześćdziesięciu metrach kwadratowych mieszały się jaskrawa zieleń, bordo, złoto i błękit, paski i kwiatki. Krótko mówiąc, wszystko. Poza tym Emelie miała niemożliwą wprost liczbę poduszek i bibelotów. Przede wszystkim niewielkich aniołów. Zbierała je, odkąd była dzieckiem. Nie mogłam tego pojąć. Dlaczego miała bzika akurat na ich punkcie? W moich oczach reprezentowały tylko to, co powierzchowne. To, co powierzchowne, a obecnie smutek. Po śledztwie w sprawie morderstwa latem trudno mi było oglądać anioły, nie myśląc o pomordowanych młodych kobietach. Podciągnęłam nogi na sofę i wzięłam łyk kawy.

– Co sądzisz o sprawie banku? Możesz w ciągu tygodnia wyciągnąć z tego coś sensownego o Pontusie?

– Coś pewnie by się dało, ale będę potrzebowała sporo informacji na jego temat.

– Żaden problem. – Emelie wyciągnęła swojego blackberry. – Jeśli zajdziesz jutro do biura, możemy zacząć analizować to, co już mamy. Spróbuję zaprosić też Tommy’ego, współlokatora Pontusa. Wystarczy na początek? Czego jeszcze potrzebujesz?

– Gdybym tylko wiedziała! – Związałam swoje niesforne kręcone włosy w gruby węzeł, który spięłam długopisem.

– Najpierw opracuję jego profil, czyli autopsję psychologiczną, a potem zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. Musimy rozłożyć jego życie na czynniki pierwsze. Nie do końca wiem, jak możemy się dowiedzieć, kim był, nie zdradzając nikomu, czym się zajmujemy. Jeśli porozmawiamy z jego bliskimi, zachodzi ryzyko, że powiedzą o tym policji, a my nie będziemy mogli temu zapobiec.

– Wiem, co zrobimy. Nie masz pojęcia, ile można się dowiedzieć przez internet. Przede wszystkim o kimś, kto – z tego, co wiem, jak Pontus – prowadził tam dużą część życia towarzyskiego.

Przez chwilę przerzucaliśmy się pomysłami, po czym wróciłam do domu. Moje mieszkanie zdradzało pilną potrzebę sprzątnięcia, a ja odkładałam to wystarczająco długo. Nie wyrzywałam się do szorowania podłóg. Kiedy jechałam z powrotem autobusem, rozległ się sygnał mojego telefonu. Na wyświetlaczu zobaczyłam, że to mama dzwoni z Nowego Jorku. W przyszłym tygodniu przylatują z tatą do Sztokholmu i spędzą tu prawie miesiąc. Mama będzie trochę fotografować, a tata spotykać się z ludźmi i omawiać nowe projekty dla ONZ. Poza tym wykorzystają ten czas, żeby zobaczyć się ze znajomymi, których tu mają, i oczywiście ze mną. Byłam koszmarnie zmęczona tymi wszystkimi planami i dyskusjami, z którymi wiązała się ich wizyta. Mama dzwoniła ostatnio kilka razy dziennie. Westchnęłam i odebrałam.

– Cześć, *umma*.

– *Mina-ya*, jak to dobrze, że cię złapałam! Mam wspaniałe wieści! Rozmawiałam z Tilly i Cleasem i zaprosiłam ich na wspólne świętowanie Seollal w domku. Uznali, że to doskonały pomysł. A skoro ja i tata przylatujemy do Szwecji wcześniej, możemy się razem naprawdę dobrze przygotować! Jesteśmy przecież teraz prawie rodziną, więc to się cudownie składa!

– Mamo... Nie jestem pewna, czy Rickard chce w ogóle obchodzić koreański nowy rok. – Przesunęłam dłonią po twarzy.

– Eee tam. Oczywiście, że Rickard chce świętować z nami i swoimi rodzicami. Nie ma chyba znaczenia, że to koreańskie święto? Przecież chodzi tylko o smaczne jedzenie i miłe towarzystwo!

Desperacko próbowałam wpaść na sposób, jak się z tego wykręcić. Pewnie trzeba było winić samą siebie. Tak to jest, kiedy człowiek się zwiąże z synem najlepszych przyjaciół swoich rodziców. Dostrzegłam ostatnią deskę ratunku i spróbowałam rozpaczliwie:

– Nawet nie wiem, czy będziemy mogli... Kiedy wypada nowy rok?

– Siódmego lutego. Tilly mówiła, że Rickard i tak planował przyjechać do nich w ten weekend, więc wiem, że jest wtedy wolny.

– Tak, ale mam, no nie wiem...

– Daj spokój, będzie wspaniale. Ty i Rickard możecie zajechać kiedyś do domku i tylko trochę go ogarnąć, a ja i tata zajmujemy się później resztą!

– Tak, ale...

– Nie możemy się już doczekać, aż się z tobą spotkamy! Buziaki!

Mama się rozłączyła. Odchyliłam głowę na oparcie i wbiłam wzrok w sufit autobusu. Z całą pewnością nawet się nie zastanowiła, czy uważam to za dobry pomysł, czy nie. Czy ona nie rozumie, że nie podoba mi się traktowanie mnie i Rickarda praktycznie jak małżeństwa, chociaż jesteśmy razem zaledwie pół roku? Ale to dla mamy takie typowe. Nie domyśliła się też, że chętnie spędziłabym z nimi ostatnie święta. Usiłowałam to zasugerować i pytałam, czy mam przyjechać do Flushing, ale mama zaplanowała już wyjście na dużą koreańską imprezę w Nowym Jorku, którą organizowało kilkoro jej przyjaciół ze sfer politycznych. W ogóle nie zrozumiała moich aluzji. Przypuszczałam, że to trochę zderzenie kultur. W Korei Boże Narodzenie spędza się z przyjaciółmi, a tutaj to święto rodzinne. Mimo wszystko mama była znacznie bardziej koreańska niż ja, chociaż od piątego roku życia mieszkała w Stanach. Skończyło się tak, że musiałam spędzać święta u rodziców Rickarda w Ekerö. I to naprawdę nie wypadło tak jak trzeba. Cały czas czułam się jak intruz. Siedziałam w swojej najelegantszej bluzce wyprostowana jak struna i poklepywałam ich czworonożnego pupila. Byli niezwykle serdeczni i robili wszystko, żebym czuła się jak w domu, ale i tak wydawało mi się, że jest nie tak, jak powinno. Ich dom był elegancki i fantastycznie urządzone. Tilly, mama Rickarda, była kiedyś primabaleriną i dało się to zauważyć. W pozytywnym sensie. Miała w sobie wielką siłę i wdzięk. W porównaniu z nią czułam się bardziej zaniedbana niż ich pies.

Westchnęłam i wyrzłam przez szybę autobusu na Karlbergskanalen. Światło latarni ulicznych odbijało się i połyskiwało w czarnej wodzie. Co ja mam z tym zrobić? Wydawało mi się trochę żenujące, że muszę opowiedzieć Rickardowi o zwariowanym planie mamy. Miałam wielką nadzieję, że się zgodzi. Co prawda już zaplanowaliśmy, że pojedziemy na weekend za miasto, więc oczywiście mogliśmy wtedy posprzątać domek, ale i tak mnie wkurzało, kiedy mama stawiała mnie w takich sytuacjach i zmuszała do rozwiązywania problemów powstających wokół niej. Z wściekłością skubałam pomarańczowy, zmechacony materiał siedzenia i resztę jazdy poświęciłam na wymyślanie sposobów, jak wykręcić się z tego, na co się właśnie zgodziłam albo czemu nie udało mi się choćby zapobiec. Jeszcze.

Otworzyłam drzwi mieszkania. Podłogę w przedpokoju zasypywały torebki, buty, szaliki i kurtki, a do tego ulotki reklamowe i egzemplarze „Dagens Nyheter” z połowy tygodnia. Zamknęłam za sobą drzwi i przekręciłam klucz. Oparłam się o ścianę i z głębokim westchnieniem zdjęłam płaszcz. Od czego zacząć? Padło na kuchnię, tam było najgorzej. Zrzuciłam marynarkę i resztę ubrań na sofę w salonie i włożyłam znoszony czerwony dres. Nastawiłam głośno starą płytę Melissy Etheridge. W moim ukochanym mieszkaniu zupełnie brakowało jaskrawych kolorów, które tak lubiła Emelie. W salonie, gabinecie i kuchni ściany były białe, a w sypialni jasnozielone. Całe mieszkanie zostało oszczędnie wyposażone brązowymi i beżowymi meblami. Dużo książek. Nieco koloru dawały jedynie rośliny doniczkowe wypełniające każdy możliwy kąt, nawet przestrzenie między dużymi czarno-białymi fotografiami, z których większość zrobiła mama. Przedstawiały moje drugie miasto rodzinne – Nowy Jork.

Najbardziej uwielbiałam zdjęcie babci. Siedziała na nim w ogródku ulubionej kawiarni w dzielnicy Flushing. Przed nią znajdowały się mała filiżanka herbaty i gruba książka. Niewielkie okulary miała zsunięte na czubek nosa, a ciepłe, figlarne spojrzenie skierowała prosto na aparat. Przeprowadzili się z dziadkiem z Korei do Stanów Zjednoczonych w latach pięćdziesiątych, podczas wojny. Mama miała wtedy zaledwie pięć lat. Babcia kochała Amerykę i nigdy nie przestała odczuwać wdzięczności za szansę, jaką ten kraj dał naszej rodzinie.

Była drobną, z pozoru uległą kobietą z mnóstwem wewnętrznej siły, odwagi cywilnej i niezłomnej woli. Przesiadywała w tej kafejce, czytając książki, niemal codziennie przez te lata, gdy mieszkaliśmy we Flushing. Kiedy przeprowadziła się z nami do Sztokholmu, zawsze powtarzała, że to za tym tęskni najbardziej. A przeprowadziła się ze

względu na mnie. Zmieniła całe swoje życie. Przeprowadziła się, bo wiedziała, że potrzebuję jej wsparcia. Zawdzięcza jej wszystko. To ona jako pierwsza zrozumiała, że jestem naprawdę chora, a nie tylko „jakaś taka nieswoja”, jak mawiała mama.

Ostrożnie przesunęłam palcami po matowej powierzchni fotografii. Popatrzyłam babci w oczy. Nie spodobałoby się jej, że mam taki bałagan. Że dbanie o dom połączyłam z chorobą. Zawsze kiedy sprzątałam, serce zaczynało mi mocniej walić i robiło mi się niedobrze. Tak bardzo się bałam, że robienie porządków wywoła natrętne myśli. Zawsze krążyły wokół układania i liczenia, więc w mojej głowie związek był oczywisty. Niemal słyszałam, jak babcia mówi do mnie z nieba. „Bzdury!”, powiedziałyby swoją łamaną angielszczyzną, gdyby usłyszała moje wymówki. I miałyby rację. Wystarczyło w zasadzie tylko ruszyć. Poszłam do kuchni i zabrałam się do mycia przepełnionego, śmierdzącego zlewu. Godzinę później kuchnia była przynajmniej jako tako wysprzątana, a mnie oblewał pot. Rozległ się sygnał telefonu. Dzwoniła Emelie.

– Przeszkadzasz mi w sprzątaniu!

– Co takiego? Ty sprzątasz?! To muszę chyba wpaść na kontrolę!

– Niczego nie musisz. Czemu dzwonisz?

– Pogrzebałam trochę w komputerach. Myliłam się, a raczej miałam rację co do Pontusa.

Wydawało mi się, że Emelie jest w lekkim szoku.

– Nie rozumiem. – Podczas rozmowy chodziłam po mieszkaniu, podnosząc z podłogi brudne pranie.

– To nie Pontus zrobił coś podejznanego. Wręcz przeciwnie. Udało mi się przywrócić jeden z chatów, które usunięto z jego komputera. Pontus pisze: „Czuję się zmuszony, żeby zgłosić to na policję”. Nieznany użytkownik odpowiada: „Czuję się zmuszony odstrzelić ci łeb, skoro przychodzi ci to do głowy”.

– Kurde, brzmi to tak, jakby ktoś się na niego wściekł! Morderca?

– Możliwe. Tak się wydaje, bez dwóch zdań. Rozmawiali w dniu poprzedzającym morderstwo.

– Ale przecież w takim razie Pontus nie tyle wszystkich oszukał, ile im pomógł.

– No właśnie. To co robimy?

– Proszę, opowiedz całą tę historię jeszcze raz.

– A więc ktoś, pod własną nazwą użytkownika, groził Pontusowi śmiercią, a potem usunął pliki. Albo chat nie ma z bankiem nic wspólnego, chociaż to w zasadzie nieprawdopodobne. Po co ten człowiek miałby wtedy w banku konto użytkownika? Moim zdaniem, chociaż nie potrafię jeszcze tego udowodnić, Pontus odkrył coś, czego nie powinien.

– Na przykład co?

– Cóż, cokolwiek. Włamanie do systemu bankowego. Afera łapówkowa. Czyjaś zdrada. Carl Lindstein w czerwonych damskich majtkach. Nie mam pojęcia!

– Coś, dla czego warto zabić. Myślę, że i tak przeprowadzimy całościową analizę jego osoby. Może znajdziemy tam jakieś ciekawe wątki.

– Zgoda. Wracaj do sprzątania, a ja jeszcze pogrzebię. Do zobaczenia jutro w biurze!

Rozłączyłam się i westchnęłam. Wypiłam w kuchni dużą szklankę lodowatej wody i zabrałam się z powrotem do pracy.

„Nie mogę tego skumać. Że Cię nie ma. Już mi brakuje Twojego masakrycznego bajzlu. Imprezy, mecze, nie no, kurde, całe życie będzie bez Ciebie do dupy”.

„Kochany! Ostatni raz w The Lab to najlepszy wieczór w moim życiu. Tak chciałam Ci powiedzieć, jak bardzo Cię kocham, ale zabrakło mi odwagi. I już nigdy się nie dowiem, czy czuleś to samo. Jak mam przestać płakać? Kiedy znajdę w sobie siłę, by wrócić do życia? Na zawsze pozostaniesz w moim sercu”.

Strona Pontusa Olssona na Facebooku zmieniła się w księgę kondolencyjną. W pomieszczeniu zapadła kompletna cisza. Wszyscy wpatrywali się w ekran. Pontus uśmiechał się do nas łobuzersko ze zdjęcia profilowego. W pasku na dole znajdowały się jego data urodzenia i śmierci. Jego matka zamieściła post, w którym dziękowała za wszystkie ciepłe słowa o synu i podawała datę pogrzebu. Poza tym stronę wypełniały wiadomości od przyjaciół. Wyrazy pamięci, krótkie anegdoty i wzruszające pożegnania.

Siedzieliśmy w siedzibie Infosecu. Było to gigantyczne, pomalowane na biało poddasze z aneksem kuchennym w jednym rogu i nowoczesną salą konferencyjną ze szklanymi ścianami na krótszym boku. Zostawiono nieoheblowane panele i belki u sufitu. To tutaj pracowała Emelie i jej pięciu kolegów, sami faceci. Żeby dojść do biura, trzeba było minąć kilka zupełnie zwyczajnych krzywych boksów magazynowych z niepomalowanych desek. Emelie wymarudziła możliwość używania lokalu, który znajdował się w tym samym budynku, gdzie mieszkała.

Dzięki wielkiemu uporowi i wielu puszkom farby zmieniła poddasze w prawdopodobnie najbardziej klimatyczną siedzibę firmy IT w Sztokholmie. Sama podczas urlopu w Szwecji wystawałam tu z pędzlem malarskim i jej pomagałam, a potem bardzo często korzystałam z wolnego biurka, kiedy nie miałam ochoty pracować sama w domu. Na sofie przed ekranem siedział obok mnie Tommy ze skrzyżowanymi ramionami. Był jednym z techników pracujących w banku i osobą najbliższą związaną z Pontusem. Wynajmowali wspólnie mieszkanie. Zaoferował pomoc, udzielając nam dostępu do aktywności Pontusa w internecie.

Profil Pontusa na Facebooku ciągnął się w nieskończoność. Pontus miał wśród znajomych dwieście osiemdziesiąt osób. Co najmniej połowę z nich stanowiły kobiety. Kilkoro to starzy znajomi z politechniki KTH, a część – koledzy z pracy i przyjaciele. Poprosiłam Tommy’ego, aby wyświetlił następną zakładkę, żebym mogła sprawdzić, jakie aplikacje zainstalował Pontus. Większość pól zajmowały programy randkowe z nutką porno. Do jego pozostałych zainteresowań należały horrory, ciekawostki, gra *World of Warcraft* i drużyna koszykarska, w której grał. Pomyślałam o swoim własnym, dość skromnym profilu. Lubiłam Facebook. Stanowił dla mnie sposób na utrzymywanie kontaktu z wieloma amerykańskimi oraz szwedzko-koreańskimi znajomymi i kolegami ze studiów. Na moim profilu nie było jednak żadnych gier ani aluzji seksualnych, za to głównie informacje na temat dobrych książek i starych czarno-białych filmów. Bez wątplenia wypadam na największą nudziarę świata! Pontus sprawiał zaś wrażenie ciepłego, towarzyskiego faceta o gimnazjalnym humorze, uganianego się ciągle za kobietami. Emelie wskazała jego zdjęcie z paroma kumplami. Był wysoki, dość barczysty i miał jasne, krótko przystryżone włosy. Z kuflem piwa wzniesionym w stronę aparatu wyglądał na szczerego i wesołego.

Byłam absolutnie zafascynowana tym, jak wiele śladów zostawiamy za sobą w internecie. Jak wiele piszemy o swoim życiu, jak wiele zamieszczamy zdjęć, nie myśląc o tym, jak mogą je odbierać inni. To był dla mnie zupełnie nowy świat. Nigdy wcześniej tak o tym nie myślałam. Wpisy na grupach dyskusyjnych, blogi, zdjęcia rodzinne na Flickrze, awatary na platformie Second Life. Dla kogoś, kto wiedział, jak i gdzie szukać, całe życie danej osoby było jak otwarta księga. Dzięki temu, że Tommy znał hasło Pontusa, już wcześniej czytaliśmy jego wpisy na forum Flashback i na match.com. Pomimo – a może dlatego – że zajmował się w pracy bezpieczeństwem, używał tego samego hasła do wszystkich kont w internecie, to znaczy „Nicole”, od imienia swojej ulubionej celebrytki Nicole Richie.

– Co teraz? – spytała Tommy’ego Emelie i położyła mu po przyjacielsku dłoń na ramieniu. To było dla niego trudne zadanie. Uśmiechnął się trochę zakłopotany.

– *World of Warcraft*.

Odwrociłam się w jego stronę.

– Dużo grał?

Tommy pokiwał głową.

– Rozgrywaliśmy trzy, cztery misje, to znaczy graliśmy trzy, cztery wieczory w tygodniu. Mamy dość mocną Gildię.

Emelie włączyła grę na monitorze. Ukazał się mroczny świat fantasy.

– Jaką postacią grał Pontus?

– Łotrzykiem, a jego główną profesją była alchemia. Jego najlepsza umiejętność to rybołówstwo.

– Duży facet, który jest alchemikiem i lubi wędkować – przetłumaczyła mi Emelie.

– Ach tak. Okej.

To, jaką postać wybiera dana osoba w grze RPG, jest niesamowicie ciekawe. O ile wiem, nie istnieją żadne konkretne badania w tym obszarze, ale zabawiałam się przeprowadzaniem własnych obserwacji. Odniosłam wrażenie, że istnieją trzy grupy. Część to ci, którzy wybierają postać, aby stać się tym, kim nie są w prawdziwym życiu. Niski, chudy chłopak gra mięśniaka, pacyfista wojownika i tak dalej, choć w zasadzie nie jest to zbyt częste. Powszechniejsze są raczej wybory autoironiczne, takie jak Pontusa, który zdecydował się grać dużym, przyczajonym alchemikiem lubiącym wędkować, a nie żadną bardziej atletyczną lub powabną postacią. Trzecią grupę stanowią ci, którzy po prostu wzmacniają własne cechy charakteru. Jakbym na przykład grała karlicę, która potrafi czytać w myślach.

– Chcesz zobaczyć więcej? – spytała mnie Emelie.

– Nie, myślę, że nie teraz – odpowiedziałam.

– To może zjemy lunch? Chodź z nami, Tommy.

– Nie, raczej urwę się do domu. – Był blady i wyglądał na zmęczonego.

Dobrze go rozumiałam.

– Okej. Zdzwonimy się w tygodniu. Wielkie dzięki za pomoc.

Emelie mocno go przytuliła. Wydawał się kompletnie zażenowany. Skinął chłopakom, włożył niebieską puchową kurtkę w ogromnym rozmiarze i wyszedł.

– Jak technicy funkcjonują jako zespół? Masz jakieś wyobrażenie o roli Pontusa w grupie? – spytałam Emelie w windzie, gdy jechałyśmy na dół.

– Są bardzo zgrani. Oni kontra reszta świata. Byli dla mnie niesamowicie mili, biorąc pod uwagę, że właściwie to ich pracę analizuję.

– Jeśli dobrze cię znam, też włożyłaś całkiem sporo energii, żeby nawiązać z nimi dobrą relację – odrzekłam, próbując przeskoczyć dużą kupę szarobrazowego błota pośniegowego obok pasów. Wyciągnęłam rękę, żeby pomóc Emelie ominąć tę breję. Miała kolor pomysł ze zlewu.

– To prawda – odparła. – Znacznie łatwiej się wtedy pracuje. No i wpadło jedno czy drugie piwo na koszt Infosecu. Zaśmiałam się.

– Jaka była rola Pontusa w zespole? Był liderem? Błaznem? Milczkiem?

– Czarusiem i trochę dyplomatą. To chyba on z chłopaków najlepiej rozumiał, że ważne są relacje z innymi działami i osobami. I to on się mną zajął, chociaż nie należało to do jego obowiązków.

Emelie poprowadziła mnie ku wejściu do restauracji. Na tablicy widniał napis: „Bollywood – najlepsze curry w mieście”.

– W tym miejscu dają naprawdę fantastyczne curry. – Otworzyła przede mną drzwi i zeszłyśmy po stromych schodach do niewielkiego lokalu.

Zamówiłyśmy i zapłaciłyśmy za dwie porcje curry z jagnięciną, po czym usiadłyśmy przy jednym ze stolików pod oknem. Na zewnątrz było szaro, jakby ktoś przykrył niebo wełnianym kocem. Słońca przez cały dzień nie było widać.

Nasze jedzenie pojawiło się natychmiast. Podano je w niewielkich głębokich miseczkach z metalu. Nabrałam curry na łyżkę i spróbowałam. Smakowało kardamonem, kminem rzymskim i czosnkiem w cudownym połączeniu.

– Pycha!

– Owszem, raczej nie mają konkurencji – odpowiedziała Emelie z pełnymi ustami.

– Jak to możliwe, że danie wynalezione w upalnych Indiach tak dobrze pasuje do naszego surowego klimatu?

– Dobre pytanie.

Przez chwilę jadłyśmy w milczeniu, po czym wróciłam do swojego przepytывania:

– Jakie wrażenie robił na tobie Pontus jako osoba?

– Był bardzo miły, interesował się sportem, raczej nieskomplikowany. Bardziej zrównoważony niż większość ludzi. Chciał się pokazać jako bardzo zdolny. Może odrobinę mądrała, lubił zajmować się innymi i wypowiadać, jak trzeba zrobić to czy tamto.

Odchyliłam się na oparcie i wyjrzałam na Roslagsgatan. Rozpadało się. Jakaś kobieta z dużym pomarańczowym wózkiem dziecięcym dla bliźniaków właśnie przechodziła przez pasy. Dwaj faceci od przeprowadzek zaparkowali na drugiego po przeciwnej stronie ulicy, a teraz manewrowali sofą, wnosząc ją przez tylne drzwi furgonetki. Duży niebieski autobus skręcił za róg i usiłował wcisnąć się między nią a wysepkę dla pieszych, wściekle przy tym trąbiąc. Myślałam o Pontusie Olssonie. Dlaczego został zamordowany? Na co takiego się natknął, że aż trzeba było pozbawić go życia? Czarujący technik, który wieczorami grywał w kosza, a nocami w *World of Warcraft*.

Po lunchu poszliśmy do Non Solo na Odengatan i kupiliśmy latte na wynos. Padała lekka mżawka. Powietrze było zimne i wilgotne. Kiedy wróciliśmy do biura, zabrałam się z powrotem do analizowania całego materiału, który udało się zdobyć Emelie. Konwersacje e-mailowe. Prywatne pliki z komputera Pontusa. Niedokończony szkic kiepskiego horroru. Emelie z resztą zespołu nadal rozpracowywali włamanie i w miarę możliwości śledzili jego skutki. Emelie krzyknęła z radości, kiedy udało się jej przywrócić naprawdę sporo usuniętych e-maili i chatów. Zielonym flamastrem na dużej białej tablicy rysowano coraz więcej okręgów przedstawiających elementy układanki. Łączyły się ze sobą, z czworokątami i czerwonymi znakami zapytania. Z każdą przynieszoną przeze mnie filiżanką kawy schemat nieco się powiększał. Około dziesiątej wieczorem w lokalu nagle zapadła cisza. Nikt nic nie mówił, nikt nie stuknął w klawiaturę. Ze zdziwieniem podniosłam wzrok. Wszyscy poza mną wpatrywali się w dużą tablicę.

– Niech mnie cholera, to jest genialne! Zrobił salami! – wykrzyknął Jerker.

Podeszłam do nich i też się przyjrzałam. Na tablicy wiła się płatanina okręgów, linii i napisów. Niczym gigantyczna mapa myśli z lat osiemdziesiątych.

– Nic z tego nie kumam – powiedziałam.

– Usiądź na sofie, wyjaśnię ci – powiedziała Emelie i odwróciła się do Jerkera. – Zostało z sylwestra jakieś piwo? Chyba wszyscy potrzebujemy po jednym.

– Robi się!

Dwie minuty później siedzieliśmy z zimnymi budweiserami w dłoniach. Emelie wskazała butelką piwa miszmasz na tablicy.

– Zacznijmy od początku. Jakiś koleś włamuje się do systemu bankowego za pomocą pełnoprawnego konta. Swojego użytkownika nazywa „Henry Dorsett Case”. To główny bohater książki *Neuromancer* Williama Gibsona. – Emelie uniosła brwi, wskazując rysunek komputera i ludzika na samej górze. Rzeczywiście, było tam napisane „Case”.

– Niezła książka. Główna postać, Case, to raczej egoista, bezwzględny wyrzutek i haker, więc nazwa pewnie pasuje – powiedziałam nie bez dumy. Science fiction to jeden z moich koników. Każdy szanujący się miłośnik tego rodzaju literatury znał *Neuromancera* – kultową powieść cyberpunkową. Zanotowałam, żeby sprawdzić, czy mam jeszcze na półce egzemplarz.

– To się zgadza z naszymi odkryciami – odpowiedziała Emelie. – Ale skąd on wziął konto, nadal nie wiem...

– Nie mógł wyłudzić go od Pontusa? – wtrącił Jerker.

– Nie wiem, ale jest taka możliwość. W rozmowach między Case'em a Pontusem nie znaleźliśmy tego stwierdzonego wprost. Znaleźliśmy natomiast bezpośrednią groźbę śmierci. Pontus pisze: „Czuję się zmuszony, żeby zgłosić to na policję”. Użytkownik Case odpowiada:

„Czuję się zmuszony odstrzelić ci łeb, skoro przychodzi ci to do głowy”.

– Co za żartowniś – powiedziałam sucho i podciągnęłam nogi na sofę.

– Coś w tym rodzaju. No więc Case zalogował się przez tunel VPN...

– Przez co takiego? – dopytałam.

– To bezpieczne połączenie między komputerem domowym a siecią w firmie.

Pokiwałam głową. W Modusie było coś podobnego.

– Kiedy już dostał się do systemu, miał większość uprawnień, ale nie wszystkie. Bardzo inteligentnie, dlatego że zareagowalibyśmy, gdyby użytkownik, którego nie rozpoznajemy, miał pełne uprawnienia administratora do systemu. – Wskazała następne pole w kształcie niewielkiego walca. – No więc wyszukiwał konta użytkowników, zarówno firm, jak i osób, które miały kilka różnych rat kredytu na miesiąc. Powiększał tam po prostu stopę procentową o pięć setnych, a nadwyżkę umieszczał na własnym koncie. Ale to nie koniec. Dodał też dziesięć koron do wszystkich opłat rocznych na kontach, które wykazywały jakiś zysk i gromadziły odpowiednio duże środki. Zdaje się, że

ani jedna osoba i ani jedno przedsiębiorstwo tego nie zauważyły i nie odezwały się do banku. Mógł pewnie zmieniać tę metodę w nieskończoność. Jak na razie nie potrafimy sięgnąć zbyt daleko w przeszłość, ale w grę wchodzi na pewno ogromne kwoty, które wyprowadzał w ten sposób. Bank oferuje czterysta tysięcy kont. Myślę, że wszedł na jedną trzecią z nich i zgarnął przynajmniej kilkaset koron na jednym.

– Szaleństwo! – powiedziałam. – To przecież ponad dziesięć milionów!

Emelie pokiwała głową z powagą.

– Poza tym pousuwał z systemu finansowego wszelkie ślady transakcji, żeby ostatecznie liczby i statystyki się zgadzały. Ten facet jest przerażająco zdolny, przechodzi przez nasze zabezpieczenia jak nóż przez masło. Genialny z niego programista. Jerker przy użyciu inżynierii odwrotnej przeanalizował program Case'a. Jest świetnie napisany.

– A co to ma wspólnego z salami? – spytałam. Musiałam się dowiedzieć.

Emelie wybuchła śmiechem.

– Chodzi o technikę – wyprowadzał niewielkie sumy naraz, jak plasterek po plasterku. To niemal legendarna metoda, o której wszyscy mówią, ale z którą w rzeczywistości spotykaliśmy się bardzo rzadko.

Zaciekawiło mnie to.

– Jerker, ty sprawdziłeś program. Opisz mi, jakiego rodzaju programista go napisał.

– Profesjonalista. Inteligentny kod. Proste rozwiązania trudnych problemów. Ale to nie zorganizowany typ programisty. Kod napisano chaotycznie. Jest trudny do odczytania. Powiedziałbym, że koleś jest samoukiem, chociaż niektóre konwencje formatowania i wyrażenia przekazywane na KTH też można tam znaleźć. Jest więc prawdopodobne, że przynajmniej przez krótki czas tam studiował. Mówi po szwedzku. W programie jest kilka poprawnie napisanych wersów komentarza.

– Dobra analiza. Kiedy znudzisz się programowaniem, może uda mi się zainteresować cię psychologią.

– Proszę nie podbierać mi personelu! – odezwała się Emelie i wytrzeszczyła oczy w udawanym oburzeniu. Chrząknęła. – A teraz, jeśli mogłabym kontynuować... Generowana nadwyżka trafiała na mniej więcej trzydzieści kont numerycznych, między innymi w Monako.

– Fantastycznie. – Nie byłam pewna, czy wszystko zrozumiałam, ale na pewno mnie to interesowało.

– Właśnie. Kiedy dorwiemy tego typu, najpierw zgłoszę go na policję, a kiedy wyjdzie z więzienia, zaproponuję mu pracę – zapowiedziała Emelie.

– A co się dzieje po zasileniu tych kont? Możecie posunąć się dalej?

Markus, chudy, ciemnowłosy facet, pokręcił głową.

– Nie, dzięki temu idzie mu tak gładko. Po prostu oficjalnymi kanałami nie da się uzyskać wglądu w konta i dane o ich właścicielach. W bankowym systemie informatycznym ani na wyciągu anonimowe konto numeryczne nie jest przypisane do nazwiska. Jedyne sposoby identyfikacji polega na tym, że w banku musi być co najmniej jeden pracownik rzeczywiście znający nazwisko klienta, którego rzecz jasna nie wyjawia. Mimo to nadal będziemy to analizować, bo nie jest wykluczone, że wpadniemy na to czy tamto. Strzelam, że konta należą do jakiejś fundacji, która z kolei posiada w Szwecji spółkę akcyjną, gdzie pracuje Case. Spółka płaci mu wysoką pensję i... szast-prast – pieniądze z włamań do systemu są opodatkowane i czyste.

Wzięłam łyk piwa. Poczulałam się przytłoczona.

– Nawet ja zaczynam rozumieć.

– Nie może być! Aż takie skomplikowane to raczej nie było... – rzekła z uśmiechem Emelie.

– Jak długo się tym zajmował?

– Nie wiem, jest dobry w zacieraniu po sobie śladów. Mogę opierać się tylko na tym, że konto użytkownika zostało utworzone w banku trzy lata temu...

– Trzy lata! Dawał radę aż tak długo?

– Obawiam się, że tak.

– Co teraz zrobimy? – spytałam zszokowana.

– Musimy jeszcze pogrzebać, ale myślę, że w środę, najpóźniej w czwartek, umówimy się z bankiem na spotkanie. Po prostu musimy ich skłonić, żeby zgłosili włamanie na policję. Chodzi przecież o mnóstwo okradzionych przedsiębiorstw i osób. Nigdy wcześniej nie spotkałam się z tak umiejętną i dobrze zaplanowaną kradzieżą danych. Ten typ ze swoją wiedzą może zrobić dosłownie wszystko.

– I jest gotowy zrobić dosłownie wszystko – dodałam. – Nie tylko ukradł pieniądze, ale też zamordował Pontusa, żeby nie wpaść. Mamy to czarno na białym w ich konwersacji. Tego musi się dowiedzieć policja i może to być nie-

zwykle istotne w jej śledztwie.

W sali panowała zupełna cisza. Wszyscy się zastanawialiśmy, co to wszystko oznacza. A im więcej o tym myślałam, tym okropniejsze mi się to wydawało.

Środowy poranek poświęciłam na zapoznanie się z Henrym Dorsettem Case'em. Siedziałam skulona w swoim wyswiechtanym fotelu, z dużym kubkiem herbaty i ogromną cynamonową bułeczką podgrzaną w mikrofalówce. Na kolanach miałam wszystko, co wydrukowałam z internetu na temat bohatera Gibsona, a do tego wygrzebałam własny, niesamowicie sfatygowany egzemplarz *Neuromancera*. Świat stworzony przez Williama Gibsona to głęboki hołd złożony cyberprzestępczości. Błyskotliwy obraz bardzo ciemnej i brudnej przyszłości sterowanej przez ogromne przedsięwzięcia i astronomiczne sumy pieniędzy. Co interesujące w tym kontekście, główny bohater, Case, był faktycznie hakerem, złodziejem danych, co w książkowym uniwersum wydawało się zupełnie normalne i nie bardziej godne moralnego potępienia niż obecnie praca na czarno. Coś nadającego się do usprawiedliwienia faktem, że przecież trzeba zarabiać na chleb. Nasz morderca identyfikował się więc z pewnym zaćpanym hakerem. Który ponadto był gotowy popełnić każdą zbrodnię, aby odzyskać zdolność łączenia się przez skroń z wirtualną rzeczywistością. Ciekawe. Podeszłam do komputera i usiadłam. Cały świat za oknem, pod którym stało biurko, znowu był szary. Idealny dzień, by pić nieskończone ilości herbaty i pracować.

Spróbowałam pomyśleć, od czego zacząć sporządzanie dla Emelie profilu, a raczej profili. Musiałam przygotować jeden Pontusa i jeden Case'a, czyli hakera. Hakera w czarnym kapeluszu, jak właściwie powinno się go nazywać zgodnie z tym, czego się dowiedziałam. Haker może być zarówno dobry, jak i zły – w białym kapeluszu i w czarnym kapeluszu. A nawet w szarym kapeluszu. Głupawe określenia, ale sens rozumiałam. Wiedza była ta sama, tylko wykorzystywana na różne sposoby. Coś w rodzaju: różne cele – różne kapelusze.

Zaburczało mi głośno w brzuchu i pomyślałam, że chyba lepiej będzie, jak najpierw upichcę jakiś lunch, a dopiero potem zabiorę się do profilowania. Niestety lodówka była zupełnie pusta, jeśli nie liczyć słoika kimchi i spleśniałego ogórka, ale w szafce znalazłam puszkę ravioli. Słabo, ale musiało wystarczyć.

Po południu opatuliłam się i wygrzebałam parasol. Musiałam kupić coś do jedzenia. Przekroczyłam Karlbergskanalen i zesłam Kungsgatan. Moje buty już w okolicach torowiska wokół dworca Centralstationen przemokły, a stopy zmarzły. Zatekniłam za komputerem. Dziś była środa, więc nazajutrz miałam przedstawić Emelie profile w jakiejś postaci. Co z tym zrobić? W zasadzie miałam zbyt mało informacji, ale nie mogłam powstrzymać się od myśli, że fantastycznie mieć sprawę, w którą można się zagłębić. Przyspieszyłam, żeby nie zmarznąć. Kiedy przechodziłam przez Vasagatan, musiałam wręcz rzucić się na chodnik, żeby nie ochlapał mnie od góry do dołu jasnoszary mercedes, i dosłownie wpadłam na gazety wywieszzone przed kioskiem Pressbyrån. *Diabeł zastrzelił 29-latkę!* I jak tu nie kochać popołudniówek? Naprawdę w nich wiedzą, jak tworzyć rzeczowe, wyważone i zgodne z prawdą nagłówki. Uznałam, że owym dwudziestodwuletnim określamy Pontusa Olssona, tak bowiem nazwali go dwa dni wcześniej, kiedy po raz pierwszy poświęcili mu główny artykuł. Westchnęłam, skapitulowałam, weszłam do środka i kupiłam gazetę. Oraz snickersa.

Z artykułu dowiedziałam się, że według anonimowego źródła policja we własnym kręgu nazywała mordercę „Diabełem”. Gdy autor tekstu zadał oficjalne pytanie, skąd się wziął pseudonim, organy ścigania odmówiły odpowiedzi. To się nazywa robić z igły widły. Policja nierzadko nadaje mordercy jakieś miano, bo to po prostu bardziej praktyczne, niż cały czas określać go jako „podejrzanego” czy „zabójcę”, przede wszystkim dlatego, że w bieżącej pracy toczy się często wiele spraw. A ma ono niemal zawsze mają jakieś banalne wytłumaczenie. Niemniej zastanawiałam się, czego takiego dopuścił się akurat ten sprawca, że zasłużył sobie na takie dość drastyczne miano jak „Diabeł”. Pomyślałam, czy mogłabym poprosić Rickarda, żeby trochę powęszył, ale mimo wszystko nie wydawało się to całkiem w porządku. Ech, dziennikarzom uda się na pewno wkrótce wygrzebać jeszcze więcej. Wcisnęłam gazetę do materiałowej torby i ruszyłam dalej, przeżuując snickersa.

Na placu Hötorget skręciłam w niewielki zaułek i przeszłam przez nierzucającą się w oczy bramę. Za nią surowe, grubo ciosane drewniane schody prowadziły do Omi Foods. Zazwyczaj zdecydowanie kiepsko się bawiłam, kupując jedzenie, lecz w ostatnim czasie zrobiło się jeszcze gorzej. Popełniłam błąd, czytając w święta dwie książki – jedną krzykliwą i poszatkowaną o tym, jak żyć bardziej ekologicznie, a drugą bardzo dobrze napisaną o trwającym obecnie wielkim oszustwie spożywczym, wszystkich substancjach chemicznych w jedzeniu i produkowanej przemysłowo żywności. Tę drugą подарował mi Rickard, żebyśmy przestała jeść tyle przetworzonych produktów. I zadziało. Czu-

łam prawdziwy wstręt na myśl o tych wszystkich podejrzanych składnikach, więc postanowiłam się wysilić i sama spróbować gotowania. A do tego żyć bardziej ekologicznie, według zasad z pierwszej książki. Gdy po raz pierwszy chciałam zrobić zakupy zgodnie z kryteriami, doprowadziło to do małego kryzysu. Miałam kupować produkty ekologiczne, lecz nie takie, które były ekologiczne, ale przybyły aż z Brazylii, bo wtedy robiło się nieekologicznie. Który ketchup jest zdrowszy? Ekologiczny z dodatkiem cukru, bez cukru, ale ze sztucznym słodzikiem czy taki z obniżoną zawartością cukru i oznaczeniem Fair Trade? Co jest lepsze? Nieekologiczna ryba czy ekologiczne mięso? Mieszało mi się od tego w głowie. Zakupy zajęły mi dwie godziny i kosztowały majątek.

Poza tym miałam jeszcze jeden problem, i to właściwie dość poważny – nie umiałam gotować. Jedyne rodzaje jedzenia, o którego przyrządzaniu miałam jakiekolwiek pojęcie, to koreańskie. Nauczyłam się tego od babci przez te lata, gdy u niej mieszkałam. Kłopot polegał jednak na tym, że produkty były najczęściej typowo koreańskie i dlatego trochę za dużo się napodróżowały, żeby załapać się do ekologicznej przegródki. Na żadne rozwiązanie jeszcze nie wpadłam, weszłam więc z wyrzutami sumienia do dużej, zaniedbanej piwnicy, w której mieściło się Omi Foods, i kupiłam sobie jedzenie na wieczór. Zwraçałam uwagę, żeby wybierać tylko to, czego nie ma w lokalnej wersji. Wodorosty na naszej szerokości geograficznej po prostu nie występują, więc podejrzewałam, że wersja z zachodniego wybrzeża Szwecji raczej nie wróży sukcesu. Wypakowałam cały koszyk różnymi towarami, ale pod koniec skapitulowałam na całej linii, wzięłam gigantyczne opakowanie gotowych mrożonych pierożków i zapłaciłam.

Po zakupach przeszłam przez Hötorget i zeszłam do Hötorghallen. Kupiłam tu warzywa, butelkę białego wina i całego śledzia dla Kisse, kotki Rickarda, która u mnie tymczasowo pomieszkiwała. On wracał dopiero w piątek, więc ja i Kisse miałyśmy przed sobą jeszcze dwa samotne wieczory.

Na koniec kupiłam na targu czerwone tulipany. Niosąc torby z zakupami, poszłam w kierunku ulicy Kungsbro Strand. Tęskniłam za wiosną. Emelie twierdziła, że zmierzamy już ku jaśniejszemu okresowi, lecz ja uważałam, że nadal prawie bez przerwy było ciemno.

W domu zrzuciłam płaszcz na podłogę w przedpokoju i wtarabaniłam się z torbami do kuchni. Kisse zgotowała mi ciepłe powitanie. Podejrzewałam, że wyczuła zapach kupionej ryby. Kiedy stawiałam torby na blacie kuchennym, niecierpliwie ocierała mi się o nogi. Ogon stał jej na sztorc. Uśmiechnęłam się, podrapałam ją za uchem i postawiłam jej talerzyk na podłodze. Rozległ się chrzęst, gdy z rozkoszą wbiła zęby w rybę. Podgrzałam pierożki w mikrofalówce i przygotowałam dip z sosu sojowego, sezamu, octu, chili i cukru. Wyłożyłam na talerz wielką górę kimchi – cudownej pikantnej, fermentowanej kapusty z chili, którą uwielbiałam i jadłam do wszystkiego. Ukłucie wyrzutów sumienia sprawiło, że dodałam odrobinę sałaty i kilka plasterków ogórka. Wzięłam jedzenie, poszłam do gabinetu i usiadłam przed komputerem. Przeżuwaszając pierożka, chwilę się zastanawiałam. Postanowiłam zacząć od Rady ds. Zapobiegania Przestępczości, bo potrzebowałam przede wszystkim informacji ogólnych.

Między jednym gryzem a drugim dowiedziałam się z niezależnych raportów Rady, że kradzieży danych częściej dokonują pracownicy wewnętrzni niż osoby pochodzące z zewnątrz, ale to te przestępstwa firmy zgłaszają chętniej, przypuszczalnie dlatego, że z wewnętrznymi radzą sobie sami. Poza tym naruszeń ochrony danych dokonywali niemal wyłącznie mężczyźni i że sześćdziesiąt osiem procent sprawców ma od piętnastu do dwudziestu pięciu lat. Wow, jacy młodzi.

Po chwili dołączyła do mnie Kisse, która wskoczyła mi na kolana. Podreptała dookoła, położyła się z zadowoleniem i zamruczała. Pogłaskałam ją jedną ręką, a drugą odsunęłam klawiaturę.

Wróciłam do czytania raportu. Stwierdzono w nim, że anonimowość osób korzystających z komputerów i brak konkretnych ofiar stwarzały warunki do popełniania w internecie przestępstw, o których sprawcy w prawdziwym życiu nie mogliby nawet pomyśleć – zwykle normy w rzeczywistości wirtualnej nie obowiązywały w równie oczywisty sposób. Przestępczość jest też obecnie w większym stopniu globalna – pieniądze między państwami można przelewać w ułamku sekundy. Składano też bardzo niewiele zgłoszeń. Firmy w badaniu Rady uzasadniały to tak, że chciały uniknąć negatywnej opinii, a policja i tak nie dysponowała wystarczającymi kompetencjami ani zasobami, aby prowadzić dochodzenia w sprawie o te przestępstwa. Nie nadążało też prawo, gdyż w najwyższym stopniu trudno było określić, co stanowiło naruszenie przepisów i jak kwalifikować czyny. Wyglądało to na jedno wielkie bagno.

Po trzech godzinach, gorze wyśmienitych pierożków, dwóch lampkach wina i dwóch filiżankach kawy odchyliłam się na oparcie i rozciągnęłam ramiona. Kisse niezadowolona zeskoczyła z moich kolan i ułożyła się na fotelu. Z zafascynowaniem przewertowałam kilka raportów i analiz Rady. Przestępcy finansowi nie byli choć w minimalnej części tak szczegółowo opisani jak mordercy czy nawet mordercy seryjni. Ilu ich przypadało na jednego zabójcę? Może tysięcy? A mimo to istniało niewiele, jeśli w ogóle jakiekolwiek sprawdzone teorie dotyczące typu osób, które popełniają te przestępstwa. Krążyły jedynie luźne pomysły.

Jak mam posunąć się dalej? Stałam przy białej tablicy wiszącej na ścianie obok biurka. Co wiedziałam? Że facet, który to zrobił, jest bez wątpienia inteligentny. Miał wieloletnie doświadczenie w programowaniu, być może studiował na KTH, jak twierdził Jerker. Dysponował bardzo dużą wiedzą o tym, jak przebiegają transakcje bankowe. Czy Pontus mógł go tego nauczyć? Czy mógł to być ktoś, kogo znał? Niewykluczone. Czy mógł to być któryś z techników bankowych? Emelie uważała, że to na pewno nikt z pięciu pracowników działu IT, gdyż żaden z nich nie miał wystarczającej wiedzy na temat programowania.

Podrapałam się po karku, wpatrując się w notatki na tablicy. Sprawca miał prawdopodobnie nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, jeśli wierzyć statystykom Rady. Raczej na pewno był to mężczyzna. Nawet jeśli jest dużo zdolnych programistek i hakerek, to niewiele dokonuje zabójstw. Ta osoba spełniała oba kryteria.

Ta ostatnia kwestia sprawiała mi duży kłopot. Jak to oba kryteria? To dwa zupełnie różne typy osobowości. Dobry programista jest cierpliwy, umie się skoncentrować i głowić nad rozwiązaniem problemu całymi godzinami czy dniami, lecz również nie zawsze jest zbyt społecznie rozwinięty i odważny. Motywem hakera bywa chęć zysku, lecz także zwykła chęć – może się gdzieś włączyć tylko z zamiarem udowodnienia, że sobie z tym poradził.

Żeby zabić kogoś w taki sposób, potrzebne jest chłodne wyrachowanie w rzeczywistości, a nie pośród zer i jedynek. Case zamordował, aby chronić swoją inwestycję, czyli włamanie do systemu bankowego. Zamordował, aby samemu nie ryzykować, że trafi do więzienia. Zamordował, aby zatrzymać pieniądze, które ukradł do tej pory, z chciwości, żeby zdobyć ich jeszcze więcej. Większość zbrodni popełnia się w afekcie, jak to się dawniej mawiało. Ktoś wybuchł z wściekłości, ktoś sobie popił i wpadł w gniew, a ktoś inny wdał się w bójkę czy był chorobliwie zazdrosny. Jeśli zupełnie zwyczajna osoba znalazła się w odpowiednim stanie napięcia emocjonalnego, mogła zamordować, kimkolwiek była. Nie w każdym wypadku, lecz prawie. Zamordować po namyśle, po wybraniu odpowiedniego sposobu, a przy tym – jak w tym przypadku – mając inne rozwiązania, bo Pontusa można było na przykład przekupić albo zmusić do milczenia, wymagało niewiarygodnego emocjonalnego chłodu.

Ten zabójca to podręcznikowy przykład osoby, która zamordowała z zimną krwią. Czekał na Pontusa i strzelił mu w skroń, bez jakichkolwiek wstępów czy rękoczynów. Gdyby doszło do wymiany zdań albo kłótni, zastrzeliłby Pontusa z odległości paru kroków. Gdyby morderca się zdenerwował, zaobserwowalibyśmy jeszcze więcej przemocy. Wszystkie znaki wskazywały tu na zaplanowane i kontrolowane działanie, choć nie był psychopata. Ci nie mają wystarczającej cierpliwości do pracy programisty. Był to ktoś, kto prawdopodobnie wcale nie cierpiał na żadną chorobę psychiczną, tylko po prostu zimna, wyrachowana osoba. I to naprawdę niebezpieczna, gotowa posunąć się do wszystkiego, aby nie dać się złapać. Przekopywałam się dalej przez literaturę przedmiotu, żeby znaleźć więcej informacji.

Wyprostowałam się. Jak na razie nie ruszyłam z hakerem zbyt daleko. Zaczęło się robić późno, więc postanowiłam zostawić Case'a i przez chwilę zająć się Pontusem. Zaczęłam wypisywać, co o nim wiedziałam. Uprawiał koszykówkę. Pracował w banku od trzech lat. Grał w World of Warcraft, internetową grę RPG, co najmniej trzy wieczory w tygodniu. A na Facebooku był prawdziwym czarusem. Sprawiał na mnie wrażenie nieskomplikowanego, dość zrównoważonego i towarzyskiego kolesia. Przeczytałam jego wpisy na niszowej stronie na Flashbacku. Należał do tych facetów, którzy lubią mówić innym, jak działa to czy tamto i jak coś trzeba robić, ale nigdy nie zachęcał do przestępstwa. Zgadza się to z teorią, że naprawdę odkrył włamanie, natknął się na Case'a, a potem został zamordowany, bo zagroził zgłoszeniem na policję. Czy znał tożsamość Case'a? Nie, jeśli wierzyć chatom odkopanym przez Emelie. Według niej tego użytkownika nie dało się wysledzić.

Napisałam tak szczegółowy raport, jak tylko mogłam. Z koszmarnie zagraconej półki przyniosłam jedną książkę i dla pewności sprawdziłam kilka źródeł, po czym uznałam, że wszystko gotowe. Wpatrywałam się przez chwilę w półkę, a następnie wcisnęłam książkę w wolną szczelinę. Tova, z którą pracowałam nad sprawą zeszłego lata, zatrudniona w policji błyskotliwa, zabawna członkini subkultury gotyckiej, pomogła mi uporządkować książki, ale półka powoli pogrążyła się z powrotem w chaosie. Naprawdę powinnam ją posprzątać. Wyjęłam parę książek. Ustawiłam je we właściwych miejscach. Wyciągnęłam jeszcze kilka. Zadrżały mi palce. Ogarnęła mnie fala mdłości. Walilo mi serce i poczułam silny przymus policzenia książek. Dotknięcia ich wszystkich po kolei. Złapałam się za pierś. Nie mogłam oddychać. Pieprzone choróbsko!

Zmusiłam się, by odejść od półki, potarłam się po twarzy i nalałam do wanny gorącej wody. Było to prawie niewykonalne, lecz zmuszałam samą siebie, by pamiętać, że tymi myślami straszy mnie tylko mój mózg i że nie są prawdziwe. Spróbowałam odwrócić swoją uwagę. Myśli powoli ustępowały. Mogłam z powrotem oddychać. Kiedy kąpiel była gotowa, zniknęły prawie całkowicie. Bolał mnie każdy mięsień i oblewał mnie pot. Ale wygrałam, mimo wszystko. Nie liczyłam książek ani nie dotykałam każdej okładki po kolei w bolesnym poniżeniu. Rozebrałam się i opłukałam twarz zimną wodą. Kiedy zanurzyłam duży palec u nogi, zadzwonił telefon. Zaczęłam biegać nago po mieszkaniu, chcąc go znaleźć. Doprawdy nie powinnam mieć pozwolenia na posiadanie telefonu komórkowego. Po

jakichś dziesięciu sygnałach znalazłam go pod fioletowym szalem, na dużej koreańskiej szafce lekarskiej, która służyła w korytarzu za komodę. Owinęłam się nim, żeby nie zamarznąć na śmierć, i z trudem łapiąc oddech – odebrałam.

– Mówi Althea.

– Cześć, kochanie! Poszłaś do łóżka z listonoszką? Wydajesz się taka zasapana.

– Możesz sobie pomarzyć. Znowu nie mogłam znaleźć tego durnego telefonu.

Listonoszką była młoda dziewczyna z jaskrawoczerwonymi włosami.

– Może spróbuj przyczepić telefon w przedpokoju?

– Niezły pomysł, chociaż trochę w stylu lat siedemdziesiątych. A jak tam u ciebie i reszty twardzieli?

– Ekstra! Pięknie świeci słońce, a stoki są idealne. Musimy tu kiedyś przyjechać we dwójkę.

Uśmiechnęłam się, pocierając brzuch swojego dużego śmiejącego się buddy. Stał pośrodku bezładnej kupy listów, rękawiczek, biletów autobusowych w bloczkach i podobnych drobiazgów.

– A mają dla mnie dziecięcy stok? A może przystojnego instruktora?

– To przecież ja będę robić za przystojnego instruktora!

– Ha! Tylko nie instruuj żadnych innych kobiet.

– Nic się nie bój. – Milczał przez chwilę. – Tęsknię za tobą.

– Ja też. I ja, i Kisse za tobą tęsknimy.

– Jutro znowu zadzwonię. Śpij dobrze. Ucałuj ode mnie Kisse.

– Nigdy w życiu! Zjadła na kolację całego śledzia. Do usłyszenia jutro.

Odłożyłam telefon i przejrzałam się w lustrze. Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać. Całe szczęście, że to nie była rozmowa wideo, bo pewnie wtedy Rickard nie tęskniłby za mną równie mocno. Swoje czarne, grube loki związałam w węzeł, który opadał z jednej strony na pół głowy. Skóra blada z wyjątkiem ciemnych kręgów pod oczami. Ciało miałam kanciaste jak chłopak przed okresem dojrzewania. Byłam chuda, chociaż brzuch niemal wystawał mi bardziej niż nieistniejące piersi. Elegancko. Zachwycająco. Seksownie. Muszę coś z tym zrobić. Zaczęliśmy chodzić z Emelie na jogę, bo miałyśmy dosyć naszych trzęsących się rąk i miękkich brzuchów, więc wspólnie podjęliśmy postanowienie noworoczne, że zapiszemy się na kurs. Znalazłyśmy cudowne, klimatyczne maleńkie spa na Roslagsgatan, zaledwie kilka przecznic od budynku, gdzie znajdowały się mieszkanie i biuro Emelie. Zajęcia jogi prowadzili w ładnym pokoju z wysokim sufitem, piecem kaflowym, w którym trzaskał ogień, i skrzypiącymi panelami, ale wydawało mi się, że to raczej nie wystarczy do nabrania kondycji. Spojrzałam na ulotkę z sieci siłowni SATS, którą przyczepiłam do lustra w przedpokoju. Jutro zadzwonię i się zapiszę. Może.

Poszłam do łazienki, położyłam się w wannie i oddałam niewesołym rozmyśleniom. Fakt, że nie miałam prawdziwej pracy, i próby sprostania narzuconej przez samą siebie roli normalnej, uroczej dziewczyny całkowicie mnie dobiły, co dość absurdalne. Kochałam Rickarda i śmiertelnie się bałam, że go stracę, co dodatkowo pogarszało całą sprawę. Moje żądania, aby być normalną, sprzątać mieszkanie, nie rechotać na całe gardło, nie drapać się po nieodpowiednich miejscach, nie zostawiać po sobie nieprzyjemnego zapachu w toalecie ani długich czarnych włosów pod prysznicem, nieustannie wpędzały mnie z powrotem w problemy psychiczne. One i brak sensownej pracy. Nie chciałam pisać artykułów o profilowaniu ani analiz innych spraw, co było moim jedynym zajęciem przez ostatnie pół roku. Chciałam robić coś na poważnie. Tylko wtedy, kiedy mogłam naprawdę pracować, pomagać, coś zmieniać, czułam się dobrze. Wtedy wierzyłam w siebie. Wtedy byłam zadowolona. Im bardziej szalonych sprawców analizowałam, tym normalniejsza wydawałam się samej sobie.

Minął dopiero tydzień, odkąd otrzymałam ofertę pracy jako profilerka dla nowojorskiej policji. To była najlepsza propozycja zawodowa, jaką kiedykolwiek dostałam. Nie miałam odwagi nikomu o niej powiedzieć. Chciałam przyjąć to stanowisko, ale nie zamierałam rozstawać się z Rickardem. To, że chciałby przeprowadzić się ze mną, uznałam za nieprawdopodobne. Był w samym środku kariery komisarza w Rejonowym Wydziale Kryminalnym i uwielbiał swoją pracę. Jego rodzice zaczęli się starzeć, podobnie jak moi, a on przywiązywał dużą wagę do tego, by być przy nich. Chciałam zostać z nim tutaj, ale czy warto poświęcać całą karierę mężczyźnie, z którym byłam od pół roku? A gdybym nie opuściła Sztokholmu i miała nieudaną karierę, czy czułabym się szczęśliwa, nawet w związku z Rickardem? Westchnęłam głęboko i zanurzyłam się głębiej w gorącej, pachnącej lawendą wodzie.

Pieprzone konie. K. P. Rönndahl zgniół kupon i ścisnął go w dłoni. Siedział w swoim ulubionym fotelu i wpatrywał się w telewizor. Ostatnia gonitwa właśnie się skończyła. Wstał powoli z ciężkim westchnieniem i poszedł do kuchni. Napił się wody. Przesunął dłonią po siwym kilkudniowym zarostcie. Taki był pewien tej gonitwy. Z drugiej strony sto pięćdziesiąt koron to przecież żaden majątek. Po prostu nienawidził przegrywać. Rozległ się dzwonek do drzwi. Poszedł posuwistym krokiem do przedpokoju i wyjrzał przez niewielki wizjer. Na klatce schodowej panowały ciemności. Pieprzeni wandalę znowu tu byli. Nie mógł dojrzeć, kto stoi za drzwiami, ale to na pewno Agda z naprzeciwnika. Zawsze się niepokoiła, kiedy na klatce było ciemno, i potrzebowała towarzystwa. Otworzył jej z uśmiechem. Mężczyzna z ciemnoszarym kapturem naciągniętym głęboko na czoło przeszedł szybko przez drzwi i cicho je za sobą zamknął.

– Czego chcesz? Tu nie ma nic do zabrania. Nie mam pieniędzy!

Rönndahl odwrócił się i wbiegł w głąb mieszkania, żeby dotrzeć do telefonu. Mężczyzna złapał go z tyłu i mocno zacisnął mu ramię wokół szyi. Rönndahl dziko wymachiwał rękami, udało mu się oswobodzić, ale stracił równowagę, uderzył plecami o ścianę i runął na chwiejny stolik w przedpokoju. Zdołał przytrzymać się jego krawędzi i nie upaść. Pierwszy strzał trafił w linię włosów. Rönndahl krzyknął, lecz rozległ się jedynie gardłowy jęk. Następny strzał trafił w środek klatki piersiowej. Mężczyzna był martwy, jeszcze zanim ciało z głuchym łoskotem uderzyło o podłogę.

Jak to się mogło stać? Wpatrywałam się sceptycznie w swoją szafę. W środku wisiały dwie sukienki i marynarka. Reszta ubrań znajdowała się w dwóch wypełnionych do połowy torbach z Ikei, które stały w garderobie obok sypialni. Od ostatniego prania nawet ich nie rozpakowałam. Jedna z toreb się przewróciła, a jej zawartość wypadła na podłogę. Rzuciłam okiem na zegarek w sypialni. Jeśli miałam być na czas, do wyjścia zostało mi piętnaście minut. Prawie cały czwartek pracowałyśmy z Emelie w Infosecu i sporządziliśmy naprawdę dobry, szczegółowy raport. Dziś natomiast był piątek, a my miałyśmy się spotkać z przedstawicielami banku. Co na siebie włożyć? Stało na koszuli w kolorze królewskiego błękitu i czarnych spodniach. Przez dziesięć minut usiłowałam wygładzić swoje niesforne włosy i spleść je w jako taki poważny węzeł opadający na kark. W końcu się poddałam. Zawsze zostawał jakiś mały wystający lok. Tak po prostu było. A na zakończenie tego koszmarnego poranka pociągnięcie zalotką, odrobina tuszu do rzęs i trochę błyszczycy. Po raz ostatni przejrzałam się w lustrze i jeszcze trochę podniosłam kołnierzyk koszuli, próbując zakryć długą bliznę, która zaczynała się w okolicach lewego obojczyka i biegła nad prawą piersią. Pamiętka po napadzie w Nowym Jorku. Miałam nadzieję, że po roku blizna się rozjaśni i nie będzie już taka wypukła, ale nic na to nie wskazywało. Zanotowałam w pamięci, żeby się dowiedzieć, czy można coś z nią zrobić, i wypadłam przez drzwi z torebką i płaszczem w ręce. W windzie posłałam swojej garderobie nienawistną myśl.

Że znajdowała się w tak kiepskim stanie, było winą Emelie, chociaż nie, raczej wyłącznie moją własną. To, co wydawało się na początku naprawdę dobrym pomysłem, okazało się bardzo złym. Od kiedy pamiętam, w kwestii ubioru byłam beznadziejna. Chyba nigdy nie wyjełam z szuflady pary rajstop, które byłyby całe. Ubrania w mojej obecności jakby się rozpadały. Puszczaly szwy. W przeciwieństwie do plam. Swetry z dzianiny zmieniały się w zmechaczone nieszczęścia. Za nic nie potrafiłam zadbać o własną garderobę, co mnie zawstydzalo, lecz z czym mimo wszystko się pogodziłam. Za każdym razem jednak, kiedy czekało mnie ważne spotkanie, byłam na siebie równie mocno zła. Pewnego listopadowego wieczoru po tego typu spotkaniu, kiedy to chodziłam w dziurawych rajstopach i z brzegiem spódnicy zacerowanym agrafką, siedziałyśmy u mnie z Emelie i piłyśmy wino. Rozmawiałyśmy o moim odzieżowym kalectwie i Emelie zaproponowała środek zaradczy.

– Masz po prostu za dużo starych, zniszczonych ubrań. Musimy ci zrobić w szafie czystkę. Gdybyś miała mniej ciuchów, dbałabyś o nie lepiej.

– Ale ja je tak lubię.

Nic nie powiedziała, tylko spojrzała znacząco na czerwony sweter z dzianiny, który miałam na sobie. Był znoszony i rozciągnięty we wszystkie strony, aż trudno go było rozpoznać.

– Okej, może powinnyśmy w takim razie trochę powyrzucać – przyznałam.

– Trochę! Zobaczmy. – Wstała i poszła w stronę garderoby.

– Teraz?

– A jak! Najwyższy czas.

Emelie powyrzucała z toreb z Ikei i szuflad wszystkie moje ubrania. Następnie usiadłyśmy na podłodze z kieliszkami wina. Nadal nie byłam do końca pewna, czy podoba mi się ten pomysł.

– A te? Moim zdaniem do wyrzucenia. – Emelie podniosła parę czarnych spodni z popsutym zamkiem.

– Nie... Przecież by się nadały, gdybym je naprawiła...

– Akurat to zrobisz! Ale okej, odłóżmy je na kupkę „Może”, a ja w przyszłym tygodniu wezmę ze sobą igłę i nitkę.

– Nigdy nie będzie mnie stać, żeby kupić tyle nowych ubrań – stwierdziłam ponuro, wpatrując się w wielki stos „Do wyrzucenia”.

– Chodzi o to, żebyś nie miała tylu ubrań. Nikt nie potrzebuje sześciu par czarnych spodni. Wystarczą dwie, o które będziesz naprawdę dbać. I rzadziej pierzesz.

– No tak, chyba masz rację.

– Poza tym większość potrzebnych rzeczy możemy kupić w lumpeksie. To ci się na pewno spodoba – powiedziała, wyrzucając jednocześnie z niesmakiem niesamowicie sprany biustonosz.

Skończyłyśmy dopiero około północy.

– Kupka „Zostawić” wydaje mi się niepokojąco mała – odezwałam się.

– Tak, ale reszta to same szmaty. – Wstała i rozciągnęła plecy. – A teraz na śmietnik!

– W środku nocy?

– Owszem. Teraz. Bo inaczej założę się, że kiedy przyjdę następnym razem, połowa tych ubrań w jakiś tajemniczy sposób znajdzie się z powrotem w szafie. – Wzięła się pod boki i wbiła we mnie wzrok.

Przewróciłam oczami. I poczułam się winna.

Do śmietnika na odpady wielkogabarytowe spółdzielni mieszkaniowej zaniosłyśmy cztery pełne papierowe torby z ubraniami. Później, kiedy już pożegnałam się z Emelie, wślizgnęłam się tam i wykradłam z powrotem trzy swetry zrobione na drutach i ukochany, najbardziej wyświechtany dres.

Po tym wieczorze moja garderoba była niemal pusta. Zupełnie niespodziewanie możliwe kombinacje stały się bardzo ograniczone. Ale Emelie miała rację. Te wszystkie odzieżowe opcje były w zasadzie całe i czyste, nawet jeśli jeszcze niewyprasowane. Szkopuł oczywiście w tym, że nigdy nie przyszło mi do głowy, by wybrać się na zakupy, skompletować garderobę i przywrócić ją do stanu używalności.

Na spotkanie z Emelie zdążyłam z zaledwie dwuminutowym zapasem. Widziałam, jak chodzi tam i z powrotem przed wejściem do domu towarowego NK i stuka w swojego blackberry. Ma na sobie rozpięty, szyty na miarę płaszcz w kremowym kolorze, szary kostium i szare lakierki na wysokim obcasie. Lśniły jej obcięte na pazia włosy. Kurde, ależ ona jest ładna. Uśmiechnęłam się, podeszłam do niej i ją przytuliłam. Zrobiło mi się jej żal. Emelie nie lubiła przegrywać, a to włamanie odebrała bardzo osobiście.

– Pospałaś chociaż trochę?

– Eee tam... Pospać mogę kiedy indziej. Najważniejsze jest ratowanie firmy.

– A jadłaś?

Emelie wyglądała poważnie.

– I tak muszę schudnąć. – Zaczęła iść w kierunku placu Normalmstorg.

– Nie idziemy do banku? – spytałam.

– Idziemy do jakiegoś małego prywatnego klubu premium, o którym nigdy wcześniej nie słyszałam. Na Jakobsbergsgatan, przecznicy od Biblioteksgatan – wyjaśniła. – Nie chcieli się spotkać w biurze, bo nie chcieli, żeby ludzie zaczęli pytać, dlaczego biegamy tam tak często. – Emelie prychnęła.

Na Jakobsbergsgatan zapukałyśmy do niepozornych drzwi i zostałyśmy wpuszczone przez mężczyznę w czarnym garniturze. Wprowadził nas do dużego pomieszczenia pogrążonego w absolutnej ciszy. Tu i tam stały grupki mocno wypchanych foteli obitych bordową skórą. Z sufitu zwisał ogromny kryształowy żyrandol. Dwie grupy sof były zajęte. Sami mężczyźni, wszyscy w ciemnych garniturach. Rozmawiali ścisłymi głosami. Część z nich czytała gazetę. Stałyśmy przy drzwiach i nie do końca wiedziałyśmy, dokąd powinnyśmy się skierować, kiedy z innych drzwi wyszedł do nas Hesslow. Miał dziś na sobie szarą koszulę zapiętą pod szyję, fioletowy krawat i czarny garnitur, a jego kucyk był związany równie schludnie jak ostatnio. Uśmiechnął się do nas uprzejmie i uściśnął najpierw dłoń Emelie, a potem moją. Wyjątkowo Emelie się myliła. Facet był do niej zdecydowanie pozytywnie nastawiony, dało się to wyczytać w jego oczach.

– Witamy – powiedział stłumionym głosem. – Tędy.

Przeszliśmy przez salę jadalną zastawioną okrągłymi stolikami, na których leżały białe obrusy sięgające podłogi, i znaleźliśmy się na długim korytarzu z nieoznaczonymi drzwiami. Hesslow otworzył trzecie i wpuścił nas do środka. W okrągłym piecu kaflowym trzaskał ogień. Siadłyśmy naprzeciwko w skórzanych fotelach. Carl Lindstein już tu czekał.

– Zobaczymy, do czego doszłyście – odezwał się Hesslow.

– Z przyjemnością – odpowiedziała Emelie, chociaż wiedziałam, że w rzeczywistości się tak nie czuje. – Pracowałyśmy nad tym problemem z dwóch różnych perspektyw. Częściowo w tym celu, aby sporządzić całościową analizę tego, co się stało w systemie, a częściowo aby w kilku punktach wzmocnić bezpieczeństwo. Wszystko jest w pisemnym raporcie, który otrzymacie.

Carl Lindstein pokiwał głową. Złączył opuszki palców i odchylił się na oparcie fotela.

– Co znalazłyście? – Hesslow sprawiał wrażenie zniecierpliwionego. Zauważył, że na niego patrzę, i niemal demonstracyjnie spojrzął na zegarek.

Westchnęłam niesłyszalnie.

Emelie rozłożyła dłonie.

– Znalazłyśmy niemal genialny program do niezauważalnego wysysania pieniędzy z banku. Niestety nie mogę jeszcze ocenić, jak długo to trwało ani o jakie kwoty chodzi, ale obstawiałabym, że odbywało się to od trzech lat, a klienci banku stracili co najmniej dziesięć milionów koron.

Żaden z mężczyzn nie zmienił wyrazu twarzy. Byli jednak znacznie bledsi niż kilka chwil temu.

– Odkryłyście jakieś poszlaki, kto dokonał włamania? – spytał Hesslow.

– Nie, niestety nie. Ślad kończy się na kilku zagranicznych kontach numerycznych, których jako firma nie mamy możliwości wyśledzić. Lecz przy pomocy policji...

– Nie ma mowy! – wykrzyknął Carl. Hesslow odchylił się ciężko na oparcie. – Czy to nie ten technik dokonał włamania? – Lindstein wyglądał sceptycznie.

– Nie, przeciwnie – odkrył włamanie i groził, że zgłosi je na policję.

– Chodzi więc o to, że dokonał tego ktoś inny z banku czy to złodziej z zewnątrz?

– Tego nie wiemy, ale jesteśmy raczej pewni, że to ktoś z zewnątrz, ponieważ nie mogliśmy znaleźć ani jednego logowania na to konto z banku. Zawsze logował się z zewnątrz.

– „Raczej pewni”, co to ma być za odpowiedź, do cholery? – Carl zamachał ręką. – Robisz za eksperta w tym temacie i jesteś zatrudniana za ciężkie pieniądze, żeby to się nigdy nie zdarzało. A kiedy już się zdarza, nawet nie potrafisz mi podać jednoznacznej informacji. Jestem głęboko rozczarowany.

– Jestem równie rozczarowana, że do tego doszło, ale będziemy mogli się dowiedzieć, co się stało, i odzyskać pieniądze klientów. Razem z policją...

– Sądziłem, że jest jasne jak słońce, iż nie będziemy w to mieszać żadnych organów. Chyba to rozumiesz, moja panno? Nasze notowania giełdowe poleciały w dół, ale i tak mniej niż innych banków. Takiego kryzysu jednak nie wytrzymamy. Tu wchodzi w grę istnienie całej firmy. Dziesięć milionów to dla nas drobna suma, zwłaszcza w porównaniu z wartością naszej reputacji.

– Tak, ale klienci mają przecież prawo wiedzieć. To ostatecznie ich pieniądze zniknęły.

– To pieniądze banku! – ryknął. – I wydaje mi się, że to ja nim kieruję. Żadnego zgłaszania na policję! – Podniósł sękaty palec i wbił wzrok w Emelie.

– Tak, ale...

– I mam nadzieję, że jesteś objęta bardzo dobrym ubezpieczeniem. Spodziewaj się pozwu. Drogo cię to będzie kosztowało.

– Chcę tylko zaznaczyć, że nie byłam odpowiedzialna za ten obszar bezpieczeństwa banku. W trakcie całej naszej współpracy odmawialiście mi do niego dostępu. Poza tym w umowie jest zapisane czarno na białym, że pod żadnym pozorem nie mogę być pociągnięta do odpowiedzialności za...

– Bzdury. Odpowiadasz za to. Chcę, abyś w ciągu dwóch tygodni znalazła osobę, która to zrobiła, i wymyśliła rozwiązanie, jak odzyskać pieniądze, które straciliśmy. Wtedy się ewentualnie zastanowimy, czy zostawić ci to zlecenie. Chyba zdajesz sobie sprawę, że kiedy przestaniemy być twoim klientem, trudno ci będzie potem znaleźć innych, nieprawdaż?

Emelie siedziała z założonymi rękami i tylko się w niego wpatrywała. Była blada jak ściana.

– Dobrze. W takim razie dzisiaj nie mamy już sobie nic do powiedzenia. Zostaw tu raport.

– Mam nadzieję, że nie istnieje więcej kopii – odezwał się Hesslow.

– Nie, tylko te dwie – potwierdziła Emelie.

Skinął krótko, wyszedł za nami, delikatnie zamykając za sobą drzwi, i powiedział:

– Przepraszam, że Carl był taki niemiły. Pomówię z nim o tym pozwie. Chyba mogę go nakłonić, żeby dał sobie spokój.

– Tak, o ile nie chce, żeby to się dostało do wiadomości publicznej, niełatwo mu będzie napisać pozew, no nie? – spytałam, nie mniej wściekła niż Emelie.

Hesslow się uśmiechnął. Z zakłopotaniem. Serdecznie odwzajemniłam uśmiech. Nie wątpiłam ani przez chwilę w to, że jego zdaniem Carl postąpił niewłaściwie.

– Trudno się nie zgodzić. Emelie, skontaktujmy się za tydzień i wtedy zobaczymy, co robimy dalej z dochodzeniem.

Emelie krótko skinęła i uściśnęła jego wyciągniętą dłoń. W milczeniu przeszłyśmy przez klub. Kiedy znalazłyśmy się na ulicy, drzwi ciężko się za nami zamknęły. Z oczu Emelie sypały się iskry wściekłości. Zapięłam płaszcz pod samą szyję i wsadziłam ręce głęboko do kieszeni.

- Carl Lindstein to kompletny idiota, największy, jakiego spotkałam – powiedziałam z naciskiem.
- Tak. Althea, co ja mam, do cholery, zrobić?
- Idziemy się napić po dużej filiżance mocnej kawy. – Włożyłam jej rękę pod ramię. – Damy sobie radę.

Wyglądała, jakby nie była tego równie pewna. Szczerze mówiąc, ja też nie, ale nie miałam zamiaru tego tak od razu przyznawać. W milczeniu przeszliśmy po Biblioteksgatan i przez Norrmalmstorg i minęliśmy wysokie, kanciaste filary z granitu pośrodku placu, mające stanowić coś w rodzaju fontanny, otoczone przez wielką, płytką kałużę pełną niedopałków papierosów, liści i skrawków papieru. Kawalek dalej szedł jakiś mężczyzna i grzebał w koszach na śmieci. Typowa starsza pani z dzielnicy Östermalm w różowej garsonce o splocie matelassé i kapeluszu oraz z papierosem w rozczapierzonych palcach siedziała na sąsiedniej ławce i patrzyła na poszukiwacza z niesmakiem. Skręciliśmy w Hamngatan i w końcu dotarliśmy do kafejki obok księgarni w NK. Siedzieliśmy tam, w tej twierdzy zbytku, popijałyśmy cappuccino i patrzyłyśmy na ludzi. Gadałyśmy o urządzaniu wnętrz. I o książkach. Kawa była dobra, a największy szok po chwili minął, więc odważyłyśmy się porozmawiać o spotkaniu z przedstawicielami banku. Musiałyśmy przyznać, że umowa mimo wszystko mocno wiązała Emelie. Najlepszym, co mogła zrobić, było kontynuowanie dochodzenia, aby znaleźć trochę więcej informacji, które zadowolilyby Carla, a potem spróbowałyby zrezygnować ze zlecenia tak szybko, jak tylko na to pozwalały zapisy umowy.

– Nie chcę mieć nic wspólnego z tym wstrętnym typem dłużej, niż to konieczne. A ja myślałam, że mu zależy na klientach. Idiotka ze mnie. Zależy mu wyłącznie na jego pieprzonym szwajcarskim koncie!

– Dobrze rozumiem, że nie chcesz się z nim zadawać. Ale nie stracisz tego zlecenia, o tym jestem absolutnie przekonana.

– Jak możesz być tego taka pewna?

– Jeżeli wypowie ci umowę, to przecież skończą się też jego możliwości, by tobą kierować, kontrolować, co robisz, i dbać o to, że trzymasz buzię na kłódkę, prawda?

– I tu możesz mieć rację. – Emelie chwilę się zastanawiała. – Olać go. A teraz idziemy zrobić zakupy na pocieszenie. Nie mam siły wracać do biura.

– Idealnie. Jak wiemy, mam w szafie tylko echo.

Niespiesznie podążyłyśmy przez miasto. Kupiłam w Stadium wiatrówkę i parę rękawiczek, a do tego obszerny golf w H&M. W Beyond Retro na Drottninggatan znalazłam przy pomocy Emelie prześliczne rzeczy. Ten sklep był absolutnie niewiarygodny. Nigdy wcześniej nie byłam w lumpeksie takich rozmiarów. Mnóstwo ciuchów z lat pięćdziesiątych i kolejnych dekad. Klienci od nastolatków po starsze panie. Szybko doszłam do wniosku, że to od dzisiaj mój ulubiony sklep.

Po południu, po tym jak na Centralstationen przekazałam rozwścieczoną Kisse w podróżnej klatce Tilly, mamie Rickarda, wsiadłam do pociągu jadącego do Flen razem z nowymi nabytkami w wielkiej torbie i resztą bagażu. Wtasczyłam dwie torby na półkę i usiadłam przy oknie. Kiedy pociąg nabierał prędkości, czułam, jak moje tętno się obniża. Wyjrzałam za okno. Zatoka Riddarfjärden była ciemna i wyglądała na zimną i nieprzyjazną, ale surowa bryła ratusza Stadshuset była ładna w każdą pogodę. Nie było na świecie drugiego miasta tak pięknego, tak zróżnicowanego, tak dopracowanego w szczegółach. Manhattan i Flushing, dwa pozostałe miejsca, w których mieszkałam, nie były ani trochę tak ładne jak Sztokholm. Nie poruszały mnie surowa czarno-biała kolorystyka Manhattanu ani jego okazały obszar prostych jak struna ulic i błyszczących drapaczy chmur. Moje serce skradła niska, kompaktowa zabudowa Sztokholmu z matowymi otynkowanymi fasadami w całej skali kolorów – od najjaśniejszego beżu po najciemniejszą ceglastą czerwień, podkreślonych niebieskoszarym blaskiem wody. I tak było od zawsze.

Ale miałam jeszcze jedną miłość – rodzinny domek letniskowy w Sörmlandzie. Bujnie porośnięte dębami zbocza wokół budynku i połysk jeziora były tak piękne, że działały jak balsam na duszę. Na święta dostałam w tym roku domek od mamy i taty w prezencie i to tam teraz jechałam. Wracając ze swojego wyjazdu dla twardzieli, Rickard miał wylądować na Skavście, zabrać stamtąd samochód i do mnie dołączyć. Domek dostałam prawdopodobnie dlatego, że rodzice wiedzieli, jak bardzo Rickard też go lubił. Kiedy byliśmy dziećmi, nasze rodziny wiele razy świętowały tam nadejście lata. Zarówno mama, jak i tata byli przeszczęśliwi, że związałam się z Rickardem. Miał wszystko, czego oczekiwali od zięcia. Roztaczał poczucie bezpieczeństwa, był dobrze wychowany i układała mu się kariera. To mnie trochę niepokoiło. Może ich zdaniem domek stanowił gwarancję, że mnie nie zostawi. Mama straciła rozum do tego stopnia, by sądzić, że coś takiego miałoby jakiegokolwiek znaczenie. Sama była niemal kompletnie oderwana od rzeczywistości. Nie gdy dotyczyło to życia towarzyskiego, przeciwnie, uwielbiała ludzi i przyjęcia, ale w głowie miała jedynie fotografowanie. To było jej życie, jej pasja. Finanse, relacje rodzinne, uczucia innych czy ziemskie dobra...

Wszystkie te sprawy jawiły się jej jako obce i niezrozumiałe. Była uznaną fotografką, ale nigdy nie dostałaby nagrody dla matki roku.

Zawsze miałyśmy, delikatnie mówiąc, trudną relację. Co prawda po napadzie się poprawiła, ale tylko nieznacznie. Jesienią pojechałam do Nowego Jorku, żeby obejrzeć jej wystawę w muzeum PS1. Jak zwykle ta sama historia. Na dzień wcześniej zarezerwowałyśmy stół, żeby zjeść lunch, i umówiłyśmy się, że wpadnę do jej pracowni we Flushing. Kiedy zadzwoniłam, drzwi otworzył młody chłopak z ciemnym makijażem i grzywką tak długą, że nie było widać jednego oka. Pewnie nowy asystent. Wyjaśniłam, kim jestem. Wpuścił mnie i poinformował, że Sun Hi pracuje, i spytał, czy on tymczasem może zaproponować mi latte. Zgodziłam się i stanęłam pod ścianą na samym końcu dużej pracowni, żeby nie przeszkadzać. Światło wewnątrz było naprawdę zachwycające. Pomalowane na biało pomieszczenie miało niemal pięć metrów wysokości, a z krótszej strony okna od podłogi po sufit.

Wzdłuż ściany stało na statywach kilka wielkich reflektorów. Duży, biały rulon papieru na stojaku był rozwinięty aż do podłogi. Pośrodku całej tej bieli znajdowało się jaskrawoczerwone futurystyczne krzesło obrotowe. Siedziała na nim rzeczniczka Izby Reprezentantów, której nazwiska nie pamiętałam. Przed nią stała moja mała koreańska mama, niższa niż ja, lecz o takiej aurze i z takim głosem, które dominowały w całym pomieszczeniu. W jej dłoniach aparat wyglądał na surrealistycznie duży. Przyglądałam się im przez chwilę. Mama naprawdę znała się na rzeczy. Udało się jej sprawić, że rzeczniczka skupiła się tylko na niej, chociaż w lokalu nieustannie kręcili się ludzie. Doliczyłam się co najmniej sześciu osób. Od przypominającego pandę asystenta dostałam swoją kawę. Powiedział, że sesja skończy się za kwadrans.

– *Mina-ya*, wspaniale cię widzieć! – Mama w końcu do mnie podeszła i krótko mnie przytuliła, nadal trzymając aparat w jednej dłoni.

– Cześć, *umma*. Dużo pracy? – spytałam cierpko. Najwidoczniej zapomniała o naszym lunchu.

Przewróciła oczami, nie słysząc sarkazmu w moim głosie.

– Nie wyobrazasz sobie! Końca nie widać. Nie mam teraz nawet czasu na własne projekty, ciągle tylko portrety! Widzę, że dostałaś kawę. – Spojrzała na zegarek.

Oszczędziłam jej konieczności przyznawania, że zapomniała o naszym spotkaniu.

– Lunch? – spytałam.

Rozpromieniła się.

– Otóż to! Zaraz wysłę Jeana.

– Pandę?

– Pandę? – Przez sekundę wyglądała na zdezorientowaną, ale po chwili jej twarz się ożywiła. – Ach, no tak, tak, on. Co chcesz do jedzenia?

Nie wchodziło w grę, żeby wyszła z pracowni bez wcześniejszego obejrzenia i zaakceptowania cyfrowych zdjęć, które właśnie zrobiła.

– Coś koreańskiego? Z Arirang?

Zaśmiała się. W Arirang jedliśmy, odkąd pamiętam. Kuchnia mamy nie należała do najlepszych, podobnie jak moja, nawet jeśli ona miała więcej entuzjazmu dla domowego jedzenia.

– Oczywiście. Jean! – wykrzyknęła jego imię tak, że było słychać w całym pomieszczeniu.

Podczas lunchu mama wiele razy odbierała telefon. Kiedy rozmawiała, gestykulując, patrzyłam na nią i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek uda nam się ze sobą pomówić szczerze. I w spokoju. Jest tyle kwestii, które musimy poruszyć. Tyle starych spraw, których nie wyjaśniłyśmy.

Konduktor, który chciał zobaczyć mój bilet, przywrócił mnie do rzeczywistości. Kiedy poszedł, sprawdziłam godzinę i zorientowałam się, że jeszcze tylko piętnaście minut. Wyjęłam kosmetyczkę i poprawiłam makijaż. Rickard miał się ze mną spotkać na stacji, a ja nie chciałam wyglądać niechlujnie.

Wszędzie leżał bielutki śnieg. Cały świat był biały. Śnieg pod nami, niebo nad nami, a wokół nas powietrze nasycone wilgocią. Byłam złana potem, przemoczona i roześmiana. Ciepło parowało mi spod kołnierza i czułam, jak krople potu spływają mi pod pachami. Rickard ani ja nie zdawaliśmy sobie sprawy, że w domku będzie tyle śniegu. Zarząd Dróg był tak miły, że odśnieżył niewielką ścieżkę prowadzącą do naszego podwórka, ale nie dalej. Za pomocą awaryjnej szufli z samochodu udało się nam przedostać do stodoły z jednej strony dziedzińca, żeby wygrzebać dwie duże łopaty. A potem wystarczyło już tylko zabrać się do pracy. Dom znajdował się na niewielkim wzniesieniu jakieś dwadzieścia metrów od podwórka. Dotarcie do werandy zajęło nam dwie godziny. Usiadłam na przymocowanej do ściany ławce i przez chwilę tylko oddychałam, a potem okręciłam szalik wokół szyi i spojrzałam na dużą łąkę przed domem. Po drugiej stronie zobaczyłam proste jak tyczki pnie brzoź, które w półmroku prawie świeciły. Ostatni raz byłam tu zdecydowanie zbyt dawno.

Na posiadłość składały się czerwony dwupiętrowy dom z klasycznymi białymi narożnikami i szklaną werandą oraz dwa małe budynki rozmieszczone nieco przypadkowo. Jeden był starszy niż sam dom, a drugi dobudowaliśmy jako domek dla gości. Ten pierwszy stanowił cel moich ucieczek, kiedy byłam jeszcze na tyle mała, że musiałam jeździć z mamą i tatą za miasto, ale wystarczająco duża, by uznawać spędzanie z nimi czasu za nudne. I wreszcie stała tam wspaniała, ogromna stodoła z gratami gromadzonymi przez co najmniej trzy pokolenia. Wszystkie budynki będą pewnie od nas wymagały sporo pracy. Cieszyłam się, że już zima, tak że akurat oszczędziłam sobie oglądania, jak zdążył zarosnąć ogród. Przez wiele lat mieszkali tu na stałe babcia z dziadkiem od strony taty. Kiedy zmarli, zaczęliśmy korzystać z domku wyłącznie w wakacje. Przez ostatnich pięć lat ani ja, ani rodzice nie bywaliśmy tu więcej niż około raz w roku. Ale i tak było to jedno z moich ulubionych miejsc na ziemi.

Rickard wyszedł na werandę i otrzepał z butów śnieg, podczas gdy ja wygrzebałam klucz, wciąż przyozdobiony mikołajem na czerwonym sznureczku, po czym otworzyłam drzwi domu, o którym już zaczynałam myśleć „nasz”, nie tylko „mój”. Kiedy weszliśmy, uderzył w nas zapach stęchlizny.

– Typowy zapach domku letniskowego! – rzekł Rickard, wężąc z zadowoleniem w powietrzu.

– Boże, jak cudownie wejść do środka! – Zdjęłam kurtkę i gruby sweter, po czym ściągnęłam trzewiki.

Kilka lat wcześniej zainwestowaliśmy w ogrzewanie, które można włączać przez telefon, a ja byłam teraz za to niewymownie wdzięczna. System działał już dobrze. Rickard zrobił jeszcze jedną rundkę, żeby przynieść jedzenie, które kupił po drodze ze Skavsty. Rozejrzałam się dookoła. Nie pamiętałam, że było tutaj naprawdę tak brzydko. Czy rzeczywiście musieliśmy remontować tu w latach siedemdziesiątych? Podeszłam do kominka w salonie.

– Odważymy się tu zapalić? – zawałam do kuchni.

– Cóż, warto spróbować. We wszystkich dobrych filmach para na wakacjach uprawia seks przed kominkiem, no nie? Nie możemy przecież być gorsi.

– Ha, ha – odpowiedziałam sucho, lecz mimo wszystko ucieszyłam się, że Rickard myśli o łóżku, chociaż wyglądałam, jak wyglądałam. – To przynieś trochę drewna, sprawdzimy, czy da się tu jakoś rozpaścić.

– Tak jest! Możesz nastawić wodę? Mam straszną ochotę na kawę. Jest w którejś torbie.

Poszłam do kuchni i postawiłam garnek na niewielkiej kuchence. Przeszukałam siatki i zaczęłam wkładać zakupy do lodówki. Rickard wkroczył ciężko do środka z pełnym naręczem drewna.

– Jedzenia kupiłeś jak dla wojska!

– Typowy błąd. Nie można kupować na głodnego.

Zostawił drewno i wziął jeden z kubków z kawą. Razem zabraliśmy się za kominek i rozpaliliśmy go po drobnych kłopotach z powodu zamkniętego szybra. Z zadowoleniem usiedliśmy przed trzaskającym ogniem na brązowej drewnianej sofie z poduchami w pomarańczowe kwiaty.

– To jak, fajnie będzie wrócić do pracy? Czy zostaniesz teraz instruktorem narciarskim na pełen etat? – spytałam, ogrzewając dłonie o kubek.

– Cóż, co prawda uwielbiam śnieg, ale mam dosyć zimna na cały przyszedły rok. Super będzie z powrotem zabrać się do roboty.

– Naprawdę podziwiam, że dajesz sobie radę z całą administracją, finansami i sprawami personalnymi, a jednocześnie aktywnie pracujesz jako śledczy.

Rickard oparł łokcie o kolana i wbił wzrok w płomienie. Przeczesał dłonią ciemnoblonde grzywkę. Miał na sobie granatowe, prawie czarne dżinsy i białą koszulę. Jak zawsze. Musiałam przyznać, że Emelie miała rację, twierdząc, iż podobali mi się mężczyźni, którzy wyglądali jak wyjęci z reklam Ganta. Rickard naprawdę się do nich zaliczał, chociaż nie był przesadnie przystojny. Miał raczej niezgrabny nos i wysokie kości policzkowe. Ale tym, co w pierwszej chwili się u niego zauważało, zawsze były fantastyczne oczy. Miał najserdeczniejsze, najcieplejsze oczy, w jakie kiedykolwiek patrzyłam. Za każdym razem roztopiałam się pod ich spojrzeniem.

– Tak, nawet ja czasami czuję, że jest za dużo administracji. A prawdziwej roboty za mało – odpowiedział, rozkładając dłonie.

– Doskonale cię rozumiem. Byłoby mi strasznie trudno pracować w takim miejscu.

– Myślałam, że to tego chcesz – zdobyć stanowisko w policji. Bo gdzie indziej będziesz pracować? – Odchylił się i spojrzał na mnie badawczo.

– Co prawda, to prawda. W Szwecji nie ma zbyt wielu innych potencjalnych pracodawców. – Wzięłam łyk kawy, żeby zebrać się na odwagę przed następnym krokiem. Muszę powiedzieć mu o propozycji z Nowego Jorku.

– Na pewno coś znajdziesz – rzekł Rickard, zanim zdążyłam się odezwać. Cmoknął mnie delikatnie w usta.

Ugryzłam go w wargę. Pocałował mnie długo i intensywnie. Po moim ciele rozeszło się gorąco. Pomanewrowałam przy guzikach białej koszuli i wreszcie ją z niego ściągnęłam. Z rozkoszą przesunęłam powoli dłońmi po piersi. Uwielbiałam jego żylaste ciało biegacza. Rickard rozpiął mi spodnie i pociągnął za nogawki. Poddałam się całemu ciałem. Sięgnęłam do krawędzi kanapy, ale nie trafiłam i gruchnęłam z hukiem na podłogę. Potarłam tył głowy i zaśmiałam się z jego zdziwionej, skruszonej miny. Wykorzystałam okazję, klęknęłam i rozpięłam mu rozpiorek dżinsów. Położył mnie na szmacianym dywaniku przed kominkiem, tym razem osłaniając mi tył głowy dłonią. Wplątaliśmy się w siebie, na przemian śmiejąc się i jęcząc z rozkoszy. Po wszystkim leżeliśmy długo w milczeniu, patrząc w ogień. Położyłam głowę na brzuchu Rickarda.

– Musimy kupić owczą skórę. Ten dywanik to jakiś koszmar – powiedział w końcu i się przeciągnął.

– Owszem. To może chodźmy do łóżka?

Ubraliśmy się i weszliśmy na górę po skrzypiących schodach.

– Który pokój bierzemy?

– A który był normalnie twój?

Staliśmy na małym korytarzu z kwiecistymi tapetami i białą boazerią angielską. Było tu dwoje drzwi z lewej strony, dwoje z prawej, a na wprost po drugiej stronie mała wnęka z fotelem i sekretarzykiem pod niewielkim oknem.

– Odkąd skończyłam kilkanaście lat, moja była tamta klitka, ale naprawdę nie polecam jej nikomu powyżej metra siedemdziesiąt wzrostu.

– No tak. Poza tym nie mam zamiaru już się dziś zginać po tym odśnieżaniu – odparł Rickard, uchylając pierwsze drzwi na lewo. – Wiesz co? Chyba przez te wszystkie lata, kiedy tu przyjeżdżałam, ani razu nie byłam na górze.

– Nie? No coś ty! Ten pokój miała babcia, kiedy nas odwiedzała – wyjaśniłam, wchodząc do pomieszczenia, którego drzwi Rickard właśnie otworzył. Był to mały, pomalowany na biało pokój ze spadzistym sufitem i niewielkim, ładnym wykuszem z wbudowaną kanapą. Znajdowała się na niej duża poduszka w biało-czerwonej kratę. Obok leżała para małych okularów w stalowych oprawkach. Wzięłam je ostrożnie do ręki. Rickard podszedł i pogłaskał mnie po plecach.

– Twoja babcia była absolutnie wyjątkowa.

– Tak, to prawda. – Odłożyłam okulary na miejsce i wyszłam na korytarz. – Następną sypialnia była rodziców. Chyba ma bardziej odpowiedni rozmiar.

Otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Ten pokój był zdecydowanie większy. Znajdowały się tu okazałe stare łóżko małżeńskie, dwa duże fotele i ściana zastawiona szafami. A także kompletna seria fotografii erotycznych, które mama zrobiła w latach siedemdziesiątych. Między innymi taka, która przedstawiała sześć albo i więcej półnagich, pospłatanych ciał o różnych odcieniach skóry.

– Rzeczywiście wygląda, jakby Sun Hi ciągle tu była – rzekł Rickard z uśmiechem.

– Boże, tak. Kiedy tu przyjeżdżałam, myślałam na pewno, że znalazłam się w najbardziej zwariowanej rodzinie w dziejach – odpowiedziałam, siadając na wielokolorowej patchworkowej kołdrze. Rickard zajął miejsce po drugiej stronie i oparł się o wezglowie.

– Kiedy pierwszy raz dostaliśmy tu zaproszenie, miałem jakieś dziesięć czy jedenaście lat. Pamiętam, że z początku w ogóle nie miałem ochoty jechać. Ale potem totalnie przepadłem. Nigdy w życiu nie byłem wśród tak fajowych, tak szalonych ludzi. Głośna, kłótniwa i zawsze roześmiana rodzina, która rozmawiała na przemian po angielsku, koreańsku i szwedzku. Czułem się tutaj zawsze tak ciepło przyjmowany, taki dorosły. Twoi rodzice pytali, co sądzę na każdy temat, od polityki po muzykę, i faktycznie słuchali odpowiedzi. – Założył ręce za szyję i wybuchnął śmiechem. – Pewnego lata dostałem tu też swoją pierwszą lampkę wina, ku wielkiej rozpaczycy mamy.

– Pamiętam to. I pełne frustracji miny Tilly, kiedy mama w twojej i mojej obecności wyrażała się trochę zbyt otwarcie!

– Oj, tak było. Sporo się tutaj o tym i owym nauczyłem. Zawsze miałem wrażenie, że jesteście szczęśliwi. Zwariowani, to na pewno, ale przede wszystkim serdeczni i zadowoleni z życia mimo twojej choroby i tego wszystkiego.

– W sumie to prawda. Mama przecież była i jest taka, jaka jest. Ale stabilność dawała mi babcia, a przy tym więcej miłości i wsparcia, niż kiedykolwiek mogłabym wymagać od taty. Nawet jeśli wiele razy wydawało mi się, że mieszkam w cyrku, to bardzo fajnie było z fotomodelkami mamy oraz wszystkimi koreańskimi i amerykańskimi znajomymi, którzy ciągle przyjeżdżali do Szwecji w odwiedziny. Radości z życia nigdy nam nie brakowało.

– Tak, a jest bardzo cenna. À propos radości z życia, co powiesz na to, żebyśmy przejęli tę sypialnię i wypróbowali łóżko?

– Chętnie. Choć te fotografie muszą raczej powędrować na strych.

– Nigdy w życiu! Są ekstra. To przecież retro w najlepszym wydaniu!

– No dobra. To przynajmniej nie mama i tata są na tym zdjęciu grupowego seksu.

– Jesteś pewna?

Roześmiałam się.

– Nie, w sumie to nie!

Pracowaliśmy w domu przez cały dzień – sprzątaaliśmy, szorowaliśmy i wietrzyliśmy. Wyrzuciliśmy najbrzydsze i najbardziej zużyte rzeczy, ustaliliśmy, co musimy kupić, a co zatrzymamy. Rickard był zaskakująco zaangażowany, a do tego okazał się dobry w urządzaniu wnętrza. Miał dużo ciekawych pomysłów i spostrzeżeń. Trudno się tego było spodziewać, jeśli kiedyś przekroczyło się próg jego kawalerskiego mieszkania przy Fridhemsplan. Poza tym wybraliśmy się na odkrywczą wyprawę do stodoły, gdzie znalazłam swoje stare narzędzia do wyrabiania ceramiki, w tym mały piec do wypalania, który dostałam od rodziców na osiemnaste urodziny. To było jedyne z moich zainteresowań, które mama gorąco wspierała. Psychologia cieszyła się mniejszym uznaniem, nie wspominając już o kryminologii. Natychmiast spakowałam te wszystkie szpargały do bagażnika z mocnym postanowieniem, by wrócić do starego hobby.

W niedzielę świeciło słońce, a my rozkoszowaliśmy się na podłużnej, przeszkłonej werandzie książką i filizanką kawy. Ciszę przerwał mój telefon. Popędziłam do przedpokoju i znalazłam go w ostatniej chwili głęboko w kieszeni kurtki, którą rzuciłam w kąt na podłogę.

– Althea Molin.

– Cześć! Mówi Lennart z Rejonowego Wydziału Kryminalnego w Sztokholmie. Chcielibyśmy zaprosić cię jutro na ósmą. Mamy zadanie, do którego szefowa chce cię zaangażować. Lubi amerykańskie kryminały.

– Słucham? Tak, no jasne. Mogę przyjechać jutro koło ósmej.

– Dobrze, w takim razie do zobaczenia. Spytaj w recepcji o Tovę, pokieruje cię.

Już miałam pytać, o jaką sprawę chodzi, kiedy Lennart się rozłączył. Wlepiłam wzrok w telefon. Wysłałam na werandę.

– Jeśli to Sun Hi, serdecznie ją ode mnie pozdrów – powiedział Rickard, nie odrywając wzroku od roziskrzonego słońcem krajobrazu za oknami.

– To nie mama, tylko Lennart z Rejonowego Wydziału Kryminalnego.

Rickard zdjął nogi ze stołu i ze zdziwieniem wbił we mnie wzrok.

– Lennart? Mój Lennart?

– Twój jak twój, ale tak. Naburmuszony, pyskаты, muszę-udowodnić-całemu-światu-jaki-ze-mnie-macho-choć-siedzę-za-biurkiem Lennart. Dokładnie ten.

– Czego chciał?

– Ma dla mnie zadanie. To ty go poprosiłeś, żeby zadzwonił?

– Gdybym to ja go poprosił, prędzej by zadzwonił do samego Boga Ojca niż akurat do ciebie. Musiał dostać bezpośredni rozkaz, żeby cię włączyć. Ciekawe, co to za sprawa.

– To komendantka chciała, żeby mnie wciągnęli. Nie powiedział, o jakie zadanie chodzi.

– To brzmi bardziej prawdopodobnie. Kristina była pod wielkim wrażeniem twojej pracy zeszłego lata. Kiedy masz się spotkać z Lennartem?

– Jutro o ósmej.

– Oj, to musimy bardzo wcześnie wyjechać. A może wolisz jechać do miasta już dziś wieczorem?

– I stracić jeszcze jedną noc gorących miłosnych uciech na dywanie albo w skrzypiącym łóżku? Nigdy w życiu.

Kiedy trochę później gotowaliśmy obiad w małej kuchni z jaskrawoniebieskimi przesuwными drzwiczkami i żółtymi plamkami na kafelkach, zebrałam się na odwagę. Miałam zamiar powiedzieć mu o zachowaniu mamy i pracy w Nowym Jorku. Równie dobrze można zająć się wszystkim naraz.

– A tak w ogóle, kilka dni temu rozmawiałam z mamą.

– Co u niej słyhać? – Rickard spojrział znad pomidorów, które właśnie kroił.

– Wszystko w porządku. – Przełknęłam ślinę. – Za parę dni przylatują do Sztokholmu. Wprosili się tutaj razem z twoimi rodzicami na wspólne świętowanie Seollal, koreańskiego nowego roku, nie pytając mnie o zdanie.

– Może wyszło dość niezręcznie, ale brzmi fajnie.

Odwrociłam się do zlewu i popatrzyłam na niego badawczo.

– Naprawdę tak myślisz? Jeśli chcesz, bez problemu możemy się z tego wykręcić, rozumiem, że nie... Wiem, że mama jest beznadziejna, nie zawsze się zastanawia, zanim wymyśli coś takiego.

Rickard odwrócił się do mnie z uśmiechem.

– Nie musisz usprawiedliwiać Sun Hi. Pasuje mi.

– Nie zawsze rozumie, ile robi problemów. Czasami jest tak niesamowicie oderwana od rzeczywistości.

– Ale jeżeli tak czujesz, nie musisz przecież ciągle usprawiedliwiać swojej matki. Wiem, jak potrafi się zachowywać, ale nie powinnaś mieć poczucia, że za nią odpowiadasz.

– Przecież nie mam! – Skrzyżowałam ramiona i wlepiłam w niego wzrok.

– Owszem, masz. Uważasz, że musisz przeproszać za to, co robi, i wszystko naprawiać. Pozwól jej samej za to odpowiadać. Masz dosyć swoich spraw. – Wrócił do krojenia.

– O co ci chodzi?

– Nie chodzi mi absolutnie o nic. – Pokręcił głową. – Tylko o to, że każdy musi brać odpowiedzialność za własne postępowanie i rozwiązywać własne problemy.

– Moje własne problemy? Wiesz, co według mnie masz na myśli? Według mnie uważasz, że jestem chora psychicznie i nie mam pracy. Bo twoim zdaniem na pewno za to powinnam wziąć odpowiedzialność?

Jak on śmie sugerować coś takiego?! Woda na makaron wykpiła. Ściągnęłam garnek z kuchenki, przełamałam spaghetti i wrzuciłam je do środka. Rickard z łoskotem położył nóż obok pomidorów i znowu na mnie spojrział.

– Nie, nie to miałem na myśli. Chodziło mi o to, że masz tak naprawdę własne życie. Dlaczego jesteś taka wrażliwa? Nie nadinterpretuj tego wszystkiego.

– Nie nadinterpretuję! Staram się po prostu zrozumieć, co dokładnie mówisz. Wydaje mi się, że według ciebie nie potrafię kierować własnym życiem i zamiast tego martwię się o mamę. Myślisz, że nie zajmuję się swoimi problemami? Albo że znowu może być ze mną gorzej?

– Nie, nie myślę tak. Po prostu się niepokoję... – Rickard skrzyżował ramiona i spuścił wzrok na podłogę. Kopał frędzle dywanu.

– Czym ty się niepokoisz? Że do końca zeświruję? Nie chcę, żebyś się niepokoił. Dam sobie radę!

Rickard zaśmiał się z rezygnacją.

– Oduść sobie! Nie powiedziałem o twojej chorobie ani słowa. To chyba zupełnie normalne, że martwimy się o ludzi, na których nam zależy, prawda? Nie rób z tego takiej wielkiej sprawy.

– To jest dla mnie wielka sprawa! Muszę wiedzieć, że tak prostu sobie nie czekasz, aż się psychicznie posypię. Chcę wiedzieć, że mi ufasz.

– Przecież mówię, że ci ufam! Tak naprawdę to ty nie słuchasz! Chodzi mi tylko o to, że twoja mama jest dorosła, a ty za nią nie odpowiadasz. To ty źle interpretujesz, co mówię!

Odwrociłam się z powrotem do garnka i z wściekłością zaczęłam mieszać w nim chochelką. Woda chlapanęła przez krawędź i zasyczała na płytce kuchenki.

– Nie, to ty sugerujesz różne rzeczy o moich problemach.

– Boże święty! – Rickard podniósł głos. – Powtarzam po raz ostatni – nie o to mi chodziło!

Zamilkłam, nie przerywając mieszania w garnku. Czułam, jak Rickard przez moment wpatruje się w moje plecy, ale byłam zbyt wzburzona, żeby coś powiedzieć. Głośno westchnął i wyszedł. Chwilę później usłyszałam, jak rąbie na zewnątrz drewno. Nie ruszyłam się od zlewu. Miałam łzy w oczach. Kłótnia z Rickardem to ostatnie, czego bym chciała. Właściwie przez te pół roku, kiedy byliśmy razem, prawie w ogóle się nie sprzecaliśmy. Czy to początek końca? Ech... Nawet ja się zorientowałam, że taka myśl to przesada.

Towarzyszyło mi nieprzyjemne uczucie, że miał rację, a ja faktycznie posunęłam się za daleko, ale byłam wściekła. Wiedział równie dobrze jak ja, że na porażkę skazana jest próba sprawienia, by mama zrozumiała nas, którzy żyjemy w innej rzeczywistości niż ona. Co się tyczy mojego życia, to w ostatnim czasie dokonałam właściwie ogromnych postępów. Chodziłam do nowego psychologa i czułam, że teraz naprawdę kontroluję natrętne myśli. Nie przyjmowałam leków, ale bałam się mniej niż kiedykolwiek, że dostanę nawrotów. Myśli były, ale nauczyłam się z nimi postępować. Rickard powinien być naprawdę trochę bardziej wyrozumiały. Westchnęłam, otarłam łzy i pozmywałam do końca.

Resztę dnia i wieczoru traktowaliśmy się uprzejmie, ale żadne z nas nie miało zamiaru przeproszać. O seksie na dywanie nie było mowy.

Wczesnym rankiem w poniedziałek ubrałam się w jedno ze swoich lumpeksowych znalezisk – szmaragdowozieloną wełnianą sukienkę z długim rękawem i wysokim kołnierzykiem polo. Otworzyłam nowe opakowanie czarnych legginsów i zawiesiłam na szyi długi łańcuszek z dużą srebrną kulą. Po chwili zdałam sobie sprawę, że mam do wyboru tylko zimowe buty i czarne masywne czółenka. Musiało stanąć na ciężkich jasnobrązowych trzewikach, bo legginsy nie zakrywały stóp, a miałam jedynie parę jasnoszarych skarpetek. Czy nie mogłoby mi się udać chociaż jeden jedyny raz? Czy zawsze musi się tak układać? Widziałam, że Rickard na mnie zerka i uśmiecha się półgębkiem, ale miał przynajmniej na tyle rozsądku, żeby się nie odezwać ani słowem. Umalowałam się w samochodzie, kiedy jechaliśmy do miasta. Zatrzymaliśmy się na pierwszej z brzegu stacji benzynowej i kupiliśmy wszystkie dzienniki, które tylko wpadły nam w ręce, żeby się dowiedzieć, w związku z jakim wydarzeniem policja może potrzebować mojej pomocy. W domu letniskowym był telewizor, ale nie pomyśleliśmy, żeby zabrać tam dekoder, więc nie mieliśmy sygnału.

Rickard wyrzucił mnie dwie przecznice od Kryminalnego. Pożegnaliśmy się z pewnym ociąganiem i dość chłodno, ale prawdę mówiąc, nie myślałam o tym zbyt wiele, tak byłam skupiona na zbliżającym się spotkaniu. Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać, ale już dawno nie byłam tak pełna energii i podekscytowana. Właśnie tego chciałam – dostać szansę na pracę w Szwecji. Mogłabym jeszcze na jakiś czas odłożyć wszystkie trudne decyzje. *Ignore it and it'll go away* – Zignoruj to, a samo zniknie. Doskonała strategia. Dotarło do mnie, że nadal nie poinformowałam Rickarda o propozycji z Nowego Jorku. Muszę to zrobić jak najszybciej.

Poszłam w kierunku Wydziału Kryminalnego, który znajdował się w dużym kwartale należącym do policji i organów wymiaru sprawiedliwości. Cały kompleks wyglądał, jakby grupa szalonych architektów bawiła się w tę dziecięcą zabawę, podczas której jedna osoba rysuje najpierw głowę i zgina kartkę, tak że widać tylko dwie kreski szyi, potem kolejna rysuje tułów, zgina i podaje dalej. Były tu reprezentowane wszystkie style architektoniczne, od trzynastego wieku po dwudziesty pierwszy. Przeszłam przez rzeźbione drzwi prowadzące do budynku, który wyglądał jak kolosalnych rozmiarów szkoła z lat siedemdziesiątych, jeśli pominąć kraty w oknach.

Zgłosiłam się do recepcji i przechadzałam się niespokojnie w oczekiwaniu, aż ktoś po mnie przyjdzie. Nie pozwolono mi chodzić po gabinetach na własną rękę. Trzy minuty później po schodach zeszła Tova i mocno mnie przytuliła.

– Althea, super cię widzieć!

– Ciebie też! – Przyjrzałam się jej.

Nadal miała długie włosy pofarbowane na czarno z jaskrawoniebieskimi pasemkami, ale były zaczesane do tyłu w ciasny warkocz, a makijaż wyglądał prawie zupełnie normalnie – powieki w kolorze sadzy, ale już bez czarnej szminki. Czarne dzinsy i czarny sweter. Maleńki niebieski kamyczek w jednym ze skrzydełek nosa zdradzał standardowy styl Tovy jako królowej subkultury gotyckiej. – Fantastycznie wyglądasz!

Tova zaśmiała się odrobinę przepraszająco.

– Trochę więcej pracuję w służbie zewnętrznej, a tam należy wyglądać normalnie. Nie chcę bez potrzeby straszyć świadków!

– W służbie zewnętrznej! Gratulacje! Podoba ci się?

Kiedy przytrzymała mi drzwi windy, zauważyłam, że sekundę się waha.

– Chyba tak. Jeszcze się do końca nie przyzwyczaiłam. Ciągle najczęściej pracuję w środku.

– W takim razie masz trochę jednego i drugiego.

– Otóż to! A jak u ciebie? Wszystko w porządku?

– Jak najbardziej. – Akurat dzisiaj naprawdę czułam się tak, jakby to była prawda.

Tova zaprowadziła mnie do niewielkiej sali konferencyjnej, gdzie u szczytu stołu rozmawiali Lennart i Gabriel. Zamilkli, kiedy weszliśmy do pomieszczenia. Ucisnęłam obu dłonie. Tova przeprosiła i wyszła. Usiedliśmy. Nie można powiedzieć, żeby pokój wypełniły ciepłe uczucia z ponownego spotkania. Nawet mi nie zaproponowali kawy. Zarówno Lennart, jak i Gabriel pracowali latem nad sprawą mordowanych kobiet. Gabriel zadbał o to, żeby odsu-

nięto mnie od śledztwa, a Lennart cały czas był nieprzyjemny i wszystko podważał. Wyglądał jak zwykle. Tylko włosy o mysim kolorze miał trochę cieńsze, a koszulę trochę bardziej spraną. I trochę bardziej wylewała się opona wokół pasa. Wyglądał na wymęczonego i zmierzniałego. Jak stary, brudny kawał granitu. Natomiast Gabriel był tak samo modnie odstrzelony jak zawsze. Rozjaśniane włosy miał nieco dłuższe i elegancko przystrzyżone. Nosił niedbałą i nieco rozczochraną fryzurę, której ułożenie musiało zajmować rano z pół godziny. Jego szyty na miarę garnitur i wypielęgnowane palce przypomniały mi nagle o trzewikach, które miałam na sobie, a przede wszystkim o zniszczonych paznokciach. Szybko położyłam dłonie na kolanach pod stołem. Tova z powrotem wślizgnęła się cicho do sali i postawiła przede mną wyszczerbiony porcelanowy kubek z kawą.

– Dzięki – wyszeptalam, uśmiechając się do niej.

Odwzajemniła uśmiech i wyszła z pomieszczenia. Lennart spojrział na nią z irytacją.

– Na początku powinniśmy ci chyba podziękować, że udało ci się przyjechać, chociaż zaprosiliśmy cię tu z tak krótkim wyprzedzeniem – powiedział Gabriel i przejrzał niedbale swoje papiery.

– Nie ma sprawy.

– Czyżby zlecenia nie płynęły jedno za drugim? – spytał Lennart z lekkim uśmiechem.

– W jakiej sprawie potrzebujecie mojej pomocy? – Nie miałam zamiaru zniżyć się do jego poziomu.

Wyprostował się i pochylił nad stołem z rękami przed sobą.

– Dwie osoby w odstępie tygodnia zostały zastrzelone prawdopodobnie przez tego samego sprawcę.

Kiedy wspomniał o zastrzelonych osobach, wzdrygnęłam się tak bardzo, że rozlałam kawę na rękaw. Zauważyłam, jak Lennart prychnął.

– Pontus...? – spytałam. Jak mogłam powiedzieć, nie mówiąc?

Gabriel odczytał ze swoich kartek:

– ...Olsson. Tak, to była pierwsza ofiara. Jak rozumiem, przeczytałaś o nim w gazetach. Drugie zabójstwo miało miejsce w czwartek. Chodzi o byłego prokuratora, który mieszkał w trzypokojowym mieszkaniu na Östermalmie.

– Udało się wam potwierdzić, że chodzi o tego samego sprawcę?

– Może w Nowym Jorku strzelanie do ludzi to chleb powszedni, ale tutaj to się zdarza cholernie rzadko – syknął Lennart. – Nie sądzę, żebyśmy potrzebowali jakichś śladów DNA, aby się dowiedzieć, czy to ten sam typ. Poza tym obaj mieli wciśniętą do ust jakąś tam kartę tarota.

– Kartę tarota? – Szczerze mnie to zdziwiło. O tym bank ani Emelie nie wiedzieli. To jednak oczywiste. Nie widzieli ciała, a to typowy szczegół, którego nie zdradza policja, aby móc go wykorzystać podczas przesłuchań i innych czynności.

– Tak, taką kartę do wróżb.

– Tak, wiem, czym jest tarot. Co to była za karta?

– Na pierwszej było napisane „Diabeł”. A na drugiej „Sprawiedliwość” – odrzekł Gabriel.

W tej chwili zrozumiałam, skąd się wziął pseudonim sprawcy.

– Jacyś świadkowie?

– W pierwszej sprawie nie. Chociaż w śmietniku niedaleko miejsca zbrodni znaleźliśmy czarną pelerynę przeciwdeszczową w bardzo dużym rozmiarze i z odpryskami krwi. W drugiej sąsiadka o imieniu Agda widziała, jak mężczyzna w ciemnej kurtce i kapturze biegnie korytarzem. Zobaczyła go jednak przez judasz, ale oświetlenie na klatce schodowej się popsuło, więc zeznanie nie jest zbyt wiarygodne – odparł Gabriel.

– Jak najszybciej chcemy mieć profil psychologiczny sprawcy – dodał Lennart. – Tym razem twoja praca będzie przebiegać zgodnie z wytycznymi administracyjnymi, które faktycznie istnieją, nie jak ostatnio, kiedy przypominało to trochę Dziki Zachód. Dostaniesz własny zespół i gabinet. Obowiązuje tradycyjna stawka dla pracowników zewnętrznych. Gabriel pokaże ci, jakie blankiety masz wypełniać do raportów czasu pracy i tak dalej. Jak myślisz, dasz radę? – Uniesione brwi. Lekki uśmiech.

– Oczywiście. – Wierciłam w dłoni krótkimi paznokciami.

– Biorąc pod uwagę, jak niewiele dni minęło między morderstwami, potrzebujemy twojego profilu w ciągu tygodnia. – Lennart wstał i spojrział na zegarek. – O drugiej po południu dostaniesz pierwsze sprawozdanie od zespołu technicznego i patologicznej sądowej. Na miejscu będzie też wtedy twój zespół. – Skinął do mnie krótko i opuścił pomieszczenie.

Gabriel i ja wstaliśmy. On uśmiechnął się przepaszająco.

– Dostałam to zlecenie, dlatego że profilerzy zatrudnieni w Kryminalnym przekonali się, że nie da się sporządzić profilu w tak krótkim czasie? – spytałam.

– Coś w tym rodzaju. A poza tym opowiadanie, że zatrudniamy ekspertów zewnętrznych, zawsze poprawia PR. – Gabriel zachowywał się bardzo niezręcznie, jakby nie wiedział, co ma o mnie myśleć.

Zdałam sobie sprawę, że się pomyliłam, zakładając, że mnie nie lubi, nawet jeżeli to on dopilnował, aby poprzednim razem mnie wyłączyli. Pokiwałam głową.

– Chodź za mną, podpiszemy kilka papierów i wyrobimy kartę do drzwi.

Pół godziny później stałam z powrotem na ulicy przed Kryminalnym. Tym razem z Tovą, którą udało mi się wciągnąć na lunch. Myśli kłębiły mi się w głowie. Naprawdę musiałam je uporządkować. Kiedy jechałam tu rano z domku letniskowego, nie byłam gotowa na dwa zabójstwa popełnione w odstępie tygodnia.

– Dokąd idziemy, masz jakiś pomysł? – spytałam.

– Do kawiarni na Norrmälärstrand? Zaraz za rynkiem? – Pokazała.

– Chyba wiem, o której mówisz. Dobra.

Włożyłam rękawiczki, jeszcze raz owinęłam wokół szyi swój zrobiony na drutach szalik w zielone paski i ruszyłyśmy spacerem w stronę Kungsholmstorg. Gdzie mam zacząć grzebać? Nasz haker nie tylko zastrzelił Pontusa Olssona tuż pod główną siedzibą banku, ale też zamordował kolejną osobę. Nie miałam odwagi powiedzieć nawet Tovie, że wiem więcej, niż dają po sobie poznać. Starałam się rozmawiać o czymś innym. W kawiarni zamówiłyśmy po kawałku ciasta i usiadłyśmy przy stoliku z widokiem na parking, a za nim na szaroczarnej wodę.

– Własny zespół i gabinet, dobrze brzmi, chociaż to pomysł Lennarta. Zawsze mu się udaje mnie zirytować. To musi być jeden z jego koników.

Tova się zaśmiała.

– Tak, to jego największy talent.

– Wiesz coś na temat tego zespołu, o którym wspomniał?

– Podejrzałam, że o to spytasz, więc trochę powęszyłam. Tym razem Lennart przeszedł samego siebie. Jedną z osób, które wciągnął do tego zadania, wbrew jego woli, jest Gösta. Za tydzień idzie na emeryturę.

– Za tydzień? Nie do wiary!

– W sumie jest niezłym policjantem, ale odkąd rok temu zostawiła go żona, wcale nie przykładał się do pracy. Czeka tylko na emeryturę.

– Ale to podnosi na duchu.

– Drugi koleś jest strasznie milutki, ale też strasznie irytujący. Jakieś dwadzieścia lat, diablo zdolny i psychologia kryminalna w małym palcu.

– Dwadzieścia? Co on robi w policji?

– No może faktycznie dwadzieścia pięć. Pisze jakąś tam pracę.

– Ach tak.

Więc Lennart dał z siebie wszystko, żeby mi dołożyć. Najbardziej doprowadzało mnie do szału, że przez kilka krótkich chwil rzeczywiście mi to schlebowało i wierzyłam, że dostanę odpowiednie środki, a przede wszystkim zdobędę jego szacunek.

Tova wybierała się na spotkanie poza komendą, więc pożegnałyśmy się przed kawiarnią, a sama ruszyłam wzdłuż rynku Kungsholmstorg. Gdy go minęłam, zaszłam do sklepu papierniczego i kupiłam nowy notatnik. Był czerwony i miał twardą okładkę obitą materiałem. Ku mojej radości w sklepie plastycznym udało mi się też znaleźć odpowiednią glinę. Już naprawdę nie mogłam się doczekać, aż znowu zajmę się ceramiką. Za rogiem po drodze ze sklepu znajdowała się mała kafejka U Alfonsa. Nie była wiele większa niż dziura w ścianie, ale mieli fantastyczną kawę. Tova i ja podziękowałyśmy za gorzkiego szatana, który stał w kawiarni na płycie grzewczej tak długo, że zrobił się całkiem gęsty, więc miałam teraz niesamowitą ochotę na filiżankę. Weszłam do środka, zamówiłam latte i usiadłam, żeby spisać, co wiem o sprawie. Nie wypełniło to nawet jednej strony. Na samej górze zanotowałam: „Case = Diabeł?”. Haker, który dokonał zabójstwa, żeby ukryć swoje przestępstwo, najwidoczniej zamordował znowu. Czy odkrył, że mu się to podoba, i stawał się teraz najprawdziwszym seryjnym mordercą? Czy musiał zabić także Rönn-dahla, aby zatuszować kradzież z banku? W gazecie na temat włamania nie napisano ani słowa, więc przy odrobinie szczęścia może nie wiedzieć, że jesteśmy na jego tropie. A jeśli nie wiedział, to dlaczego nadal mordował? Trzeba zadzwonić do Emelie. Wyjęłam telefon, a ona odebrała niemal natychmiast.

– Właśnie zatrudnił mnie Rejonowy Wydział Kryminalny, żebym wykonała profil zabójcy Pontusa Olssona.

- Co takiego?
- Odkąd go zamordował, zastrzelił jeszcze jedną osobę.
- Słucham?
- Jeszcze o tobie nie wspomniałam, ale nie wiem, czy będę mogła ukrywać to w nieskończoność.
- No tak, rozumiem. Prędzej czy później policja musi się dowiedzieć, ale spróbuj to jeszcze trochę przeciągnąć, jeśli to nie problem. Muszę opracować plan.
- Dobra, zobaczę, co da się zrobić. Jak myślisz, czy Case wie, że go śledzimy? Mógł zobaczyć, że weszliście do systemu i w nim grzebaliście?
Usłyszałam, jak Emelie bierze głęboki oddech.
- Nie, nie może tego zobaczyć, ale jeśli jest dość mądry, może to podejrzewać. Monitorujemy system przez całą dobę. Nie logował się, ale może mieć dojście, którego jeszcze nie znaleźliśmy.
- Nawet jeśli wie, że wpadliście na jego trop, nie wie, ile wiecie, i jest raczej pewien, że nie wie policja, bo pisałyby o tym gazety.
- Coś w tym stylu. Zaczyna się robić nieciekawie.
- Też tak myślę.
- Rozłączyłam się i sprawdziłam, która godzina. Do spotkania zostało piętnaście minut. Wstałam, zamknęłam notatnik i poszłam do Kryminalnego.

Jasne włosy były zabarwione na czarno od krwi, a długa strużka biegła od otworu w skroni, nad uchem, aż na tył głowy. Pontus Olsson leżał skulony na chodniku jak rzucona szmaciana lalka, z otwartymi ustami i skamieniałym wyrazem zdziwienia w oczach wpatrujących się prosto w górę. Na wargach miał czarne plamy.

Siedziałam w sali konferencyjnej ze ścianami wyłożonymi białą materiałową tapetą i okrągłym stołem z lakierowanego brzozonego drewna. Reprodukacja Nenufarów Moneta i plakat ze Sztokholmskiego Festiwalu Wody 1995 stanowiły jedyne dekoracje. Na ścianie przede mną wyświetlano jedną fotografię Pontusa Olssona za drugą.

– Ofiara została zastrzelona z bliskiej odległości. Z góry i po skosie. Sprawca przypuszczalnie zbliżył się od tyłu. Pontus się odwrócił lub został do tego zmuszony, stąd wlot po kuli tuż za lewym okiem. Zgon nastąpił natychmiast.

Postać patolożki sądowej Kateriny Markievic silnie kontrastowała z jej słowami i fotografiami, które wskazywała. Była zachwycającym zjawiskiem – spływające falami ognistorude loki, miękko zaokrąglona figura i ubrania w stylu boho. Dzisiaj miała na sobie szeroką spódnicę w fioletowe kwiaty i intensywnie fioletową bluzkę z długim rękawem. Super było znowu ją spotkać, należała do osób, które chętnie poznałabym bliżej. Pierwszy i jedyne raz pracowałyśmy razem podczas śledztwa zeszłego lata i bardzo dobrze się dogadywałyśmy.

Stojący z drugiej strony ekranu Andreas z zespołu technicznego to kolejna osoba, którą naprawdę szanowałam i podziwiałam. Wysoki i dryblasowaty, o brązowych włosach do ramion, inteligentny, analityczny, kreatywny i obdarzony najbardziej sarkastycznym poczuciem humoru, z jakim się zetknęłam. Ta dwójka była niczym ogień i lód, ale stanowili doskonały zespół. Andreas zabrał głos i wskazał ekran:

– Strzał został oddany pistoletem kaliber dwadzieścia dwa. Wokół wlotu po kuli nie ma żadnych ran, co oznacza, że wszystko odbyło się szybko. Sprawca nie groził, nie mówił ani nie wymachiwał pistoletem, tylko przeszedł od razu do sprawy, że się tak wyrażę. Pontus nie zdążył się obronić ani w żaden sposób walczył ze sprawcą. Miał sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, lecz kąt strzału wskazuje, że został zastrzelony przez osobę wyższą od niego lub z innego powodu znajdującą się wyżej.

Kolejne zdjęcie. Pomieszczenie nagle mocno się rozjaśniło. Karta sfotografowana na białym tle. Karta tarota poplamiona krwią. Pasek pośrodku sugerował, że była złożona. Miała wyraziste kolory. W centrum na kolumnie siedział diabeł o tradycyjnym wizerunku z pentagramem na czole, rogami kozła, ludzkim tułowiem, kozimi nogami i pazurami zamiast kopyt. Do kolumny przykuci łańcuchem byli naga kobieta i nagi mężczyzna. Na samym dole widniało tylko „Diabeł”.

– Nie udało nam się zabezpieczyć żadnych odcisków palców.

– Ciekawe. Metoda zabójstwa, czyli strzał z pistoletu, jest skuteczna, pozbawiona emocji, racjonalna. Natomiast karty tarota są typowo newage’owe. A to przecież zaprzeczenie racjonalności. Dziwne połączenie. Musimy je przeanalizować – odezwałam się, zerkając na dwie osoby siedzące obok mnie. Mój zespół.

Nie do końca wiedziałam, co o nich myśleć. Niestety opis Tovy zdawał się pasować do nich bardzo dobrze. Starszy pan, mówiąc dyplomatycznie, i chłopak, który wyglądał, jakby ledwo wyszedł z okresu dojrzewania, chociaż dawno nie wychodził z akademika. Emeryt Gösta był drobny i niski, opadały mu ramiona i miał włosy o mysim kolorze, na szczycie głowy jeszcze cieńsze niż w pozostałych miejscach. Cała jego postać miała właściwie mysy kolor. Spojrzenie krystalicznie czyste, ale pozbawione zainteresowania. Były w nim jakaś twardość i hart, które się nabywa po przepracowaniu całego życia w policji, jak przypuszczałam. Oznajmił, że został mu tydzień do emerytury. Zastanawiałam się, ile właściwie ma lat. Jak długo trzeba pracować w policji, żeby pójść na emeryturę? Nie miałam pojęcia. Może sześćdziesiąt pięć? Siedział na krześle wyprostowany jak oficer i nieporuszony słuchał wyводу.

Mattias, siedzący naprzeciwko Gösty, siedział z barkami uniesionymi do uszu i skrzyżowanymi ramionami. Wyglądał, jakby najchętniej odwrócił wzrok od ekranu. Jak mi się wydawało, ciemnoblond włosy przyciął sam rok czy dwa lata temu kuchennymi nożyczkami. Twarz miał jednocześnie męską i dziecięcą. W jakiś kanciasty sposób był przystojny, ale miał najbrzydsze brązowe oprawki, jakie kiedykolwiek widziałam – przypominały te, które ludzie nosili w latach osiemdziesiątych w czasach mojego dzieciństwa. Mattias rzeczywiście nie pracował jako policjant. Był doktorantem na uniwersytecie. Studiował psychologię i kryminologię oraz jakąś setkę innych kierunków, które wyliczał wcześniej, kiedy w pośpiechu się sobie przedstawialiśmy. W ramach pracy, którą pisał, miał przez sześć mie-

sięcy obserwować i badać pracę policji. Przede wszystkim, jak wykorzystuje nowoczesną psychologię. Wykazywał się gorącym entuzjazmem, że dostał „szansę”, jak się wyraził, na współpracę z zawodowym profilerem.

Kiedy popatrzyłam na swoich współpracowników, uderzyła mnie jedna rzecz – ubierali się w identycznym stylu. Beżowe chinosy, białe koszule, już niezupełnie białe, i swetry zrobione na drutach. Obaj byli na pewno całkiem sympatyczni i kompetentni w swoich dziedzinach, ale nie bardzo wiedziałam, co mam zrobić z policjantem tuż przed emeryturą i doktorantem psychologii. Po co dostałam swój „zespół”? Musiałam przyznać, że nie do końca to rozumiałam, choć miałam pewne podejrzenia.

– Znaleźliście na miejscu zbrodni jakieś ślady DNA? – spytał Andreas.

– Tak, ale nic szczególnie wyraźnego ani interesującego. Odrobinę śliny na twarzy, jednak równie dobrze może pochodzić od jakiejś osoby, która stała w tej samej windzie co ofiara i niechcący kichnęła. Państwowe Laboratorium Kryminalno-Techniczne jeszcze nie skończyło analizy, więc nie wiadomo, czy nie wpadniemy na trop w jakiejś bazie, ale prawdopodobieństwo jest minimalne.

– Możemy w każdym razie stwierdzić, że zabójstwa zostały zaplanowane, a morderca to osoba zorganizowana. Wziął ze sobą karty tarota, włożył rękawiczki i musiał załatwić sobie pistolet – odparłam.

Andreas pokiwał głową.

– Przechodzimy do kolejnej ofiary – odezwała się Katerina.

Następna fotografia. Ta przedstawiała starszego mężczyznę leżącego na brzuchu na podłodze w niewielkim przedpokoju wyłożonym jasnobeżowym linoleum. Ręce i nogi były odrzucone od ciała. Siwe włosy, które za życia na pewno starannie zaczesywał na gołe ciemnie, zwisały do kałuży krwi utworzonej pod nim i wokół niego.

– Karl Petter Rönndahl. Siedemdziesiąt sześć lat. Mieszkał sam. Były prokurator. Postrzelony w pierś.

Następna fotografia przedstawiała zbliżenie umytego tułowia na stole sekcyjnym.

– Pierwszy strzał musnął szczyt głowy, drugi trafił w serce – objaśnił Andreas, wskazując ekran. – Ten sam kaliber. Zbliżenie wlotu po kuli.

– Oba strzały oddano z odległości około jednego do półtora metra. Kule przestaliśmy do Laboratorium w celu porównania, ale to z największym prawdopodobieństwem ten sam pistolet.

– Znaleźliście jakąś kartę tarota? – spytałam, drapiąc się po głowie długopisem.

Katerina pokiwała głową.

– Też w ustach. Jej nazwa to „Sprawiedliwość”.

Jeszcze jedno kliknięcie i następna wygladzona karta z półprzezroczystą powłoką zaschniętej krwi wypełniła ścianę przed nami. Dało się wyraźnie zauważyć, że jest w tym sam graficznym stylu, może z tej samej talii, co ta znaleziona w ustach Pontusa. Ta przedstawiała długowłosą postać, nie dało się rozróżnić, czy mężczyznę, czy kobietę, w złotej koronie oraz z mieczem w jednej i wagą w drugiej ręce. Miała czerwoną suknię i zieloną pelerynę. Natomiast jedyną różnicą w stosunku do tradycyjnego wizerunku sprawiedliwości był brak opaski na oczach.

Uszczyptałam się w dolną wargę. Mój mózg pracował na wysokich obrotach. Przejrzałam materiały ze śledztwa leżące przede mną na stole.

– Dwie rzeczy rzucają się w oczy. Numer jeden. Różne sposoby dokonania obydwu morderstw: pierwsze z bliska, precyzyjnie, niemal jak egzekucja, a drugie z nieco większej odległości, z dużą niepewnością, pierwsza próba nawet chybiona. W pierwszym przypadku wystarczająco dużo odwagi lub zuchwalstwa, by popełnić zbrodnię na środku ulicy, gdzie istnieje duże ryzyko przyłapania na gorącym uczynku. W drugim sprawca szukał ofiary w domu i zbił lampę na klatce schodowej. Postarał się, aby nikt go nie zobaczył ani nie zidentyfikował. – Wyliczałam na palcach. – Numer dwa. Karty tarota. Nie zgadzają się z resztą zachowania. – Zwłaszcza jeśli dodałabym, co wiem z banku, ale nie mogę tego powiedzieć.

– Może chodzić o rozdwojenie jaźni? – zapytał Mattias.

– Niewykłuczone. – Wątpiłam w to, ale nie mogłam odrzucić jego pomysłu. Nie było to zupełnie niedorzeczne. Naciągane tak, ale nie całkowicie nieprawdopodobne.

– Myślisz, że zabójca znał ofiarę? – spytał Andreas.

Mattias mnie uprzedził.

– Czysto statystycznie zdecydowana większość sprawców zna swoje ofiary, lecz akurat w przypadku seryjnych morderców jest najczęściej odwrotnie, to znaczy nie znają ofiar ani nie mają z nimi wcześniejszych związków.

– Zgadza się – potwierdziłam, kiwając głową. Mattias wyglądał na szczęśliwego. – Ale jednak prawie zawsze istnieje powiązanie między ofiarami, powód, dla którego sprawca wybiera właśnie je. Płeć, wygląd, zawód, orientacja

seksualna i tak dalej.

– O ile podobnie jak mordercy z Oak Ridge nie wybiera ofiar zupełnie przypadkowo. – Stało się dla mnie jasne, że Mattias chce się pokazać.

– Tak, to zasadniczo prawda, ale w takich sytuacjach przypadkowość można jasno odczytać jako swego rodzaju wzór – odpowiedziałam.

– To prawda. – Mattias sprawiał wrażenie pokonanego.

Uśmiechnęłam się do niego przepaszająco i zamknęłam notatnik.

– Dzięki za sprawozdanie. Było bardzo ciekawe. Nie mamy specjalnie na czym bazować, ale mimo to jest dość dużo wątków, by zacząć badanie. Moim zdaniem droga do tego zabójcy wiedzie zdecydowanie przez jego ofiary. Musimy je całkowicie prześwietlić. Znaleźć wspólne mianowniki. Żeby poszło szybciej, proponuję się nimi podzielić. Chcę wiedzieć wszystko, dosłownie wszystko. Od panińskiego nazwiska matki po ewentualne kochanki obecnie. Ja wezmę Pontusa Olssona. – Wtedy nie będę musiała ujawniać wszystkiego, co już o nim wiem. Najpierw chcę porozmawiać z Lennartem. – Mattias i Gösta, wy możecie zająć się Rönndahlem. – Spojrzałam na swoje notatki. – Moglibyśmy jutro rano spotkać się we trójkę w mieszkaniu Rönndahla? Andreas, mógłbyś iść z nami?

Andreas skinął głową.

– Oczywiście. Spotkajmy się tam o ósmej, to was wpuszczę.

– Dzięki – odpowiedziałam. – Może już od tego południa spróbujemy na podstawie istniejących materiałów ze śledztwa budować sobie wyobrażenie o osobowości ofiar.

Obaj mężczyźni pokiwali głowami. Gösta wyglądał na niezbyt podekscytowanego, Mattias zaś na podekscytowanego, lecz dezorientowanego. Wszyscy wokół stołu zaczęli pakować swoje papiery i wstawać. Katerina i ja zostałyśmy trochę w tyle za pozostałymi.

– Wspaniale cię znowu widzieć. Szkoda, że potrzeba seryjnego mordercy, żebyśmy się spotkały!

Zaśmiałam się.

– Chyba da się coś na to zaradzić. Może lampka wina kogoś wieczoru? Na przykład w czwartek?

– Chętnie. Zapytam męża i dzieci, czy dadzą mi przepustkę, i dam ci znać.

Wymieniłyśmy się numerami telefonu, Katerina mnie uściśniła i wyszła. Zostałam jeszcze chwilę i rozejrzałam się po pokoju, który nam przydzielono. Był mały i widać było z niego wielki wyasfaltowany dziedziniec. Wewnątrz nie było nic poza stołem pośrodku, dwoma biurkami pod oknem w dalszej ścianie, białą tablicą i półką na książki. Od czego zacząć? Postanowiłam wybrać się na poszukiwania materiałów biurowych. Musiałam zdobyć segregatory, długopisy, mapę Sztokholmu i mnóstwo innych rzeczy. Półtorej godziny później dostałam wszystko, czego potrzebowałam, od marudnego dozorczy, który mruczał pod nosem, że nie złożyłam zamówienia ani nawet nie mam centrum kosztów. Mój nastrój osiągnął jakiś rodzaj dna. To nie na to chciałam poświęcać czas. To było kompletnie bez sensu. Zmusiłam się, żeby odwrócić uwagę od złego humoru, i przymocowałam mapę Sztokholmu obok tablicy, na której zapisałam nazwiska dwóch ofiar i czas popełnienia morderstwa oraz przymocowałam wydruki zdjęć, które dał mi Andreas. Usiadłam ze skrzyżowanymi nogami w ogromnym fotelu biurowym i wlepiłam wzrok w fotografie. Jakim typem osoby był ten, kto to zrobił?

Moja pierwsza analiza, ta, którą sporządziłam dla Emelie, zdawała się sprawdzać. Działanie nadal sprawiało wrażenie chłodnego, skutecznego i w pewien sposób całkowicie pozbawionego emocji zabijania. Jego modus operandi różnił się między pierwszym a drugim razem, co oznaczało, że sama metoda postępowania zdecydowanie nie należała do fantazji – wówczas nie byłaby tak zróżnicowana. Ponadto mogliśmy całkowicie wykluczyć, że morderstwa miały jakikolwiek motyw seksualny, ponieważ dowody fizyczne wskazywały, że morderca nie dotknął ciała ani przed oddaniem strzałów, ani po nim. Istnieją wprawdzie inne sposoby podniecania się mordercy niż przez dotyk, ale wtedy polega to najczęściej na tym, że morderca przygląda się, jak na przykład ofiara cierpi, a w związku z tym wybiera metodę, która zajmuje więcej czasu i sprawia więcej bólu. Z tego samego powodu nie chodziło tu o czysty sadyzm. Istniały o wiele łatwiej dostępne możliwości.

Karty tarota wskazywały na typ motywacji zwany misjonarzem. Na temat tego typu istniało sporo sprawdzonych faktów – sprawca morduje z przekonania i usuwa członków dowolnie wybranej grupy, którzy według niego nie są wari, by żyć, lecz niechętnie przykładałam ten szablon do morderstw w tej sprawie. Przy uwzględnieniu kradzieży danych w ogóle się nie zgadzało. Zdecydowanie skłaniałam się ku temu, że tutaj zabójcę w stu procentach motywował własny zysk, prawdopodobnie o charakterze finansowym, ale tylko jednego byłam absolutnie pewna już teraz – że ten morderca w szablon się nie wpisuje. Wraz z rosnącą liczbą spraw, nad którymi pracowałam, coraz jaśniejsze stawało się dla mnie, że szablon i stereotypy przynosiły więcej szkody niż pożytku, ponieważ wnioski wyciąga się

na temat cech, co do których nie ma dowodów. Potarłam twarz i odwróciłam się do komputera, żeby sprawdzić pocztę i poczytać o znaczeniu kart tarota.

Emelie wysłała mi e-mail. Na wszelki wypadek postanowiła zebrać cały materiał do zgłoszenia na policję, nawet jeśli wiązało się to z utratą banku jako klienta. Teraz chciała wiedzieć, jak ma ten materiał uporządkować. Cała Emelie. Wszystko miało być idealne. Wysłałam jej wzór, zamknęłam pocztę i otworzyłam Wikipedię. Ledwo zdążyłam wpisać do wyszukiwarki „tarot”, przerwało mi pukanie do drzwi. To był Gabriel.

– Za pięć minut mamy konferencję prasową. Chcą, żebyś na nią przyszła. Chodź. – Skinął w stronę korytarza i ruszył.

Nie miałam innego wyboru niż podążyć truchtem za nim.

– Co proszę? Czy nikt nie mógł mnie powiadomić parę minut wcześniej?! Czego ma dotyczyć konferencja? Kto na niej będzie?

– Obu zabójstw, a będziecie na niej ty, Lennart i komendantka.

Poszłam w milczeniu za Gabrielem i w błyskawicznym tempie spróbowałam uporządkować myśli. Jak przypuszczałam, organizują konferencję, aby podać do wiadomości, że obu morderstw dokonała ta sama osoba, i dlatego chcieli, żebym przyszła. Pieprzony Lennart. Byłam pewna na sto procent, że świadomie czekał do ostatniej chwili, żeby mnie poinformować. Nie miałam zamiaru na to przystawać. Kiedy na końcu korytarza Gabriel zwołnił i otworzył drzwi po lewej stronie, na drzwiach naprzeciwko dostrzegłam tabliczkę toalety.

– Najpierw idę tutaj. Daj mi trzy minuty – powiedziałam.

– Nie, musisz wejść w tej chwili. Polecenie Lennarta – Gabriel wyglądał na zakłopotanego.

– Jeśli nie chcesz mnie tam wnosić, musisz poczekać. – Nie słuchając jego odpowiedzi, otworzyłam drzwi do toalety i weszłam. W środku opałam się o wewnętrzną stronę drzwi i zamknęłam oczy. Konferencja prasowa. Moja szansa na skontaktowanie się z zabójcą. Nawet jeśli nie zobaczy wystąpienia w telewizji, na pewno przeczyta o nim w gazetach. Każde słowo, każde sformułowanie to dla mnie szansa, by zabić mu ćwieka. I z dobrym, i ze złym skutkiem. Trzeba się zastanowić. Co chciałam mu przekazać? To było właściwie czyste szaleństwo. Wiedziałam o tym mężczyźnie zdecydowanie zbyt mało.

Sprawdziłam, która godzina. Minęła minuta. Zostały dwie. Nie miałam czasu na wahanie. Musiałam założyć, że moja obecna teoria jest prawdziwa. Żadny zysku morderca i haker. Przypuszczalnie usprawiedliwił swoje zachowanie i zabrnął tak daleko, że był dumny ze swoich hakerskich zdolności. Mógł przekonywać, że dokonanie morderstw było całkowicie logiczne i niezbędne. Arogancko. Mogłabym go sprowokować do nawiązania kontaktu. Przejrzałam się w lustrze i związałam z tyłu włosy w ciasny węzeł. Podciągnęłam jeszcze bluzkę, zakrywając bliznę na szyi, i wyszłam do Gabriela stojącego tam, gdzie go zostawiłam. Popatrzył na mnie, nie bez błysku w kąciку oka, odwrócił się i wszedł do środka, a ja podążyłam za nim.

Konferencja już się zaczęła. Wślizgnęłam się i usiadłam po prawej stronie Lennarta. Nie dał po sobie poznać choćby rzutem oka, że zauważył moje wejście. Natomiast komendantka po jego drugiej stronie uśmiechnęła się i skinęła mi głową. Kiedy Lennart skończył mówić, skorzystała z okazji, żeby mnie przedstawić. Pojawiło się w związku z tym wiele pytań. Żadnego nie udało mi się rozróżnić. I nawet nie próbowałam.

– Mamy do czynienia z seryjnym mordercą. Niebezpiecznym dla otoczenia, brutalnym mężczyzną, który morduje bez jakiegokolwiek zastanowienia. Mężczyzną, który rozkoszuje się przemocą. – To powinno go porządnie rozdrażnić. Jeśli miałam rację, był zupełnym przeciwieństwem tego, co opisałam. Poczucie się wówczas zmuszony, żeby się bronić i wytłumaczyć. Zademonstrować swoją inteligencję.

Lennart wbił we mnie wzrok.

– Słowa Althei Molin to na razie tylko spekulacje, ponieważ zaangażowaliśmy ją dopiero dziś rano. Nie ma powodu do paniki.

Wiedziałam, że zdaniem Lennarta w ogóle nie powinnam otwierać ust, ale wtedy nie wlokłby mnie na to przedstawienie. Konferencja potrwała jeszcze dziesięć minut i komendantka zakończyła ją kilkoma słowami podsumowania o tym, jak ważna jest dobra komunikacja między mediami a policją. Gęsiego wyszliśmy z sali konferencyjnej na korytarz. Gdy tylko komendantka podziękowała nam i zniknęła poza zasięgiem słuchu, Lennart ryknął:

– Co to miało być, do ciężkiej cholery? To przecież jakieś popieprzone, żeby przedstawiać tego typu jako nowego Kubę Rozpruwacza, no nie?

– Gdybyś chciał, żebym milczała, chyba niekoniecznie byś mnie tam ciągnął, prawda?

– Niech to diabli, nie można cię wypuścić między ludzi. Musisz zrozumieć, że tutaj chodzi o pracę zespołową.

– A to nie jest dość bezczelne w twoich ustach? Powiedziałam, co powiedziałam, bo miałam powód.

– Dobrze to wiem. Żeby wszystko spieprzyć i narobić kłopotów. – Lennart ruszył gwałtownie w swoją stronę.

Stałam z rękami zwisającymi po bokach. Próbowałam wyglądać, jakby zostały mi resztki godności. Przesunęłam ręką po twarzy i odeszłam.

Czytałam raport z sekcji zwłok Rönndahla, gdy zadzwoniła moja komórka. Nie rozpoznałam numeru. Mimo to odebrałam.

– Jak to możliwe, że widzę cię na policyjnej konferencji prasowej, jak opowiadasz o Pontusie Olssonie bez wcześniejszego poinformowania mnie o tym? A tak na marginesie, kiedy podpisałaś umowę o poufności? – Rozpoznałam głos. Należał do Fredrika Hesslöwa z Lindsteina. Mówił gładko, lecz z twardą nutą.

– Zostałam włączona do śledztwa. Nie miałam wyboru. Poza tym nie powiedziałam na temat banku czy włamania ani słowa, co też powinieneś wychwycić, bo na konferencji nie zostaliście wspomniani. A żadnego papieru nigdy nie podpisałam. Mówiłeś o tym, ale prawdziwego dokumentu nigdy mi nie dałeś.

– Niedopatrznie z mojej strony. Powiniennem był tego dopilnować. Na ten moment muszę polegać na twoich wyjaśnieniach, ale jeśli się dowiem, że wypuściłaś choćby najdrobniejszą informację na temat naszego udziału w tej sprawie, odbije się to na Emelie. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Dziękuję. Groźba dotarła. Wraz z całą zamierzoną wyrazistością.

Fredrik się rozłączył. Próbowałam nie myśleć, w jakich tarapatach znalazłyśmy się z Emelie. Włożyłam telefon do kieszeni i spróbowałam czytać dalej.

Około piątej postanowiłam, że już wystarczy, spakowałam się i wyszłam z Kryminalnego. Wybierałam się na trening. Joga była zarówno zdrowa, jak i relaksująca, lecz miałam poczucie, że dzisiaj trudniej niż zwykle będzie mi się skoncentrować. Kiedy szłam po Fleminggatan w kierunku Fridhemsplan, myśli wirowały mi w głowie. Jedna część mojego mózgu próbowała szukać punktów wspólnych między Rönndahlem a Pontusem Olssonem, druga zaś chciała ogarnąć mój zespół. W jaki sposób mogłabym ich zaangażować? Wykorzystać ich? Może powinnam się ich pozbyć? To by bez wątpienia niejedno ułatwiło. Nie, to żadne wyjście. Wiedziałam, że poskarżenie się Lennartowi jest kompletnie bez sensu. Przeciwnie, sprawi mu ogromną radość.

Piknęła moja komórka. To Katerina, która potwierdziła czwartkowe spotkanie przy lampce wina. Odpisałam z pytaniem, czy mogę zabrać jedną przyjaciółkę. Podejrzywałam, że Emelie i Katerina bardzo się polubią. Katerina natychmiast odpisała, że to w porządku. Z zadowoleniem włożyłam telefon do kieszeni. Zerwał się wiatr. Na Fleminggatan wślizgnęłam się jak najgłębiej do wiaty przystankowej, owinęłam jeszcze raz szalikiem i spojrzałam na czerwone cyfry wyświetlacza. Autobus miał nadjechać za dwie minuty.

Kiedy późnym wieczorem wróciłam cudownie obolała na całym ciele, czułam się dużo lepiej. Po jodze debatowałyśmy długo z Emelie i ustaliłyśmy plan. Emelie miała skontaktować się z kancelarią adwokacką i poprosić tam o przejrzenie umowy, żeby sprawdzić, jak najlepiej się z niej wykręcić. Gdy tylko to zrobią, powiadomimy policję. Zajmie to jeszcze tylko jeden dzień lub dwa, a jeśli nasze informacje okazałyby się kluczowe dla śledztwa, miałam pozwolenie Emelie, by od razu je przekazać, niezależnie od konsekwencji. Zrobiłam sobie parę kanapek i filiżankę zielonej herbaty. Niestety Rickard zostawił mi na poczcie głosowej wiadomość, że musiał zostać po godzinach, więc wślizgnęłam się do łóżka sama, próbując się nie zastanawiać, czy to tylko praca go zatrzymała.

Mieszkanie pachniało lekko dymem papierosowym, męskimi perfumami i środkami czyszczącymi. Był wtorkowy poranek. Razem z Mattiasem, Göstą i Andreasem staliśmy w mieszkaniu Rönndahla na Jungfrugatan zaraz za rynkiem Östermalmstorg. Był to przestronny, porządnie wysprzątny trzypokojowy apartament z wysokimi sufitami. W milczeniu przeprowadziliśmy oględziny i zatrzymaliśmy się w kuchni.

– Mattias – zaczęłam. – Jaki człowiek tutaj mieszkał? Co możesz wyczytać z mieszkania?

– Ja? Ale ja nie wiem... Nigdy nie... – jękał się i rozglądał nerwowo dookoła z ramionami ciasno skrzyżowanymi na piersi.

– Spróbuj – odrzekłam niecierpliwie, choć zachęcająco. Zorientowałam się, że było mu dużo trudniej wyciągać własne wnioski z rzeczywistych sytuacji, niż po prostu recytować całą wiedzę, którą wbił sobie do głowy. Nic dziwnego, to przecież jego pierwsza prawdziwa sprawa.

– Cóż, hmmm... Kawaler.

– Wdowiec – poprawiłam, wskazując robione na drutach łapki do garnków i niewielką wydzierganą na szydełku serwetkę, która znajdowała się pod porcelanowym wazonem stojącym w oknie.

– Tak. Masz rację. Kiedy ofiara jest już starsza, zwykle odejmujemy parę lat od wieku sprawcy. Bo wtedy zabójca częściej jest młodszy. Zaczyna się od dwudziestu pięciu lat...

– To całkowicie słuszne, ale co widzisz tutaj, co wiadomo akurat o tej ofierze?

– Ma pewnie dużo pieniędzy.

Niezbyt ryzykowny strzał, kiedy się stoi w trzypokojowym mieszkaniu na Östermalmie.

– Dobrze. Co jeszcze?

– Jeszcze... Cóż, nie wiem. Szwecja należy do państw, w których jest najwięcej jednoosobowych gospodarstw domowych...

Mattias zaczął się wiercić. Gösta opierał się o zlew i wyglądał przez okno. Andreas uśmiechał się lekko, patrząc na mnie i Mattiasa. Czułam się jak nauczycielka stojąca naprzeciwko ucznia, który nie odrobił pracy domowej. Nie chciałam być wobec niego złośliwa, tylko próbowałam go zaangażować i sprawdzić, co umie, a przy tym sprawić, by przestał się denerwować i wykorzystał w praktyce całą tę wiedzę, którą w siebie wpakował. Wpatrywałam się w niego jeszcze chwilę i dałam sobie spokój.

– Gösta? – spytałam.

– Obstawia wyścigi konne i wczoraj przegrał. – Wskazał zgniecione kupony leżące na podłodze obok telewizora.

– Nadal intelektualnie sprawny i zainteresowany światem. – Skinęłam dłonią w kierunku stosu gazet, niektóre były nawet po angielsku. Na wierzchu leżały porządnie złożone okulary do czytania. – Poza tym w sypialni stał dość nowoczesny komputer.

Odwróciłam się do Andreeasa.

– Możesz nam krótko opowiedzieć, co znaleźliście, o ile znaleźliście cokolwiek?

– Cóż, właściwie bardzo niewiele, ale interesujące jest to. – Wyciągnął duży album i położył go na stole. – Wszystkie to artykuły o jego sprawach. Rönndahl był prokuratorem. – Andreas otworzył album. – Są tu szczegółowe notatki, wycinki prasowe, protokoły. Wszystko.

– Możemy to pożyczyć, żeby poszukać czegoś ciekawego w jego życiorysie?

– Pewnie.

Chodziliśmy po mieszkaniu jeszcze dziesięć minut, gdy poczułam, że już mam dosyć zarówno ciężkiego powietrza zalegającego w środku, jak i kulejącej konwersacji.

– Myślę, że tu się zatrzymamy. Moglibyście nadal prześwietlać Rönndahla? A ja zajmę się kartami. Andreas, przekaziesz też Göście wszystkie informacje na temat broni?

– Zrobi się. To tyle, co nic, więc szybko pójdzie! – Andreas uśmiechnął się do mnie. Widziałam, że mi współczuje. Właściwie trochę mnie to zirytowało, przede wszystkim z powodu zażenowania, że nie potrafię rozruszać swojego zespołu. W Modusie zawsze byłam tylko członkinią. Tamte grupy miały koleżeński i dynamiczny charakter, prowa-

dziliśmy konstruktywne, czasami gorące dyskusje, które posuwały profilowanie do przodu z ekspresową prędkością. Wszyscy wnosili swoje kompetencje, swój kawałek układanki. Zdałam sobie sprawę, że kierowanie zespołem, by funkcjonował w ten sposób, wymaga więcej pracy, niż mogłam przypuszczać. Popatrzyłam poważnie na Mattiasa i Göstę. Coś musiałam zrobić. Pozostawało tylko wymyślić co takiego. Ustaliłam z nimi spotkanie na następny poranek w celu złożenia raportu i jak najszybciej stamtąd poszłam.

Pojechałam autobusem na Odenplan. Miałam zamiar dowiedzieć się czegoś więcej o tarocie w Stadsbiblioteket. Z westchnieniem szczęścia weszłam po szarych, podniszczonych kamiennych schodach. Tutaj, wśród zapachu papieru i detergentów, spływały ze mnie wszystkie zmartwienia świata i cały stres. Przez okna wysokiej kopuły wpadało słońce. Schody, galerie i półki na książki wypełniały cylindryczne ściany po sam sufit, dziesięć metrów nade mną. Wyglądało to prawie na złudzenie optyczne, rysunek Mauritsa Eschera. Na środku pomieszczenia stały komputery z katalogami bibliotecznymi. Znalazłam jeden wolny. Szukałam wszystkiego, co miało związek z tarotem. Wiedziałam, że to rodzaj talii kart wykorzystywanej do wróżenia, lecz niewiele więcej. Sprawdziłam miejsce na półce, poszłam do odpowiedniej sali, znalazłam książki i usiadłam przy jednym ze stołów. Ułożyłam stos obok lampki z zielonym szklanym kloszem i zaczęłam czytać pierwszą pozycję od góry.

Przeniosłam się do zupełnie innego świata okultyzmu, średniowiecza i mitów. Byli w nim nawet groźni przywódcy sekt, jak na przykład Aleister Crowley. O co chodziło w jego sekcje, nie było jasne, ale w większości chodzi zwykle o to samo – o władzę. I seks. W każdym razie pan Crowley zaprojektował dość ładną, w moim przekonaniu, talię tarota. Gra istniała już jednak w szesnastym wieku. Tę samą symbolikę i układ wykorzystywano do dzisiaj. Talia dzieli się na dwie części. Najważniejsze z perspektywy wróżenia są Wielkie Arkana, czyli dwadzieścia dwie karty, z których każda ma własne znaczenie. Poza tym jest także pięćdziesiąt sześć kart składających się na Małe Arkana, które można porównać do kart numerowanych w zwykłej talii i także wykorzystywać do niektórych gier. Dość szybko zdałam sobie sprawę, że muszę zaopatrzyć się w talię. Wypożyczyłam praktyczny podręcznik stawiania tarota i wyszłam z biblioteki, przy Odengatan zjadłam na lunch pyszne sushi, a potem udałam się na początek Drottninggatan w okolicach parku Tegnérlunden. Znajdowała się tu księgarnia Vattumannen, gdzie sprzedawali wszystko, co miało najmniej związek z religią, New Age'em, medycyną alternatywną i tak dalej. Karty tarota oczywiście mieli.

Zarzuciłam przynętę. Wyjęłam wydruk karty tarota włożonej do ust Pontusa i pokazałam ją przy kasie. Miałam nadzieję, że nie zapytają o czarne plamy widoczne na karcie. I dzięki Bogu nie zapytali. Okazało się, że talia nazywa się Rider-Waite i stanowi najpopularniejszy wzór. Podczas gdy karty są takie same we wszystkich taliach, istnieją nieskończone warianty wykonania z czarownicami, kotami, elfami i innymi elementami. Zanim wyszłam z kasą, zabrałam z sobą kasetę z aniołami, które zbierała Emelie, więc będzie pasować, a zbliżały się jej urodziny. Zapłaciłam i jak najszybciej wyszłam na ulicę. Od zapachu kadzidła w sklepie rozboleła mnie głowa. Spacerem udałam się siedziby Infosecu i skorzystałam z biurka, żeby uporządkować sprawę i zbudować sobie wyobrażenie, jak zabrać się do działania.

Już w domu, późnym popołudniem, wyjęłam talię z torebki, wzięłam książkę i usiadłam na podłodze. Chciałam sobie powrócić, żeby lepiej zrozumieć znaczenie i funkcje kart. Powinny brać w tym udział właściwie dwie osoby – jedna wybiera kartę, a druga odczytuje znaczenie, ale i tak dawało radę. Ten, kto chce dostać odpowiedź, ma zajmować się kartami, a podczas tasowania myśleć tylko o pytaniu i niczym innym. Wtedy impregnuje karty własnym magnetyzmem i ustanawia połączenie między nimi a swoją podświadomością, jak było napisane w książce. Rany boskie! Własny magnetyzm, cóż to za wyrafinowane brednie! Kiedy ostatni raz sprawdzałam, moje dłonie nie przywierały do lodówki. Oczywiście rozumiałam, że to wyrażenie metaforyczne, ale naprawdę nie lubiłam żadnych sposobów przekonywania ludzi, że ktoś lub coś rozwiąże za nich problemy. To tak nie działa.

Zacząłam jeszcze raz i spróbowałam nie nastawiać się tak krytycznie. Zapaliłam kilka lampek i świec, na starym zestawie muzycznym nastawiłam cudownie melancholijną muzykę rockowego zespołu Daughtry i nalałam sobie małą lampkę czerwonego wina, zastanawiając się nad swoim „pytaniem” do kart. Tasowałam je – były nieco większe niż standardowe – i myślałam. Nagle zauważyłam, że drżą mi ręce. Złapałam się za pierś. Nie mogłam oddychać. Czułam, że muszę policzyć karty, ułożyć je w odpowiedniej kolejności, dotknąć ich jedna po drugiej. Odrzuciłam je od siebie i wyszłam na balkon w ciemny chłód. Stałam z zamkniętymi oczami. Koncentrowałam się tylko na oddychaniu. Powtarzałam sobie raz za razem, że to nie ja, że to tylko mój mózg ma natrętne myśli. Po chwili się uspokoiłam. Poszłam podlać kwiaty, z powrotem zastanawiając się nad pytaniem, a nie nad natrętными myślami, które wciąż tłukły mi się po głowie. Opuściły po tym, jak przez dziesięć minut grzebałam przy kwiatkach. Tym razem.

Postanowiłam spytać, czy mam przyjąć ofertę pracy w Nowym Jorku. Usiadłam po turecku na podłodze, związałam włosy na karku i zaczęłam rozkładać karty zgodnie z rysunkiem w książce. Nie miałam odwagi znowu ich potasować. Najpierw krzyż z pięciu kart i jeszcze jedna na tę znajdującą się pośrodku, a potem pionowy rząd czterech kart na prawo od krzyża. Pierwsza, którą miałam odwrócić, znajdowała się pod spodem na środku krzyża. Symbolizowała moje obecne miejsce w życiu. Odwróciłam. I wybuchłam śmiechem. Głupiec. Otworzyłam książkę i zaczęłam czytać, co oznacza ta karta. Lista była długa. Początek przygody. Entuzjazm. Inicjatywa. Nowe możliwości. Pasja. Brak dyscypliny. Niepewność. Niechęć do słuchania cudzych rad i tak dalej. Cóż, no tak, bez wątpienia zaczęłam właśnie nową przygodę, jeśli sprawę o zabójstwo można nazwać przygodą. Praca w Nowym Jorku to także nowa szansa.

Następna karta miała symbolizować bezpośredni wpływ, cokolwiek to znaczyło. Odwróciłam. Diabeł. To właśnie jego potrzebowałam w swoim życiu. Karta odnosiła się z pewnością do mordercy. Albo Lennarta. Uśmiechnęłam się. Po kilku następnych kartach zaczynałam rozumieć, o co tu chodzi. Tarot nie był wcale taki głupi. W tym wszystkim faktycznie tkwiła doprawdy genialna prostota. Każda karta miała tak ogólne znaczenie i tyle różnych możliwości interpretacji, że jakies odniesienie zawsze udawało się znaleźć. W ten sposób człowiek musiał więc usiąść i zastanowić się nad swoim życiem trochę z boku, trochę z góry, żeby tak to ująć, i raczej to dawało odpowiedź na pytanie niż jakiś kryjący się w podświadomości magnetyzm. Nic w tym złego, o ile się nie wierzy w perspektywę nadprzyrodzoną. A potem sprawdzało się to bardzo dobrze lub bardzo źle w zależności od osoby, która używała kart. Postanowiłam, że kiedy skończę, oddam talię Inger, mojej nowej terapeutce. Była wprost fantastyczną kobietą, która jesienią i zimą pomagała mi na drodze terapii poznawczo-behawioralnej odstawić leki i pozwoliła zdobyć w obliczu choroby zupełnie nową wiarę w siebie. Tarot ją zaciekał.

Odczytałam znaczenie dwóch kart znalezionych u ofiar. Pierwszą był Diabeł. Wydawała się oczywistym odniesieniem do działania, morderstwa. Według informacji w książce kartę dało się odczytywać jako śmierć wraz z takimi nawiązaniami jak przemoc, upadek i katastrofa. Nie można było stwierdzić, czy zabójca wybrał kartę ze względu na jej wygląd i nazwę, czy faktyczne znaczenie w kontekście wróżb. Może druga karta bardziej mi pomoże. Ta włożona do ust Rönndahla to Sprawiedliwość. Trudno uwierzyć, że po przepracowaniu całego życia w wymiarze sprawiedliwości to przez przypadek w momencie zabójstwa miał wciśniętą do ust akurat tę kartę. Morderca znał go więc przynajmniej na tyle, że wiedział, kim Rönndahl był z zawodu. Z doniesień prasowych wynikało, że pracował nad kilkoma dużymi sprawami. Pospiesznie przejrzałam album, który znaleźliśmy w jego mieszkaniu. Przyczynił się między innymi do skazania potężnego biznesmena o nazwisku Gustav Pedersen za popełniane przez dwadzieścia lat przestępstwa podatkowe. Wiadomości z procesu każdego dnia przez miesiąc pojawiały się w gazetach. Pedersen konsekwentnie utrzymywał, że jest niewinny, chociaż Rönndahl wznosił z dowodów prawdziwy Mur Berliński. Na podstawie artykułów odniosłam wrażenie, że był dobrym prokuratorem. Doprowadził do skazania szczyty ze związków zawodowych, członka rządu i kilku biznesmenów w rodzaju Pedersena. Odniosłam wrażenie, że nie cofał się przed niczym.

Jak więc odczytać Sprawiedliwość, gdy jest się wróżką? Ponownie zajrzałam do książki. Karta oznaczała równowagę. Harmonię. Cześć. Dziewiczość. Dobre intencje. Radę. Ukształtowany charakter. Chyba dostałam odpowiedź na swoje pytanie. Osoba, która wybierała karty, brała pod uwagę ich powierzchowne znaczenie, nie ezoteryczne. A więc nie mieliśmy do czynienia z kimś, kto kieruje się duchowością. Ale po co w ogóle używał kart, jeśli nie wiedział, co oznaczają, albo się tym nie przejmował? Oto jest pytanie. Czy morderca próbował po prostu sprawić, że policja skupi się na zabójstwach i dostrzeże związek z kartami, a nie kradzież danych? Częściowo mu się udało. Policja nie miała pojęcia o kradzieży danych. Od razu, gdy zobaczyła karty tarota, powiązała je z seryjnym mordercą. Spisałam swoje refleksje w notatniku i podkreśliłam ostatnią kwestię podwójną kreską.

Wyprostowałam plecy, które zaczynały boleć od siedzenia przez cały wieczór na podłodze. Wyjrzałam przez okno i długo patrzyłam na bursztynowe drobinki światła wysyłane przez uliczne latarnie daleko w dół. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Rickarda, ale dałam sobie spokój. Nadal nie byłam pewna, o co mu chodziło, kiedy kłóciliśmy się w weekend. Nie chciałam mieć poczucia, że przez cały czas się zamartwia, czy nie wróć do swoich natręctw. Nie chciałam, aby czuł, że nie jestem wystarczająco silna. Byłam wystarczająco silna. Usiadłam i spisałam, co będę musiała przygotować przed imprezą noworoczną w domu letniskowym, czy to z Rickardem, czy bez niego. Wciąż nie miałam ochoty i czułam się jak w potrzasku. Byłam zła na mamę, ale nie wiedziałam, jak to z nią poruszyć. W piątek mieli przylecieć z tatą do Szwecji. Ustaliliśmy, że w sobotni wieczór zjemy razem kolację. Jeśli będę miała okazję, spróbuję z nią porozmawiać, ale nie zawsze udawało się to bez problemu. Umyłam zęby, włożyłam zieloną flanelową koszulę nocną i poszukałam na półce jakiejś dobrej książki. Postanowiłam jeszcze raz przeczytać *Dobry omen* Neila Gaimana i Terry'ego Pratchetta. Wzięłam go i wślizgnęłam się do łóżka.

– Przyniosłem trochę ciasta. Wszyscy mają kawę? – spytał Gösta i przesunął półmisek z biszkoptem posypanym siekanymi orzechami laskowymi.

– Dziękuję – odpowiedziałam nieco zdziwiona i poczęstowałam się kawałkiem.

Była środa, ósma rano, a Mattias wyglądał, jakby dopiero wstał z łóżka i ledwo zdążył się obudzić w drodze na komendę. Włosy stały mu na wszystkie strony i miał cienie pod oczami. Biała koszula na płaskiej klatce piersiowej bynajmniej nie była wyprasowana. Poczulałam przypływ matczynych uczuć. Wyglądał na tak młodego. Kiedy ja sama dorosłam? A dorosłam? Nie byłam od niego o wiele starsza, ale miałam wrażenie, że dzielą nas lata świetlne. Uśmiechnęłam się do niego i zmusiłam się, żeby z powrotem skoncentrować się na sprawie.

– Co znaleźliście na temat Rönndahla?

– Przez całą karierę zawodową był prokuratorem. Z sukcesami. Specjalizował się w przestępczości gospodarczej. Od wielu lat na emeryturze. Bezdzietny. Żona zmarła trzy lata temu. Miał młodszą siostrę, z którą regularnie się widywał.

– Siostra coś wie? Nie zachowywał się ostatnio inaczej?

– Nie. Przekazała policji, że Rönndahl był dokładnie taki jak zwykle i nie wspominał o groźbach ani niczym podobnym.

– W porządku. Coś jeszcze?

– Jak widzieliśmy, obstawiał wyścigi konne. Dobrze sytuowany, spora suma pieniędzy odłożona w banku. – Gösta czytał z kartki, nie podnosząc wzroku nad brzeg okularów. Jego głos był znudzony i rozwlekły.

Nie mogłam go rozgryźć.

– Czy któraś ze spraw, nad którymi pracował, wydała ci się szczególnie interesująca? – spytałam.

– Nie, żadna się specjalnie nie wyróżniała. Przede wszystkim dłubanina przy podatkach, VAT i tak dalej. Kilka naprawdę dużych spraw, jak te przeciwko Gustawowi Pedersenowi, dyrektorowi Handelsbanken i Andersowi Krausemu. – Spojrzał na mnie znad okularów.

Pokiwałam głową. Ciągnął:

– Wszystkie sprawy są za stare, żeby miały jakieś znaczenie. Poza tym sprawdziłem. Pedersen zmarł pięć lat później na atak serca, zaledwie kilka dni po tym, jak wyszedł z więzienia. Krause przez ostatnie pięć mieszkał na stałe w Tajlandii, a dyrektora Handelsbanken oczyszczono ze wszystkich zarzutów.

– Dobry pomysł, żeby sprawdzić. – Zauważyłam na twarzy Gösty zaczątek słabego uśmiechu, który co prawda uznałam przede wszystkim za nieco protekcyjny.

Przedstawiłam informacje o Pontusie Olssonie, wciąż nie wspominając o swoich powiązaniach z bankiem. Następnie przeszłam do kolejnego punktu w planie.

– Pomyślałam, że zanim przejdziemy dalej, prześledzimy ogólnie proces profilowania i może poznamy się bliżej. Już trochę o sobie opowiedzieliście, ale chętnie dowiem się więcej.

Gösta i Mattias pokiwali głowami bez większego entuzjazmu, a ja dodałam:

– Mogę zacząć. Pracowałam jako profilerka u Toma Hendersona w Modus Operandi Inc. w Nowym Jorku. Moja mama jest pół Koreanką, pół Amerykanką, a tata Szwedem. Studiowałam w Szwecji psychologię i kryminologię, a potem jeszcze kryminologię i profilowanie kryminalne na Saint John University w Nowym Jorku. Następnie wymarudziłam bezpłatne praktyki w Modus Operandi, po których zatrudnili mnie na stałe. Pracowałam tam do zeszłego roku, kiedy niestety weszłam przez przypadek prosto do jedyne miejsce, w którym seryjny morderca w stanie psychozy czuł się bezpiecznie. Napadł na mnie, tak że ledwo uszłam z życiem. – Bezwiednie przesunęłam dłonią po bliźnie na szyi. – Wtedy przeprowadziłam się do Szwecji. Po raz pierwszy pracowałam jako freelancerka dla szwedzkiej policji zeszłego lata, więc to moja druga sprawa w Szwecji. – Wzięłam duży łyk kawy. Smakowała przede wszystkim gorzko. – Kto następny?

Żaden z nich się nie odezwał.

– Mattias, może zaczniesz? – zaproponowałam.

Chłopak skinął głową i wypił łyk kawy.

– Moja historia jest krótka i prosta. Mam dwadzieścia cztery lata, urodziłem się i wychowałem w Österlen w Skanii. Przeniósłem się do Sztokholmu, żeby studiować na uniwersytecie psychologię, kryminologię i inne pierdoły, ale to już wiesz. Zawsze się uczyłem, dalej się uczyć albo, jak akurat teraz, prowadzę badania. – Nie miał już nic do powiedzenia, więc się zaśmiał.

– A coś więcej? Co chcesz robić po studiach?

– Profilować. Absolutnie.

– Super! A ty, Gösta? – spytałam.

Gösta ugryzł kęs biszkoptu i na nas popatrzył.

– Całe życie zawodowe, czyli czterdzieści lat, przepracowałem w policji. Zaczynałem w drogówce w Karlskoga. – Napił się z siorbnięciem kawy.

– Na jakim stanowisku pracowałeś przez ostatnie lata? – zapytałam.

Gösta przesunął dłonią po szarej szczecinie na głowie.

– Przede wszystkim jako śledczy w sprawach o zabójstwo, a w późniejszych latach pomagałem we wszystkich innych.

– Ciekawe. Zakładam w takim razie, że wiesz coś o procesie profilowania?

– Cóż, tak. Ale i tak powiedz – odrzekł, rzucając szybkie spojrzenie na Mattiasa, i wziął następny kawałek biszkoptu.

Już wiedziałam, od czego zaczęła mu się robić oponka wokół pasa. Westchnęłam w duchu. Tego faceta za nic nie dało się rozgryźć. Tak jak mówiła Tova – zdawało się, że nie dba o nic, tylko o zbliżającą się emeryturę. Jak mogłabym wycisnąć z niego odrobinę zainteresowania i woli współpracy? Dałam sobie spokój z pedagogiką.

– No dobrze. Naszym zadaniem jest zaprezentowanie w poniedziałek profilu mordercy. Dzisiaj jest środa. Profil powinien zawierać podstawowe dane na temat sprawcy, to znaczy wiek, status społeczny i tak dalej, ale poza tym analizę tego, jaką linię postępowania naszym zdaniem obierze w przyszłości, oraz zalecenia dotyczące metody, która umożliwiłaby jego schwytanie, jeżeli mielibyśmy na to jakieś pomysły.

– Myślałem, że profilerzy do samego śledztwa się nie mieszają – zauważył Gösta.

– Bo się nie mieszamy. Chodzi mi tylko o to, że nasza pomoc może polegać na przykład na informowaniu o typie osobowości, który zwykle chce uczestniczyć w dochodzeniu, żeby mieć je pod kontrolą, lub gdy jesteśmy przekonani, że mordercę można sprowokować do dalszych działań poprzez wypowiedzi w mediach i podobne zabiegi. – Wróciłam myślami do konferencji prasowej. Przynęta jeszcze nie chwyciła. Przynajmniej nic mi o tym nie było wiadomo. Muszę się skontaktować z Gabrielem i wyjaśnić swoje zachowanie, żeby mógł śledzić doniesienia na policyjnej infolinii. Zapisałam to sobie w czerwonym notatniku.

Mattias i Gösta wciąż milczeli. Nigdy nie byłam dobrą partnerką dla nieprzystępnych osób.

– Proponuję, żebyśmy na początek szczegółowo odtworzyli przebieg wydarzeń i sporządzili dla obu morderstw osie czasu. Potem opracujemy tabelę, w której porównamy wszystkie informacje dotyczące zbrodni, żeby przyjrzeć się podobieństwom i różnicom w sposobie działania. Następnie zagłębimy się jeszcze bardziej w historię tych osób, aby znaleźć podobieństwa i różnice, ale z tym już dziś pewnie nie zdążymy.

Gösta i Mattias pokiwali głowami.

Pracowaliśmy cały dzień. Porządkowaliśmy to, co wiedzieliśmy, i wyszczególniliśmy to, czego nie wiedzieliśmy. Dokładnie o piątej Gösta spojrzął na zegarek, włożył prochowiec i poszedł do domu. Mattiasa odesłałam wpół do szóstej – koledzy dzwonili do niego cztery razy, a on próbował ukryć przede mną, że spóźnia się na spotkanie. Ja zostałam i chwilę popracowałam sama. Nastawiłam Johna Lee Hookera i jeszcze raz zadzwoniłam do Lennarta. Nie odbierał. Próbowałam już dzisiaj dobrych dziesięć razy. Usiadłam i popatrzyłam na to wszystko, co poprzyczepialiśmy do ścian. Oś czasu. Zdjęcia, które mieliśmy. Mapa. Wszystkie duże czerwone znaki zapytania. Wynotowałam przebieg wydarzeń dla każdej zbrodni. W ciągu dnia laboratorium potwierdziło, że kule pochodziły z tej samej broni. Szybkość, mała odległość i fakt, że Pontusa zastrzelono z przodu, sugerowały osobę, która nie uchyla się od działania. Nieco oporne wykonanie w przypadku morderstwa Rönndahla mogło wskazywać, że tutaj zabójcy coś przeszkodziło.

– Wiedziałaś, że jeszcze tu będziesz! – W drzwiach stała Tova.

– Do domu czy na miasto? – spytałam. Tova miała na sobie czarne ekstracjasne dzinsy, czarny T-shirt z Alice'em Cooperem, a wokół szyi wielką czarno-czerwoną arafatkę.

– Do domu, do domu. Podwieźć cię? Pada paskudny rozmokły śnieg.

– Nawet nie zauważyłam. Chętnie się zabiorę, wielkie dzięki.

– Jak idzie śledztwo? – zapytała Tova, gdy pakowałam swoje rzeczy.

Z rezygnacją potrząsnęłam głową.

– Jeśli mam być szczerą, szłoby pewnie całkiem dobrze, gdyby nie mój tak zwany zespół. Cały czas się rozpraszam. Obawiam się, że chyba kiepska ze mnie liderka.

– Poza tym nie dostałaś też raczej najlepszego zespołu na świecie, mówiąc wprost.

– Najdelikatniejsze stwierdzenie dnia – odrzekłam ponuro.

Wysiadłam z samochodu przed domem na Kungsbro Strand i podziękowałam Tovie. Podbiegłam, chowając się między filarami z krótszej strony budynku i z ręką wokół podniesionego kołnierza. Mieściły się tu dwa nieduże biura z wielkimi oknami wychodzącymi na kanał. Poczułam zazdrość. Jeśli kiedyś taki lokal by się zwolnił, chciałabym go wynająć. Uwielbiałam brązowe, surowe funkcjonalistyczne budynki w rejonie Kungsklippan. Stałam przez chwilę i patrzyłam na smolście czarną wodę kanału. Panowała zupełna cisza. Nawet odgłosy samochodów przejeżdżających po Klarabergsviadukten były stłumione. Wzdrygnęłam się, oderwałam wzrok od wody, pobiegłam za róg i przeszedłam przez bramę. Dziś wieczorem miał wpaść Rickard. Ustaliliśmy to przez esemesy. Przywiezie moje rzeczy do ceramiki, które zabrałam z domku. W poniedziałek i wtorek pracował do późna, więc nie mógł przyjechać, tak w każdym razie powiedział. Ciężyła mi niezgoda z osobą, z którą chciałam być jak najbliżej. Zastanawiałam się, czy jest już u mnie w domu, bo klucz miał od dawna. Miałam do niego milion pytań i naprawdę potrzebowałam jego pomocy, żeby się domyślić, co takiego właściwie kombinuje Lennart.

W windzie usiłowałam wygładzić mokre włosy i doprowadzić się do porządku. Pośliniłam palec i spróbowałam zetrzeć spod oczu zaschnięty tusz. W wieku trzydziestu trzech lat powinnam się już nauczyć, że w połowie dnia zawsze spływa, przez co wyglądam jak kot syjamski z obwódkami wokół oczu. Po raz kolejny obiecałam sobie samej, że wyrzucę tusz. Moje rzęsy były już przecież czarne, więc po co się upierałam? Westchnęłam i kiedy wjechałam na najwyższe piętro, pchnęłam ciężkie drzwi windy. Mieszkanie było otwarte, co musiało oznaczać, że Rickard już przyjechał.

– Rickard? – zawołałam, ściągając z siebie mokry płaszcz i rzucając go na podłogę w przedpokoju.

– Tutaj!

Zrobiłam krok w stronę salonu, ale zatrzymałam się, odwróciłam i zawiesiłam płaszcz na wieszaku obok jego olejaka. Wąski korytarz był całkowicie zawalony moimi narzędziami do ceramiki. Przeszłam nad nimi i znalazłam się w salonie. Siedzieli tu Emelie i Rickard. Emelie wyglądała na udręczoną i właśnie brała duży łyk czerwonego wina, którym poczęstował ją Rickard.

– Emelie zadzwoniła do drzwi i zapytała o ciebie zaraz po tym, jak wszedłem do środka, więc ją zaprosiłem – wyjaśnił.

Skinęłam głową.

– Miałam włamanie do biura – odezwała się Emelie.

– Co?! Co ukradli?

– Nic. Ale ten gnój sformatował wszystkie nasze dyski. A ja znalazłam to.

Podawała mi kartkę A4 złożoną pośrodku. Było na niej wydrukowane: „Serdeczne pozdrowienia, Case”. Popatrzyłam na Emelie.

– To jest przecież jakieś wariactwo. Powłączanie wszystkich komputerów musiało mu zająć kupę czasu. Jak zламаł wasze hasła?

– Nie zламаł. Użył degaussera, dużego elektromagnesu, który po prostu czyści twarde dyski albo przynajmniej niszczy je na tyle, że stają się niezdatne do użytku. Mam w szafce kopię zapasową, ale najpierw musimy załatwić nowe komputery. Miną tygodnie, zanim przywrócimy wszystko do poprzedniego stanu. Nie wspominając o tym, jakie to będzie drogie!

– Ubezpieczenie nie pokrywa czegoś takiego?

– Tak. W teorii. Ale firmy ubezpieczeniowe zawsze znajdują jakiś sposób, żeby wywinąć się ze swoich zobowiązań. „Taaak? Do zdarzenia doszło o pierwszej w nocy? Cóż, wtedy ubezpieczenie nie działa!” albo „Taaak? Jesteś Koziorożcem, więc nie, dla tego znaku zodiaku ochrona przed włamaniem nie obowiązuje...”.

– Dobrał się też do komputerów banku?

– Nie, zanim tutaj przyszedłam, byłam tam, żeby sprawdzić. Bałam się mówić cokolwiek w banku o włamaniu, bo nie wiedziałam, ile mogę zdradzić o tym seryjnym mordercy, a nie mogę iść przecież na policję, bo wtedy stracę bank jako klienta i złamię umowę, więc... – Jeszcze raz wzięła duży łyk wina.

– Już tak chwilę popija. – Rickard wlał do kieliszka wina i podał mi go z uśmiechem. – A wyjaśni mi ktoś coś? Może?

Zaśmiałam się z rezygnacją i spojrzałam na Emelie.

– Tak, na tyle, na ile same mamy jakieś pojęcie o tym, co się dzieje, to...

Wślizgnęłam się na sofę i usiadłam po turecku. Zastanowiłam się, od czego mam zacząć w tej płątanie. Emelie mnie uprzedziła.

– Może ja najpierw powiem. Odkryłam włamanie do systemu banku Lindstein. Ktoś wykrał milionowe kwoty. Dostał się tam przy użyciu własnego pełnoprawnego konta użytkownika. Włamanie znalazłam, sprawdzając komputera Pontusa Olssona. To on je odkrył i zagroził doniesieniem na policję tuż przed tym, jak został zamordowany.

– Ktoś strzelił mu w głowę i włożył mu do ust kartę tarota. Teoria jest taka, że zrobił to haker – dodałam.

– Kartę tarota? Nikt nic o tym nie mówił – powiedziała Emelie, spoglądając znad kieliszka.

– Nie, nawet bank o tym nie wie. To właściwie informacje poufne, których nie powinnam wyjawiać, ale...

– Myślę, że Emelie potrafi milczeć. Okej, a co potem? – zapytał Rickard, żeby sprowadzić nas z powrotem na właściwy tor.

– Cóż, potem... – Zamyśliłam się. – Pomogłam Emelie sporządzić profil Pontusa i Case'a, czyli hakera.

– Bank nie chce zgłaszać włamania na policję – wtrąciła Emelie.

Pokiwałam głową i dodałam:

– Później wezwał mnie Wydział Kryminalny, żebym włączyła się w śledztwo w sprawie domniemanego seryjnego mordercy. Pierwszą ofiarą okazał się technik Emelie. Drugą, która zginęła dokładnie w taki sam sposób, jest emerytowany prokurator. Dwie ofiary, które z pozoru nie mają ze sobą nic wspólnego.

– A potem ten idiota czyści wszystkie twarde dyski Infosecu. – Emelie odstawiła kieliszek z winem niebezpiecznie blisko krawędzi stolika i potarła oczy.

– Innymi słowy, wie, że jesteś na jego tropie. Jeśli to w ogóle możliwe, jest bardziej arogancki, niż z początku myślałam – rzekłam.

– Jeśli tak, to Emelie może wpaść w tarapaty, to znaczy jeśli naprawdę mamy do czynienia z hakerem, który jest seryjnym mordercą – powiedział Rickard z powątpiewaniem.

Potrząsnęłam głową.

– Ja też nigdy wcześniej nie natknęłam się na komputerowego nerda, który zmienia się w maszynę do mordowania, ale jest czarno na białym, że facet groził Pontusowi śmiercią, jeśli ten ujawni, co wie na temat włamania do banku. Dzień po otrzymaniu groźby Pontus zostaje zastrzelony. Rönndahla zamordowano z tej samej broni i tu też mamy kartę tarota. Innego wytłumaczenia nie ma.

– Emelie, musisz przekazać swoją część układanki policji – powiedział Rickard, który nadal nie wyglądał na całkowicie przekonanego.

Emelie się skrzywiła.

– Tak, wiem. Ale podpisałam umowę o poufności. Jeśli pójdę na policję, złamię ją i zostanę pozwana czy coś takiego.

– Chyba wiem, jak możemy to obejść. Możemy zacząć od zaproszenia mojego dobrego znajomego Andreasa na lampkę wina. Może przeprowadzić dochodzenie, o którym bank nie musi nic wiedzieć.

– Andreas z zespołu technicznego?

– Tak. – Rickard wyciągnął komórkę.

– Nie wiedziałam, że się znacie – powiedziałam trochę zdziwiona.

Rickard uśmiechnął się do mnie.

– Kopę lat. – Wybrał numer. – Cześć, z tej strony Rickard. Masz ochotę na szklanek obana? – Słuchał, kiwając głową. – Możesz raz-dwa wpaść do mieszkania Althei na Kungsbro Strand? Mam coś, co cię chyba zainteresuje. – Rickard rozłączył się i popatrzył na nas. – Będzie tu za piętnaście minut.

Poczułam ukłucie zazdrości. Dlaczego nie wiedziałam, że są znajomymi? Dlaczego o tym nie powiedział?

– Ale my... – odezwał się. Nie wiedziałam, jak mam spytać, czy chce, żebyśmy się kryli. Do tej pory utrzymaliśmy nasz związek w tajemnicy przed kolegami Rickarda.

Uśmiechnął się łobuzersko, niemal zawstydzony.

– On już wie. – Posłał mi krzywy uśmiech, którego nie potrafiłam rozgryźć. Boże! Wariuję od tych zgadywanek. Kiedy coś mówi, ja próbuję interpretować, kiedy nie mówi nic, ja próbuję interpretować. Poddaję się! Najprawdopodobniej Rickard przynajmniej nie był na mnie zły. Ale czy ja byłam wciąż zła na niego? Później się tym zajmę.

Poszliśmy we trójkę do kuchni, żeby sprawdzić, czy uda się wytrzasnąć coś jadalnego. Skończyło się na tym, że dostałam polecenie, by usiąść przy stole i pokroić ogórka, a pozostałych dwoje przyrządzało jedzenie wśród przyjacielskich pogaduszek. Rozległ się dzwonek do drzwi. Otworzyłam Andreasowi. Żeby mnie uściskać, zgiął się prawie w pół.

– Wow! Jaki ładny budda! Takiego wielkiego jeszcze nigdy nie widziałem. – Patrzył na duży posąg z brązu stojący na komodzie. – Zresztą niczego z tyłoma szufladami też wcześniej nie widziałem. – Przesunął dłonią pod dużej komodzie.

– To Budai, śmiejący się Buddha. Odziedzyczyłam go po babci. A to koreańska szafka lekarska. Każdy składnik osobno, stąd te wszystkie szuflady i oznaczenia.

– Piękna.

Rickard zawałał z kuchni na powitanie. Weszliśmy do niego i Emelie, która z pewną rezerwą wycierała dłonie ręcznikiem.

– Emelie, Andreas. Andreas, Emelie.

– Andreas jest technikiem kryminalnym IT w zespole technicznym. Między innymi – wyjaśnił Rickard Emelie. – Emelie jest specjalistką do spraw bezpieczeństwa IT i prowadzi własną firmę. Wasza dwójka powinna mieć i ma sporo do omówienia.

Wieczór się rozkręcił. Poszło pół butelki whisky. Kiedy Emelie i Andreas przystąpili do rzeczy, było tak, jakby odnalazły się dwie osoby z obcego kraju. Mówili w języku, którego ani ja, ani Rickard nie rozumieliśmy. Po chwili daliśmy sobie spokój i usiedliśmy na sofie, podczas gdy Andreas i Emelie zostali w kuchni.

– Opowiedz mi o spotkaniu z Lennartem – poprosił Rickard.

Zaśmiałam się krótko i pokręciłam głową.

– Cóż, właściwie nie wiem, co mam myśleć. Wezwali mnie do Lennarta, on był cholernie nieprzyjemny, ale zapowiedział, że tym razem dostanę własne biuro i zespół.

Rickard uniósł brwi.

– I dostałaś?

Znowu się zaśmiałam.

– Ależ tak, starszego pana, któremu został dosłownie tydzień do emerytury, oraz doktoranta na uniwersytecie. A do tego mały pokoik dwa piętra poniżej Kryminalnego. Od tamtej pory Lennart zniknął mi z oczu.

Rickard nie wyglądał na zadowolonego.

– Zastanawiam się, co on, do diabła, wyprawia.

– Ja też.

Wzięłam duży łyk wina, żeby nic nie mówić. Właściwie chciałam poprosić Rickarda o pomoc, ale nie miałam najmniejszego zamiaru się do tego przyznawać. Dam sobie z tym radę sama, byłam przecież dorosła i musiałam rozwiązywać swoje konflikty. Gdyby się jednak zaferował, może...

– Informuj mnie na bieżąco, to jutro trochę posłucham na korytarzach i zobaczę, czy mogę się czegoś dowiedzieć.

– Jasne.

Westchnęłam. Prawdę mówiąc miałam jeszcze poważniejszy problem niż Lennart. Swój zespół. Niezależnie od tego, jak dobrzy czy słabi są indywidualnie, muszę uczciwie podjąć próbę i być ich przełożoną. Zupełnie nie miałam doświadczenia w pełnieniu funkcji kierowniczych. Wielokrotnie byłam członkinią zespołu, lecz nigdy jego liderką. Mimo to miałam pomysł, skąd mogłabym uzyskać pomoc, ale musiało to poczekać do jutra.

– Sprawdźmy, jak idzie w kuchni Marsjanom? I przekonamy ich do mówienia przez chwilę po szwedzku?

– Spróbujmy przekupić ich tym. – Rickard chwycił butelkę whisky i poszedł za mną do kuchni.

Daniel van der See był zmęczony. Wczesnie rano przyjechał samochodem z Monako do Nicei. Samolot był oczywiście półtorej godziny spóźniony. Na miejscu w Sztokholmie przywitała go ta okropna pogoda. Jakby tego było mało, już po południu zapadły egipskie ciemności. Jak ludzie mogą żyć w tym kraju? Z drugiej strony Szwedzi co do jednego są przecież biali jak rybnie brzuchy. Przypuszczał, że to z braku światła, chociaż jego zdaniem wyglądało to raczej na objaw choroby. Uniósł szklankę z whisky i stuknął się nią bez entuzjazmu ze swoim bladym klientem, który siedział w fotelu naprzeciwko niego. Nalegał, że od razu przyjdzie do pokoju w hotelu. Nie mogli zamiast tego zjeść przyzwoitego obiadu w jakiejś fajnej knajpie? Ale cóż, klient nasz pan. Przede wszystkim, gdy chodziło o klienta, który pozwolił mu zarządzać blisko trzema milionami koron. Im szybciej skończą, tym szybciej będzie mógł wracać do domu. Uśmiechnął się i sięgnął po aktówkę stojącą obok nogi stołu. Kątem oka dostrzegł szybki ruch i z powrotem usiadł na krześle. W momencie, w którym zobaczył pistolet, kula zanurzyła się głęboko pośród szarych komórek jego mózgu i Daniel van der See wbił przed siebie puste spojrzenie. Mężczyzna w fotelu naprzeciwko opróżnił szklankę z whisky i włożył ją wraz z pistoletem do czarnej torby na ramię, po czym wstał i wyszedł.

Kiedy szłam wzdłuż kanału w stronę Stadshuset, od wody rozniósł się czysty zapach zimna i wilgoci. Była szósta rano, a ja esemesem zarezerwowałam rozmowę telefoniczną z Tomem z Modus Operandi, moim amerykańskim pracodawcą, dla którego nadal wykonywałam projekty jako freelancerka. Tak naprawdę to dla mnie zdecydowanie zbyt wcześnie, lecz w Nowym Jorku dochodziła północ i był to jedyny termin, który udało nam się znaleźć z tak krótkim wyprzedzeniem, aby pasował nam obojgu. A raczej najmniej nam nie pasował. Podłączyłam zestaw słuchawkowy do telefonu. Podczas rozmowy wolałam się przechadzać niż siedzieć. A pozostanie w domu wydawało mi się dzisiaj jeszcze bardziej nie do pomyślenia. Gdy wychodziłam, Rickard jadł śniadanie. Kiedy on tego słuchał, z Tomem rozmawiało mi się bardzo trudno.

Zanim przeprowadziłam się do Szwecji, flirtowaliśmy ze sobą przez dłuższy czas i spędziliśmy niezwykle upojną noc na sofie dla gości w jego gabinecie. Nigdy tego do końca nie przegadaliśmy. Nie miałam pewności, czy kiedykolwiek interesował się mną na poważnie, czy tylko szukał łatwej fizycznej relacji na boku. Fakt, że był żonaty, wszystko komplikował, delikatnie mówiąc. Przez to, że nie znałam jego zamiarów, nie do końca wiedziałam, co o nim sądzić. Bezgranicznie go podziwiałam. Był najbystrzejszym analitykiem i znawcą ludzi, z którym miałam do czynienia. A na dodatek chyba najprzystojniejszym profilerem na Zachodzie. Nie chciałam nawiązywać relacji z żonatym mężczyzną, lecz tamtej nocy nie potrafiłam mu się oprzeć. Och tak, skomplikowane to było, i o tym też nie powiedziałam Rickardowi. Westchnęłam i wybrałam numer. Tom odebrał po pierwszym sygnale.

– Mam problem. Zatrudnili mnie w szwedzkiej policji i dali własny zespół. Jak, do wszystkich diabłów, zarządzają się członkami?

– Zawsze lepiej ci wychodziło z mordercami niż ze zwykłymi ludźmi! – stwierdził wesoło Tom.

– Żebyś wiedział! Chociaż nikt chyba nie nazwałby tych dwóch facetów zwykłymi ludźmi – odparłam nie bez odrobiny goryczy. Włożyłam kaptur płaszcz. Kiedy szłam chodnikiem wzdłuż torów kolejowych przez most na Riddarholmen, powiał lodowaty wiatr.

– No dobra. – Słyszałam, jak się zastanawia. – Od czego by tu zacząć? Opowiadaj zawsze o swoich koncepcjach, grupa nie może czuć, że prawdziwe śledztwo przebiega w twojej głowie. Zawsze dotrzymuj słowa. Podzielcie się i niech każdy jak najwięcej zajmuje się swoją częścią, żeby oszczędzać czas. Zawsze wymagaj ustnych raportów, dopiero potem pisemnych, bo zabierają za dużo czasu. Nie bój się kierować i decydować, ale nie uważaj, że twoja analiza mordercy ma być z tego powodu traktowana priorytetowo w stosunku do innych.

Kiedy mówił, kiwałam do siebie głową. Próbowałam wszystko zapamiętać. Zanim skończył, zdążyłam dojść do małej kafejki przy Kornhamnstorg na Gamla Stan, czyli Starym Mieście.

– No to tak, nic innego nie przychodzi mi do głowy. Myślisz, że coś ci się z tego przyda?

– Jasne! Dałeś mi dużo do przemyślenia.

– Opowiedz mi o śledztwie.

Tom miał taką samą obsesję na punkcie pracy jak ja, o ile to w ogóle możliwe. Nie zapytał z grzeczności, ale dlatego że był autentycznie zainteresowany.

– Poczekaj sekundę.

Weszłam do starej, niewyszukanej kawiarni, gdzie zamówiłam latte i kanapkę. To jedno z moich ulubionych miejsc na Gamla Stan. Całkowicie pozbawione spójnego stylu czy założeń nowoczesnego designu. Wybrałam stolik przy oknie z zamierzeniem, żeby żaden z pozostałych gości nie mógł słyszeć naszej rozmowy.

– Jestem z powrotem. Na razie wiem bardzo mało. W odstępnie zaledwie tygodnia zastrzelono dwie osoby. Obie miały wsadzoną do ust kartę tarota. Nie mamy DNA ani innych rzeczowych dowodów, że to ta sama osoba, ale to zakładamy.

– Kartę tarota? Moim zdaniem brzmi to trochę zbyt przewidywalnie. Misjonarz bez wyobraźni?

– Nie, motywowany zyskiem zbrodniarz z zamiłowaniem do teatralnych gestów – odpowiedziałam ponuro. – Nazywa sam siebie „Case”, tak jak główny bohater w *Neuromancerze*. Haker.

– Okej... Wiem, co masz na myśli. W przypadku tego typu będziesz się pewnie trzymać się z daleka od standardowych klasyfikacji. W jaki sposób ich zastrzelili? Z przodu? Od tyłu?

– To następna rzecz, która mnie niepokoi. Metoda nie odznacza się konsekwencją. Pierwszy strzał, w skroń, wymierzono z przodu i z małej odległości, bez jakichś ceregieli czy wahania. Charakter egzekucji i ktoś, kto zabijania wcale nie łączy z dyskomfortem. Motywacją wydaje się raczej władza. Do ofiary numer dwa strzelono dwa razy z odległości mniej więcej półtora metra. Pierwszy strzał chybił, a drugi trafił w klatkę piersiową.

– Musisz mieć do czynienia z osobą, która albo cierpi na zaburzenia osobowości, albo po prostu korzysta z nadarzającej się okazji, i która nie potrafi działać metodycznie. Albo taką, która błądzi i czuje coraz większą niechęć wobec swoich działań. Bardzo interesujące.

– Tak, według mnie w drugim przypadku coś się musiało wydarzyć. Coś, co wpłynęło na jego zachowanie. Za nic mogę z tym dojść do ładu.

– Jeśli nie będzie to dla ciebie za duży kłopot, informuj mnie na bieżąco. Ciekawie byłoby dołączyć tę sprawę do naszych materiałów badawczych. – Modus zaczął niedawno współpracować z FBI nad nowym projektem, który leżał Tomowi na sercu. Przede wszystkim chciał, żeby Modus, jako niezależna organizacja pozarządowa, pokazał, na co go stać, i nawiązał z FBI dobre kontakty. Brakowało porządnie udokumentowanych przypadków seryjnych morderców z innych państw niż USA i Wielka Brytania, więc stanowiły cenny materiał do poszerzania bazy statystycznej.

– Chętnie. Nie mam nic przeciwko. Tylko poproszę o zgodę w Kryminalnym, ale nie powinno być problemu.

Oznaczało to też dla mnie kilka dobrze płatnych godzin przepracowanych jako freelancerka, gdybym mogła dodatkowo zająć się analizą sprawy dla Modusa i FBI w razie schwytania sprawcy. A to przynajmniej praca, którą mogłabym wykonać głównie na miejscu, w Szwecji. Czyjaś śmierć to moja pensja. Nie chciałam myśleć w ten sposób. A kiedy już tak myślałam, nie potrafiłam zdecydować, czy to straszne, czy nie. Nie, nic w tym strasznego. Morderstwo i tak miało miejsce, a ja byłam dobra w tym, co robię. Miałam wpływ. Pomagałam policji wyrobić sobie obrażenie mordercy, ale także przy przesłuchaniach, zarówno po to, by wyciągnąć z kogoś prawdę, jak i zadbać, by policja nie traktowała podejrzanych ani świadków według własnego widzimisię. Samo profilowanie nie gwarantowało chwymania morderców, ale stanowiło narzędzie, które mogło przyspieszyć ten proces i poprawić jego dokładność.

– A tak przy okazji, słyszałem o propozycji z Departamentu Policji Nowego Jorku. Gratulacje! Chyba zamierzasz ją przyjąć?

– Dziękuję – odparłam zaskoczona. Nie wiedziałam, że o tym słyszał. – No tak, cóż, zobaczymy, jeszcze nie zdecydowałam.

– Taka praca to życiowa szansa, to oczywiste, że powinnaś ją wykorzystać. Byłabyś jedyną zatrudnioną profilerką w Departamencie i nawet jeśli to tylko projekt pilotażowy, jestem pewny, że to stanowisko się utrzyma. Poza tym byłoby super z powrotem mieć cię tutaj, w centrum wydarzeń.

– Tak. To prawda. Obiecuję, że będę cię informować.

Podziękowałam Tomowi i skończyłam rozmowę, zanim wdałby się w moje życie prywatne. Nie powiedziałam mu o Rickardzie, chociaż od czasu do czasu badał grunt, a ja sugerowałam, że jestem w związku. Po prostu nie chciałam tego poruszać, bo szczerze mówiąc, nie sądziłam, że Tom ma z tym coś wspólnego.

W zamyśleniu popijałam kawę. Siedziałam długo i spoglądałam na plac, zastanawiając się nad tym, co powiedział Tom na temat kierowania grupą. Zapisałam punkty w czerwonym notatniku. Miałam nadzieję, że potrafię być dobrą liderką. W każdym razie nie mogłam się doczekać, aż spróbuję. To było naprawdę konieczne. Spojrzałam w kalendarz. Dzisiaj czwartek. Pontusa zamordowano w piątek prawie dwa tygodnie temu, a Rönndahla w kolejny czwartek. Co się wydarzy w tym tygodniu? Miałam nadzieję, że nic, ale nie byłam tego taka pewna. Zadzwoniłam do Inger, swojej terapeutki, żeby odwołać sesję, na którą się z nią umówiłam następnego dnia. Doszłam do wniosku, że teraz nie mam możliwości, by się z tym wyrobić. Niestety.

Inger naprawdę zmieniała moje życie. Koncentrowała się na teraźniejszości. Nie na problemach z dzieciństwa, na czym większość psychologów, z którymi się zetknęłam, skupiała się już na granicy śmieszności. Zanim ją spotkałam, postanowiłam w zasadzie skończyć z chodzeniem na terapię. Uważałam, że ich jedynym celem było rozdrapywanie na okrągło starych ran. Wciąż pamiętałam ostatnią przed napadem wizytę u terapeuty w Stanach. Ten nazywał się Bill Andersen i najbardziej przypominał podstarzałego trenera tenisa. Siedziałam u niego w fotelu dla pacjenta i przesuwając palcami tam i z powrotem po zmechaconym materiale z grubej przędzy, który na krawędzi niemal zniknął. Nie tylko ja zajmowałam to miejsce, nie czując się do końca komfortowo. Bill siedział odchyłony w sąsiednim fotelu.

– Poprzednim razem na zakończenie poprosiłem cię, abys się zastanowiła, czy rodzice ponoszą jakąś winę za twoje natręctwa. Udało ci się nad tym pomyśleć? – Wziął łyk herbaty i spojrzął na mnie znad krawędzi filiżanki.

„Czy udało mi się pomyśleć?!” Cóż, jakiś miliard razy. Wzięłam głęboki oddech i odchyliłam się na oparcie. Od marudzenia nie wychodziłam stamtąd szybciej.

– Ponieważ, podobnie jak większość naukowców, jestem zdania, że zaburzenia obsesyjno-kompulsywne powoduje głównie fizyczna nieprawidłowość w wychwycie zwrotnym serotoniny w mózgu, ani nie sądzę, ani nie czuję, że to wina moich rodziców. Uważam jednak, że pogorszyli sytuację i przez to w pewien sposób ponoszą za to odpowiedzialność. – Napiłam się przyniesionej ze Starbucksa kawy, bo ta z ośrodka smakowała jak letnia woda po myciu naczyń.

– W jaki sposób? – zapytał.

– Moja mama to najcieplejsza, najmiłsza osoba na świecie. Ale jest przede wszystkim artystką. Myśli w inny sposób. Dostrzega rzeczy, których inni nie widzą, i nie zwraca uwagi na oczywistości. – Uśmiechnęłam się i wolno pokręciłam głową. – Kiedy miałam jedenaście lat i moje objawy uwidoczniły się już na poważnie, moje dziwaczne zachowanie uznawała jako oznakę wyjątkowości, a nie czegoś niewłaściwego. Każdego dnia poświęcałam przynajmniej trzy godziny na inwentaryzowanie swojego pokoju. Robiłam listę wszystkich przedmiotów. Codziennie nową. W trakcie musiałam dotknąć każdej ujętej tam rzeczy i ustawić ją w odpowiedniej kolejności na odpowiedniej półce. Byłam absolutnie przekonana, że jeśli tego wszystkiego nie zrobię, mama i tata umrą. Zabiję ich. Każda sekunda, którą spędzałam w tamtym pomieszczeniu, była udręką. Czulałam się głupia, zidiociała, winna, nienormalna. Wszystko naraz. Mama widziała to wszystko, ale nie ból i strach, tylko objawy. W zamian dostawałam nowe zabawki! To się chyba musiało kwalifikować jako przemoc nad dzieckiem! – Zaśmiałam się sucho i potarłam oczy. Nie chciałam o tym mówić, tylko mnie to zasmucało.

– A kiedy zajęli się twoją chorobą?

– Kiedy pewnego dnia wróciłam do domu, mama i babcia rozmawiały przy kuchennym stole. Babcia zadawała miliony pytań o mnie, o moje objawy, czy otrzymałam pomoc. Mama nie rozumiała, dlaczego miałabym potrzebować psychologa. Babcia wpadła w gniew. „Dosyć tego”, oświadczyła i zabrała mnie do siebie. Przegadałyśmy całą noc. Wyjaśniła mi, czym są zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Nie słyszałam wcześniej tego określenia. Szczegółowo opisała objawy, jakby dosłownie zaglądała do mojej głowy. Jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwa i tak zdezorientowana jak w tamtej chwili. Babcia wytłumaczyła mi, że najgorzej jest zawsze we własnym pokoju danej osoby, więc na początku nie będę miała swojego miejsca ani żadnych własnych rzeczy. Zajęłam sofę w salonie. Dostałam pomoc psychologa i lekarstwa. Minęły trzy lata, zanim objawy praktycznie zniknęły. Choroba wciąż mi towarzyszy. I towarzyszy mi wciąż to, co zrobiła babcia. – Łzy zaczęły płynąć mi po policzkach. – Uratowała mnie. – Otarłam policzki wierzchem dłoni. – Zawsze będzie mi jej brakować.

– Kiedy zmarła?

– Dwa lata temu.

– Jak to przeżyłaś? Wróciły jakieś objawy nerwicy natręctw?

Oparłam głowę na dłoniach, potarłam oczy i pokręciłam głową.

– Żadne objawy natręctw, tylko smutek, czarny jak noc smutek. Pracowałam, ile tylko mogłam, a wieczorami dodatkowo się uczyłam. Każdy weekend spędzałam u mamy i taty we Flushing. Przy grobie.

Łzy nie chciały przestać płynąć.

– Powiedziałaś, że babcia uratowała cię przed symptomami nerwicy natręctw. Jak się z tym czujesz, kiedy już jej nie ma?

– Okropnie. Co się stanie, gdy z powrotem dostanę silnych objawów? Czy będę umiała uratować się tym razem sama? Nie ma dnia, żebym się nie zastanawiała, co mogłoby spowodować nawrót, jeśli to w ogóle możliwe, o ile biorę lekarstwa.

– Nikt tego nie wie, ani ty, ani źródła naukowe.

– Tak, rozumiem. – Skinęłam głową i spojrzałam dyskretnie na zegarek. Jednak nie na tyle, by terapeuta tego nie zauważył. Westchnął.

– W porządku, myślę, że to na dzisiaj tyle. – Wstał, podszedł do biurka, zapisał parę linijek i podał mi kartkę. Moją receptę.

Podniosłam się i ją wzięłam. Nie puszczał.

– Więc do zobaczenia za trzy miesiące. – Patrzył na mnie wyczekująco. W odpowiedzi uśmiechnęłam się ze skrucją.

– Tak. Za trzy miesiące.

Cieszyłam się wprost niewymownie, że teraz nie muszę brnąć przez godziny takiej terapii. Pozbierałam swoje rzeczy i wyszłam z kawiarni. Czas ruszyć dalej w sprawie śledztwa.

Pojechałam metrem do Kryminalnego z głową pełną kłębiących się myśli. Tom wlał we mnie trochę odwagi potrzebnej do kierowania zespołem. Kiedy weszłam, Gösta i Mattias byli już na miejscu i pracowali w skupieniu przy swoich komputerach.

Poprzedniego wieczoru ustaliliśmy wraz z Emelie, Rickardem i Andreasem, że poinformuję swój zespół o niej i powiązaniu z bankiem oraz że Emelie przyniesie swoje dyski zapasowe do Andreeasa, żeby przywrócić je w komendzie. Zasięgnęła porady dobrego adwokata, który stwierdził, że bank nie może jej pozwać, a poza tym postanowiła, że lepiej być małą firmą z dobrymi klientami niż dużym przedsiębiorstwem z wątpliwą reputacją. Następnie, gdy tylko uda się im odzyskać dowody w jakiejś formie, spróbujemy wspólnie skontaktować się z Lennartem i poinformować także jego. Z powodzeniem unikał mnie przez cały tydzień.

– Mam dla was pewne wiadomości – oznajmiłam, zdejmując szalik i czapkę z daszkiem.

Obaj podeszli i usiedli przy stole.

– Moja najlepsza przyjaciółka jest specjalistką do spraw bezpieczeństwa w banku Lindstein. Pracowała z Pontusem, zanim został zamordowany. Obecnie w największej tajemnicy współpracuje z Andreasem z zespołu technicznego. Nie rozumiem z tego nawet połowy, ale w skrócie chodzi o to, że do systemu bankowego włamał się haker. Odkryliśmy rozmowę między nim a Pontusem, w której groził mu śmiercią. A teraz ktoś dostał się do biura mojej przyjaciółki i sformatował wszystkie twarde dyski.

– Naprawdę? Haker to przecież nie do końca typowy kandydat na mordercę – zwrócił uwagę Mattias.

– Nie, wiem. Też mi to nie daje spokoju, ale mamy czarno na białym, że haker, który podpisuje się jako „Case”, rzeczywiście groził Pontusowi śmiercią w dniu poprzedzającym morderstwo.

Mattias siedział z założonymi rękami i myślał tak intensywnie, że prawie było słychać.

– To oznacza... że musimy szukać motywu zabójstwa Rönndahla nie tylko w powiązaniu z mordercą, ale także w ewentualnym powiązaniu z bankiem. Że nie powinniśmy profilować ich jako ofiar seryjnego mordercy i szukać społecznych czy fizycznych podobieństw, ale zamiast tego przyjrzeć się, co łączy ich z bankiem i jakie mieli informacje. – Wyprostował się na krześle i spojrzał na mnie. – Ciekawe! To nie jest seryjny morderca. Zabójców kierujących się zyskiem nie klasyfikuje się jako tradycyjnych seryjnych morderców właśnie dlatego, że ich wybór ofiar i motywy tak drastycznie różnią się od innych kategorii seryjnych morderców. – Mattias naprawdę się rozkręcił. Jego rozumowanie zrobiło na mnie wrażenie.

– Pełna zgoda. – Chociaż chyba powiedziałabym to w krótszych słowach i w zasadzie już to przecież wiedzieliśmy. Wstałam i zaczęłam rysować na tablicy. Jeden okrąg dla każdej ofiary i w środku ich imiona. Jeden okrąg dla banku i kreska między nim a okręgiem Pontusa.

– Chciałabym, żebyśmy się pobawili w sześć stopni oddalenia. Istnieje teoria, która mówi, że między tobą a jakimkolwiek człowiekiem na ziemi nigdy nie ma więcej niż sześć osób. Znasz kogoś, kto zna kogoś, kto zna amerykańskiego prezydenta albo tajskiego chłopca. Coś takiego. Znajdźmy wszystkie możliwe powiązania między ofiarami, bankiem i hakerem. Gdzieś pomiędzy tymi związkami najdziemy motyw mordercy.

– Jak to zrobić? – spytał Gösta.

– Pogrzebce we wszystkich bazach, jakie tylko przychodzą wam do głowy. Sprawdźcie, kto zna kogo na Facebooku, a mamy dostęp do konta Pontusa Olssona. To może nas daleko zaprowadzić. Sprawdźcie, czy nie chodzili do jednej szkoły albo nie mieszkali w tym samym miejscu. W zabójstwie tej dwójki sprawca miał jakiś interes. Pontusa zamordowano, żeby nie ujawnił włamania, ale Rönndahl? Dlaczego zastrzelono jego?

– Pontus – rozumiem, ale skąd masz pewność, że Rönndahla nie zabito przez przypadek?

– Karta tarota. Sprawiedliwość. Osoba, która zamordowała Rönndahla, wiedziała, że był prokuratorem. Wybrała go świadomie, z jakiegoś powodu.

– Czy to naprawdę profilowanie? – spytał Gösta z powątpiewaniem.

– Profilowanie w najwyższym stopniu. Poprzez ofiarę poznajemy mordercę. A nie wybierał swoich ofiar na chybił trafił. Ma powód.

– Ale on przecież nie jest seryjnym mordercą? – Gösta popatrzył pytająco.

– Profilowanie nie ma się sprawdzać w przypadku jakiegoś konkretnego typu mordercy. To narzędzie, które działa w odniesieniu do wszystkich kategorii przestępstw: od samego zabójstwa po podpalenia żywcem i wymuszenia, ataki bombowe i porwania, nawet jeśli stosuje się je najczęściej do seryjnych morderców, w przypadku których mamy dużo materiałów.

– W porządku. Jednak zdobycie tych wszystkich informacji zajmie całe wieki – stwierdził Gösta, kręcąc głową.

– Wiem, zaraz znajdę Lennarta i spytam, czy możemy dostać jakieś wsparcie. Nie ma czasu. Nie sądzę, że Case zabił swoją ostatnią ofiarę.

Próbowaliśmy ocenić, jakiej pomocy potrzebujemy i jakie bazy danych będziemy traktować priorytetowo, a następnie wybrałam się na poszukiwania Lennarta. Nie zdążyłam nawet wyjść na korytarz, gdy zadzwoniła moja komórka. To była Tova. Mówiła cicho i z wysiłkiem.

– Althea, doszło do kolejnego zabójstwa. Lennart uznał, że nie musisz się dowiedzieć od razu, ale ja tak.

– Doszło do kolejnego zabójstwa? Gdzie jesteście?

– Na Gamla Stan, w hotelu General.

– Dobra. Jak tylko wpadnę na jakiś sposób, jak się tam dostać bez zdradzania, że dałaś mi cynk, ruszam.

– Dzięki – odparła Tova i się rozłączyła.

– Kolejne zabójstwo? – spytał Gösta, który słyszał rozmowę.

– Tak. Najwidoczniej jednak Lennart nie uznał za konieczne, by nas poinformować – odrzekłam chłodno.

– No tak, nic dziwnego. Zespołu profilowania sprawców nigdy nie włącza się w prace na miejscu zbrodni.

– Ja nie jestem zespołem profilowania sprawców. – Postukałam palcem wskazującym w stół.

– Tak, tak, wiem. – Gösta się uśmiechnął. Złośliwie? Sarkastycznie? Zachęcająco? Nie miałam pojęcia. Przyglądałam mu się w zamyśleniu. Mogłabym poprosić go o pomoc? Nie wiedziałam, po której stronie stoi, ale musiałam zaryzykować.

– Znasz jakiś sposób, żebyśmy dostali się na miejsce zbrodni, ale bez wyjawiania, że Tova dała nam znać? Nie chcę, żeby wpadła w tarapaty.

– Jasne, że znam. Zawsze mogę zajrzeć do centrum dowodzenia i spytać, czy ktoś nie chciałby reszty biskoptu z porannej kawy. I przy okazji zasięgnąć języka, czy wydarzyło się dziś coś ciekawego. Czekaj. – Uśmiechnął się krzywo, wstał i wyszedł.

Biskopt! Jakie banalnie proste! Bez słowa popatrzyliśmy na siebie z Mattiasem w oczekiwaniu na powodzenie lub niepowodzenie biskoptowego planu. Po dziesięciu długich minutach Gösta wsadził głowę w drzwi.

– Chodźcie. Podwiozą nas radiowozem, który i tak tam jedzie.

Odetchnęłam z ulgą.

– Dziękuję – powiedziałam.

Gösta skinął głową, nie zmieniając wyrazu twarzy. Zwartą grupą ruszyliśmy do garażu. W samochodzie zadzwoniłam do Kateriny i poprosiłam, żeby nie zaczynała sekcji zwłok beze mnie.

– Doszło do kolejnego zabójstwa. Dostałaś już ciało?

– Nie, ale dzwonili, żeby mnie uprzedzić. Przywiozą go jakoś po lunchu. Jesteś na miejscu?

– Nie, jeszcze nie. Lennart mnie nie poprosił, ale i tak tam jadę.

– Ach tak, rozumiem – odpowiedziała Katerina, która również nie należała do świty Lennarta.

– Bądź tak dobra i nie zaczynaj sekcji zwłok beze mnie. Chciałabym przy tym być. Zadzwonię do ciebie, jak się czegoś dowiem – zapowiedziałam z mocnym postanowieniem, wyglądając przez okno samochodu.

– Pewnie. Jeśli nie zdązysz, mogę ci szybko opowiedzieć przy winie dziś wieczorem, o ile nie zepsuje to nastroju. Jak myślisz?

– Nie, nie. W żadnym wypadku. Doskonale. Emelie będzie musiała po prostu na chwilę zatkać uszy.

– Dobrze, to do zobaczenia wtedy albo nawet wcześniej.

Widziałam, że Gösta i Mattias, słysząc dialog, zerkają na mnie z ciekawością. Przypuszczałam, że sekcje zwłok to kolejna rzecz, której szwedzkie zespoły profilowania sprawców nie robiły.

Po chwili targowania się z policjantami, którzy strzegli ogrodzonego terenu, pozwolono nam schylić się pod taśmą i wejść do środka. Przeszliśmy przez recepcję z jasną marmurową podłogą i kontuarem z ciemnego drewna. Policjant w mundurze rozmawiał ze starszym recepcjonistą. Ciekawski gość hotelowy siedział naprzeciwko na sofie i udawał, że czyta gazetę, podczas gdy jego uszy były wielkie jak spodki. Rozległ się dzwonek windy i weszliśmy do jej wnętrza.

trza także wyłożonego ciemnymi panelami. We trójkę ledwo się zmieściliśmy. Wysiedliśmy na trzecim piętrze i znaleźliśmy się na długim korytarzu o marmurowej podłodze i grubym czerwonym dywanie, który pokrywał niemal całą jej szerokość. Wcześniej wysłałam Tovie esemesa, że jesteśmy w drodze. Drzwi po lewej stronie były otwarte. W środku siedzieli ona oraz starsi państwo o siwych włosach i przerażonych minach. Zerknęła na nas ostrożnie i krótko skinęła. Stanęliśmy przed pokojem numer pięćdziesiąt cztery. Tam w środku znajdowała się ofiara. Tam popełniono zbrodnię. Zapukałam delikatnie do drzwi. Andreas wystawił głowę.

– Cześć, Althea! Dobrze, że tu jesteś. Za pięć minut pokój jest twój, bo jeszcze nie skończyliśmy oględzin. W całym pomieszczeniu jest mnóstwo odcisków palców. Nienawidzę hotelowych pokoi.

– Współczuję! Poczekamy.

Odwróciłam się do swoich dwóch towarzyszy.

– A podczas czekania zrobimy sobie małą rekonstrukcję. Mattias, potrafisz wizualizować?

Chłopak zmienił się w znak zapytania.

– Gdybyś był mordercą, jak byś rozumował, co byś robił, czuł i tak dalej?

– Okej! Czytałem o tej metodzie! Jest popularna wśród...

– Właśnie. Gdzie właściwie jesteśmy? Zaczynaj tutaj. Jak byś się tu dostał?

Mattias, ożywiony pomysłem przetestowania metody, o której tylko czytał, wykrzywił twarz w złośliwym grymasie. Ledwo powstrzymałam się od śmiechu, tak głupio wyglądał.

– Jestem w hotelu na Gamla Stan położonym na przecznicy odchodzącej od największego turystycznego deptaku. Prawdopodobnie przyszedłem tutaj z metra lub podobnego środka transportu, bo nie da się tu dojechać samochodem.

– Da się, ale samochód ktoś by zauważył – odezwał się Gösta. On też dla odmiany uśmiechał się z rozbawieniem. Mattias rzucił mu takie spojrzenie, jakby ten zepsuł popis wielkiego aktorstwa.

– Ja... O której godzinie miało miejsce zabójstwo? Mogłem wejść tak, żeby nikt mnie nie zauważył?

– Dobrze myślisz – pochwaliłam. – Zanim przejdziemy dalej, musimy mieć więcej danych. Poczekajmy, może znajdziemy kogoś, kto ma dla nas więcej informacji.

Gösta i ja rozejrzeliśmy się po wąskim korytarzu w poszukiwaniu jakiejś osoby, która mogłaby nam pomóc. Kawałek dalej stała grupka policjantów, więc ruszyłam w ich stronę, lecz zatrzymałam się, gdy Lennart wyszedł z pokoju. Spotkaliśmy się wzrokiem. Nie wiem, które z nas zdołało przybrać bardziej kamienny i nieporuszony wygląd. Chyba on.

– Proszę, proszę, nasza panna Marple przysłała z wizytą! A ściślej mówiąc, z wizytą badawczą.

– Cześć, Lennart! – Taka była niestety najmądrzejsza odpowiedź, na jaką wpadłam. Nie jestem zbyt dobra w te klocki.

– Jeśli chcecie wejść i pogapić się na tę masakra, to proszę bardzo. – Machnął ręką w stronę pokoju. – Ale nie zabierałbym ze sobą Mattiasa. Słyszałam, że krew niezbyt dobrze na niego działa. – Lennart odszedł korytarzem, śmiejąc się złośliwie pod nosem. Bydlę.

Policjanci, których mijał, też się zaśmiali. Szybkim krokiem weszłam do pokoju, zanim Lennart zdążył się rozmyślić. To było po prostu komiczne. W takich okolicznościach nie da się pracować. Żeby błagać o możliwość zobaczenia miejsca zbrodni? Żeby cię ktoś wyśmiewał? Zastanowiłam się, dlaczego się właściwie na to narażam. A potem zobaczyłam pokój i wszystkie inne myśli mnie opuściły.

Był stosunkowo niewielki i ładnie urządzonej w klasycznym angielskim stylu. Duże łóżko ze szmaragdowozieloną pikowaną narzutą z bawełny. Grube zasłony z motywami myśliwskimi sięgające do ziemi. Po prawej stronie znajdowały się uchylone drzwi do łazienki wyłożonej białym marmurem. Wysoki stos białych frotowych ręczników był niektnięty. Po przeciwnej stronie, przy okrągłym stoliku z ciemnego drewna, z białym obitym zieloną skórą, znajdowały się dwa brązowe, głębokie skórzane fotele. W stojącym po lewej spoczywało skulone ciało mężczyzny. Patrzył prosto przed siebie pustym, zdziwionym, błagalnym spojrzeniem. Broda opadła. Strużka krwi z rany w jego czole ściekała na biały wykrochmalony kołnierzyk koszuli. Na języku leżał złożony kartonik. Karta tarota, jak się domyślałam. Podszłam i spojrzałam, niczego nie dotykając. Przystawiała Śmierć. Kucnęłam kawałek od fotela. Przyglądałam się martwemu mężczyźnie znajdującemu się naprzeciwko mnie. Dla niego to robiłam. Dla niego, który nie mógł się bronić, nie mógł złożyć zeznania. Dla niego wszyscy tu byliśmy. Wstałam i odwróciłam się do Gösty i Mattiasa.

– Proszę, dowiedźcie się jak najwięcej, miejcie oczy szeroko otwarte i wszystkiemu się przyglądajcie – poprosiłam ścisłym głosem. Zobaczyłam, że Mattias jest blady jak ściana, i domyśliłam się, że to pewnie jego pierwsze miejsce zbrodni. Ten pierwszy raz wszyscy muszą mieć za sobą. Nie można przez całe życie studiować kryminologii i przestępczości, nie będąc gotowym do narażenia się na smutną, wstrętną i śmierdzącą rzeczywistość. Patrzyłam na

niego jeszcze krótką chwilę. Zdawało się, że przyjmuje to wszystko z opanowaniem, nawet jeśli lekko się chwieje. Podeszłam do Andreasa. Właśnie się pakował.

– Znaleźliście coś ciekawego?

– Odciski palców wszędzie, tylko akurat nie tutaj. Stół i fotele ktoś wytarł, ale znaleźliśmy przynajmniej włos w tym stojącym naprzeciwko. Mógł należeć do któregoś z gości, ale jak się nam poszczęści...

Skinęłam głowę.

– Znaleźliśmy też wilgotny ślad po drugiej szklance whisky. Musiał tu siedzieć jakiś czas i pić z ofiarą, a kiedy wychodził, zabrał swoje szkło.

Ten morderca zaczynał się robić naprawdę nieprzyjemny. To, co powiedział Andreas, nie podobało mi się ani trochę. Sprawca był z powrotem w stanie obojętności i chłodu. W którym mordował bez najmniejszego wahania.

– Ta sama broń?

– Tak sądzę. W każdym razie ten sam kaliber. Katerina będzie mogła dowiedzieć się czegoś więcej o ofierze.

Podeszli do nas Gösta i Mattias.

– Ofiara miała czterdzieści osiem lat. Nazywał się Daniel van der See.

Robiło się coraz gorzej. Coraz mniej dni między zabójstwami. Miałam wrażenie, że nadal brakuje mi w tym śledztwie rozeznania. Jak tylko czułam, że trochę się rozjaśnia, coś mi przerywało, przeszkadzało i utrudniało. Nie potrafiłam jasno myśleć i nie mogłam być sobą, gdy mój tak zwany zespół był wciąż obok mnie. To prowadziło donikąd. Musiałam coś zrobić. Serce mocno mi waliło, a wokół klatki piersiowej zaciskała się żelazna obręcz. Potrzebowałam świeżego powietrza.

– Przepraszam na chwilę, muszę zadzwonić – poinformowałam Andreasa, Göstę i Mattiasa. Słaba wymówka, ale musiała wystarczyć. Wymknęłam się ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Kiedy zjeżdżałam windą, drżały mi dłonie.

Na ulicy wzięłam głęboki, nierówny oddech. Próbowałam się rozluźnić. Zaczęłam przechadzać się w tę i w tą po śliskiej ulicy wyłożonej kocimi łbami, która wiła się pośród budynków. Spróbowałam myśleć klarownie i metodycznie. Przede wszystkim doszłam do wniosku, że nie muszę widzieć sekcji zwłok, i wysłałam esemesa do Kateriny. To zabójstwo było tak ewidentne, że nie muszę tam stać i się gapić. Na nic się to nie przyda. Został zastrzelony bez najmniejszych wątpliwości. Tak po prostu. Lekkie naciśnięcie spustu palcem i całego życia już nie ma. Potarłam się po twarzy. Co ja mam robić? Oczy wypełniły mi się łzami. Otarłam je z wściekłością. Dlaczego nigdzie nie dotarłam? Dlaczego nie mogę się skupić? Gdzie mam zacząć grzebać? Przez chwilę dreptałam tam i z powrotem, żeby się uspokoić. Cały czas delikatnie przesuwałam opuszkami palców po chropowatej otynkowanej elewacji, w tę i w tą. Jedna rzecz naraz, jeden krok naraz. Co teraz stanowiło największą przeszkodę? Lennart – jego mogłam zignorować.

Zbył mało informacji – to było trudniejsze. Za mało czasu i organizacji – to była moja wina i mogłam to naprawić. Mój zespół – jak Flip i Flap. Co mam z nimi zrobić? Cholera. Lista mogła wydłużać się w nieskończoność. Zrobiłam jeszcze jedno okrażenie, poślizgnęłam się na tych nieszczęsnych kocich łbach, ale udało mi się chwycić zagryzmolonej skrzynki elektrycznej. Miałam przynajmniej początek planu. Resztkę łez wytarłam szalem w żywym niebieskim kolorze i wróciłam do pokoju. Akurat kiedy przyszłam, zobaczyłam, jak Mattias wymiotuje do kosza na hotelowym korytarzu. Grupa policjantów stojąca kawalek dalej przewracała oczami. Posłałam im wściekłe spojrzenie. Wszyscy byli kiedyś w takiej sytuacji. Pierwsze zetknięcie na miejscu zbrodni ze śmiercią na skutek przemocy nigdy nie jest dla nikogo łatwe. Powinnam pomyśleć o tym wcześniej.

– Chodź. Pójdziemy zaczerpnąć świeżego powietrza. – Objęłam go ramieniem i obróciłam tak, żeby nie widział policjantów. – Gösta! – zawołałam z całych sił.

Wystawił głowę przez otwarte drzwi pokoju.

– Tak?

– Możesz dokończyć? Zabieram Mattiasa i idziemy się przewietrzyć.

– Dobrze. – Włożył notatnik do tylnej kieszeni i wrócił do pokoju.

– Pójdziemy napić się kawy – powiedziałam. – Potrzebujesz przerwy od tego miejsca, a mnie myśli się znacznie lepiej z latte w dłoni.

Mattias uśmiechnął się słabo. Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

– Jak się czujesz? – spytałam, kiedy siedzieliśmy przy dużym oknie w Espresso House na Västerlånggatan, ja przy latte, a Mattias przy dużym kubku czekolady.

– Koszmarnie – odpowiedział drżącym głosem i pokręcił głową. – Nie wiem, jak ty, wy, wytrzymujecie. Jak można sobie kiedykolwiek poradzić z widokiem drugiego człowieka w takim stanie? – Był zauważalnie przerażony.

– Nie można. Patrzymy na ciało, a nie na człowieka. Kiedy przeprowadzasz analizę, powinieneś postrzegać ludzi takimi, jakimi są, przejmować się nimi, słuchać ich, angażować się. Ale na miejscu zbrodni, w prosektorium, to tak nie działa. To ma być ciało, ciało, które musisz postrzegać obiektywnie. Brzmi to okropnie, ale to właściwie jedyny sposób, żeby przetrwać w tej pracy i chociaż trochę przydać się w terenie.

Mattias pokiwał z namysłem głową.

– Nie musisz się wstydzić. Wszystkim się to zdarzyło. – Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu i patrzyliśmy przez okno. Wzięłam łyk kawy i uśmiechnęłam się zachęcająco. – To ostatnie zabójstwo dało mi nadzieję. Do tej pory było zdecydowanie najbardziej interesujące – odezwałam się, żeby zmienić temat.

– Dlaczego? – spytał Mattias.

– Bo tutaj wiemy, że ofiara знаła mordercę. Nie tylko o nim słyszała, ale znała.

– Jak możesz być tego pewna?

– Obcokrajowiec prowadzący biznes w Szwecji nigdy nie zaprosiłby wieczorem na whisky w hotelowym pokoju kogoś, kogo by nie znał.

– Albo kogoś, komu płacił, ale wtedy zostałyby zupełnie inne ślady – odpowiedział Mattias z krzywym uśmiechem.

Uśmiechnęłam się. Życie zdawało się z powrotem w niego wstępować. Zadzwoiła moja komórka. Gösta. Skoczył czynności na miejscu zbrodni i pytał, czy może iść wcześniej do domu. Poprosiłam, żeby przedtem wpadł na chwilę do kafejki, żebyśmy mogli podsumować cały dzień. Wyczułam przez telefon niechęć, ale kiedy dostał filiżankę kawy i czekoladowego muffina, wyglądał ostatecznie na dość zadowolonego. Otworzyłam notatnik.

– Jest niewiele wiarygodnych wątków albo nie ma ich wcale. Recepcjonista na nocnej zmianie nic nie widział. Prawdopodobnie spał, ale nie chce się do tego przyznać. Ofiara była tu służbowo, jak twierdzi jego pracodawca z Monako, który poza tym nie chce mówić więcej, niż to konieczne. Van der See pełnił w banku funkcję kogoś w rodzaju doradcy finansowego, nic ponadto nie chcą nam przekazać – referował Gösta.

– Och, w takim razie związek jest chyba jasny – stwierdziłam.

– Co takiego? – Mattias wyglądał na zaskoczonego.

– No tak, pieniądze sprzeniewierzone z banku wysyłano na kilka kont numerycznych w Monako. Założę się, że chodzi o ten sam monakijski bank, w którym pracowała nasza ofiara. Został więc pewnie zamordowany dlatego, żeby nie wyjawiał, do kogo należało konto. Od razu dam znać Towie – powiedziałam, wyciągając telefon. Wyszłam na ulicę i zadzwoniłam. Obiecała, że natychmiast przekaze informację dalej. Dygotałam z zimna, więc wróciłam do środka.

– Co w tym przypadku wiemy o mordercy? – spytałam, kiedy już usiadłam i wzięłam duży łyk rozgrzewającej kawy.

– Znowu zorganizowany i działający z premedytacją – odpowiedział Mattias.

– Zgadza się. Pierwsze i ostatnie morderstwo wskazuje na mordercę zorganizowanego. Morderstwo między nimi wskazuje na mordercę impulsywnego i chaotycznego. Musiało się tam zdarzyć coś, co wpłynęło na jego metodę.

Związałam włosy i wetknęłam w nie dwa ołówki wygrzebane z torby. Wyjęłam notatnik i zaczęłam pisać. Przerzucaliśmy się pomysłami, ale po jakimś czasie dyskusja ucichła. Miałam mnóstwo punktów widzenia, które chciałam zgłębić, ale z ukłuciem wyrzutów sumienia zdałam sobie sprawę, że chętniej rozmyślałam samodzielnie niż z tą dwójką. Zdecydowaliśmy, że wszyscy popracujemy osobno i spotkamy się ponownie w biurze następnego ranka. Poszłam do domu, żeby się przebrać przed zaplanowanym babskim wieczorem.

Niebo było czarne. Elewacja nowoczesnego betonowego klocka, która sąsiadowała z fasadami kwartału Landbyska Verket ozdobionymi balkonami o misternych balustradach, eksplodowała feerią barw. Pokrywały go rzędy neonów, a duży ekran w nowojorskim stylu pokazywał jedną reklamę za drugą w pełnej skali mocnych kolorów. Powinnam oczywiście uważać to za paskudne, ale właściwie mi się podobało. Budynek w tym całym oświetleniu był i tak koszmarnie brzydki, a bez wątpienia Stureplan zyskiwał dzięki niemu ładny, żywy blask. Zdałam sobie sprawę, że tęsknię do Nowego Jorku. Zaskoczyło mnie to. Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek będę się tak czuć. Pomyślałam o pracy, którą mi tam zaproponowano. Naprawdę powinnam ją przyjąć. Jej odrzucenie byłoby po prostu szaleństwem. To przecież tylko tymczasowy projekt. Rickard może przyjeżdżać w odwiedziny. Niejeden związek przetrwał gorsze rzeczy. Mogłam przynajmniej zgodzić się na rozmowę. Bezcelnie byłoby choć nie wysłuchać, co mają do zaoferowania. Ważyłam telefon w dłoni i już miałam zadzwonić, żeby umówić się na rozmowę, gdy podeszła do mnie Katerina i mocno mnie uściśniła. Chwilę później zjawiła się Emelie i weszłyśmy do Sturehofu, do ich wewnętrznego baru na górze.

– Jak dziś poszło? – spytała Katerina, kiedy usiadłyśmy na dużej czarnej skórzanej sofie, a Emelie poszła zamówić nam wino.

– Przez telefon zdecydowanie nie wydawałaś się zadowolona. Znowu chodzi o Lennarta?

Zaśmiałam się.

– Nie inaczej. Certyfikowany z niego dupek.

– Nie gadaj. I prawdziwy męski szowinista – odpowiedziała sucho Katerina.

– Nie mam pojęcia, dlaczego jest taki cholernie niemiły. To przecież w zasadzie naprawdę zdolny śledczy, ale kopie własny grób, kiedy szmaci każdą napotkaną osobę, a zwłaszcza kobietę.

Emelie wróciła, próbując utrzymać równowagę z trzema dużymi kieliszkami białego wina.

– A kto to cię tak wkurzył? Nieczęsto jesteś taka stanowcza.

– On mnie nie tylko wkurzył. On poniżył cały kobiecy ród! – odpowiedziałam ze śmiechem. – Przez niego staję się radykalną feministką.

– Proszę, nie... Tak strasznie nie lubię szalonych feministek – prychnęła Emelie. – Nie po to, do cholery, pięć lat studiowałam na KTH, żeby dostać pracę dlatego, że jestem kobietą. Jestem profesjonalistką i chcę, żeby oceniali mnie za to, a nie za to. – Emelie chwyciła i ścisnęła swoje piersi.

– A ty, Katerina? – Ucieszyłam się, że weszłyśmy na ten temat. – Jesteś feministką?

Pokiwała w zamyśleniu głową.

– Tak, chyba tak. Moim zdaniem kobiety są traktowane gorzej niż mężczyźni we wszystkich obszarach społeczeństwa. Kłopot tylko w tym, że w pełni zgadzam się też z Emelie. – Wybuchła takim śmiechem, że zakolysał jej się biust pod ciemnofioletową tuniką. – A ty? Lennart naprawdę dał radę cię przekabacić?

– Według mnie problem polega na tym, że to pojęcie może oznaczać tak wiele różnych rzeczy. Wiele kobiet, które nazywają się feministkami, używają go jak worka, do którego wrzucają gospodynie domowe, kobiety pracujące zawodowo i zatrudnione na pół etatu.

– Ty i te twoje analizy. Być może masz rację, ale co myślisz ty? – naciskała Emelie.

Zastanawiałam się przez chwilę.

– Właściwie chyba nie wiem, kim jestem. Moim zdaniem wszyscy powinni postrzegać siebie samych krytycznie i dokonywać takich wyborów, jakich chcą, bez oglądania się na etykietki. Poza tym zgadzam się z Kateriną, kobiety ogólnie traktuje się gorzej, częściej są ofiarami, ale nie sądzę, że feministyczne kampanie nienawiści rozwiązują ten problem.

– Lepiej zapewnić wszystkim kobietom obowiązkowy trening sportów walki już w starszych klasach podstawówki! – zaproponowała Emelie.

– Katerina, jak to jest być patolożką sądową i mieć dzieci? Ciężko pogodzić jedno z drugim?

– Cóż, mam takie szczęście, że mój mąż jest tłumaczem, więc ma swobodne godziny pracy. Gdyby nie pracował w domu, nigdy by się to nie udało, w służbie zdrowia priorytety są ustalane pod mężczyzn po pięćdziesiątce. Zostanie w domu z chorym dzieckiem jest prawie nie do pomyślenia, a przynajmniej stanowi duży minus w papierach, jeśli mimo wszystko się ośmielisz. – Zaśmiała się. – Chociaż to nie tak, że moi pacjenci nie mogą jeden dzień pocze-kać. Nie, kurde, straszna jestem.

– Straszna? Jesteś cudowna! A nie sądziłam, że kiedykolwiek powiem coś takiego o patolożce. – Emelie zaśmiała się i stuknęła z nami kieliszkiem. – Muszę spytać, chociaż pewnie masz już dosyć odpowiadania: dlaczego zostałaś akurat patolożką?

– Trudno to wyjaśnić, ale mogę w ten sposób dać głos ludziom, którzy nie mają już swojego. Daję ostatnią szansę tym, którzy stracili wszystko. Wyniki moich badań mogą mieć też ogromny wpływ na rodzinę, przynieść im poczucie zamknięcia i początek żałoby. A poza tym lubię pracę detektywa!

– Wiem, co masz na myśli – powiedziałam. – Mieć wpływ, nawet jeśli to tak niewiele. Robienie czegoś konstruktywnego z destrukcyjnego wydarzenia jest pocieszające.

– Jak na przykład znalezienie luki w systemie bezpieczeństwa bazy danych Riksbanku. W porównaniu z takimi altruistkami czuję się jak żądna zysku egoistka!

– Otóż to! Ale i tak cię lubimy. Jeśli zamówisz jeszcze wina, jest ci wybaczone.

– Niezbyt wygórowana cena. Tylko najpierw przypudruję nossek. – Emelie dźwignęła się z sofy i zeszła piętro w dół.

– Masz już coś z sekcji zwłok? – spytałam Katerinę, korzystając z okazji.

– Niewiele. Zginął natychmiast od strzału. Był w bardzo dobrej formie fizycznej. Zupełnie nic wyjątkowego. Niestety. Wiem, że „normalnie” to nie odpowiedź, która ci szczególnie pomaga.

– Nie, to prawda. Ale akurat w tej sprawie naprawdę nie potrzebujemy już niczego wyjątkowego.

Emelie wróciła z następnymi kieliszkami wina i trzema kartami. Zjadłyśmy pyszną kolację i prowadziłyśmy rozmowy – a to żywiołowe i radosne, a to poważne i wyzwalające. Rozstałyśmy się wpół do jedenastej, po wielkim wspólnym ściskaniu.

Poszłam wzdłuż Kungsgatan do domu. Czułam się tak, jakby zarówno mój mózg, jak i serce dostały zastrzyk witamin. Kiedy dotarłam na miejsce, wzięłam ciepły prysznic i zorientowałam się, że nie mogę jeszcze zasnąć. Byłam zdecydowanie za bardzo nakręcona. Wyciągnęłam glinę i narzędzia do ceramiki, po czym ustawiłam je na kuchennym stole. Przyniosłam dużą miskę wody, którą zwilżyłam ręce, i sporą bryłę gliny, którą następnie zaczęłam ugniatć. Gлина między moimi palcami wydawała się chłodna i jedwabista, a kiedy była już miękka i zwarta, wcisnęłam ją na koło garncarskie i zaczęłam formować pękaty wazon. Pomyślałam o Katerinie. Imponowała mi. Jednoczesne macierzyństwo i rozwijanie kariery wydawały się tak niesamowicie trudne, ona jednak sprawiała wrażenie autentycznie szczęśliwej. Czy ja kiedykolwiek odważę się na urodzenie dziecka? Nie wiedziałam, jak mogłabym zareagować na własne potomstwo. Kto chciałby mieć matkę prześladowaną przez natrętne myśli? A właściwie dlaczego nie? Wiele osób na pewno wychowywało się w gorszych warunkach i wyrastało na zrównoważone jednostki. Czy chciałabym mieć dzieci z Rickardem? Wypełniły mnie uczucia ciepła i szczęścia. Natychmiast je stłumiłam. Nie miałam nawet odwagi dobrze o tym pomyśleć. Nie chciałam wzbudzać w sobie nadziei na coś, co może się nigdy nie spełnić.

Zmniejszyłam prędkość koła i popatrzyłam na rezultat. Wazon był trochę krzywy, ale właściwie w pełni akceptowalny, biorąc pod uwagę, że dawno nie pracowałam z gliną. Odcięłam go od koła drutem i odstawiłam do wysuszenia. Poszłam się umyć. Moje myśli nieubłaganie wracały do sprawy. Zdawało się, że z każdym dniem staje się coraz bardziej skomplikowana. Wszystko to jedna wielka płatanina. Nie wiedziałam, jak się do niej zabrać. Jakiś szczegół, który dostrzegałam wyraźnie w jednym morderstwie, nie pojawiał się w następnym albo coś mu przeczyło. Zaparzyłam sobie filiżankę zielonej herbaty i zaniiosłam ją do gabinetu. Ponieważ w głowie wciąż mi się kłębiło, włączyłam komputer, żeby szybko sprawdzić pocztę.

Standardowa porcja spamu. Obietnica, że dużo lepiej zadowolę swoją żonę, jeśli o parę cali wydłużę penisa. Bez dwóch zdań. Gdybym go tylko miała. Kasowałam, kasowałam i kasowałam. Ziewnęłam. Nagle temat jednej wiadomości nieco niżej przykuł moją uwagę.

Brzmiał „Wyjaśnienie”. Nadawcą był „devil1234@hotmail.com”.

Otworzyłam.

Altheo!

Przeczytałem, że pracujesz dla policji jako konsultantka psychologiczna. Zapoznałem się z twoją opinią o mordercy zwanym „Diabeł”. Gazety donoszą, że według Ciebie jest brutalny, okrutny i żądny krwi. O ile dokładnie cytowały Twoje słowa. Poczuję się zmuszony do wyjaśnienia. Nie jestem żadnym psychopatą, żadnym bajerantem, żadnym ćpunem. Postąpiłem tak, jak postąpiłem, bo musiałem chronić najbliższych. W zasadzie nie miałem wyboru. To było nieuniknione. Nie sprawiło mi to radości, ale nie zrobiłem nic złego.

Pozdrawiam serdecznie

Diabeł... :-)

Odchyliłam się na oparcie i obiema rękami podrapałam po głowie. Jeszcze raz przeczytałam e-mail. Bingo! Uśmiechnęłam się. Prosty strzał na konferencji prasowej przyniósł rezultaty. To wiadomość od mordercy. Gdyby przesłał ją ktoś, kto się pod niego podszywa, wspomniałby szczegóły dotyczące zabójstw, żeby wypaść wiarygodnie. Było jedno ale, i to dość poważne – osobowość, którą odczytywałam z tego tekstu, nie do końca zgadzała się z moimi dotychczasowymi założeniami. Przejawiała się w nim racjonalizacja, lecz niewystarczająca doza arogancji. Przesłałam e-mail do Andreasa i Emelie, żeby się dowiedzieć, czy można z niego uzyskać coś interesującego z technicznego punktu widzenia. Napisalam odpowiedź:

Diable,

dziękuję za Twój e-mail. Ciekawie było przeczytać, że Twoim zdaniem nie odpowiadasz mojemu opisowi. Odetchnęłam z ulgą, że mam do czynienia z człowiekiem cywilizowanym. Nie chcę jednak, żebyś choć przez sekundę sobie wyobrażał, że istnieje jakakolwiek okoliczność łagodząca dla trzech brutalnych morderstw zupełnie niewinnych mężczyzn. Nikt Cię nie zmuszał, by je popełnić. Takiego czynu nie może usprawiedliwić nic.

Althea

Ciekawe, czy połknie przynętę. Mam nadzieję, że sprowokowałam go w wystarczająco wielu kwestiach, żeby dyskusja toczyła się dalej. Potem wydrukowałam dwie kopie jego wiadomości. Po jednej natychmiast zaczęłam kreślić czerwonym długopisem. Za dużo snu tej nocy nie zaznałam.

– Sztokholmczyk – powiedziałam, wskazując słowo „bajerant”.

– Obstawiałbym między dwadzieścia pięć a trzydzieści lat – dodał Mattias.

– Na jakiej podstawie? – spytał Gösta, biorąc ostrożnie łyk kawy.

Przez okno gabinetu wpadało słońce.

– „Bajerant” to nie jest słowo, którego używają starsze pokolenia. Natomiast staranny język świadczy o kimś, kto nie jest wyraźnie młodszy niż dwadzieścia pięć lat.

– To prawda. – Gösta pokiwał głową.

– Najwyżej trzydzieści, ale to wciąż się zgadza z naszą wiedzą o mordercy. Moim zdaniem raczej dwadzieścia pięć. Dobra, jeszcze jakieś spostrzeżenia? To on czy ktoś udaje? – zapytałam.

Mattias zaczynał wypelzać ze swojej skorupy, ale Gösta nadal zachowywał się wprost beznadziejnie. Był miły i poprawny. Siorbał swoją kawę i w kółko częstował tym swoim biszkoptem, dziś w wersji czekoladowej, ale nigdy nic nie wnosił.

– Gösta, jak uważasz? – spytałam nieco prowokacyjnie. Podrapał się po siwym zaroście.

– Cóż...

Skrzypnęła futryna drzwi. Zajrzał Andreas, a za nim szeroko uśmiechała się Emelie.

– Emelie, wejź! Nie wiedziałam, że tu jesteś!

– I tak miałam dziś przyjść, żeby popracować z Andreasem, więc posiedzieliśmy też nad e-mailem.

Przedstawiłam Emelie i poprosiłam, żeby usiedli.

– Znaleźliście coś ciekawego?

– Jeszcze nie – odpowiedział Andreas. – Co się tyczy włamania, wszystko razem prześledziliśmy. Załadowaliśmy kopie zapasowe Emelie. Pracownicy Infosecu to najlepsi ludzie, jakich spotkałem.

Emelie przewróciła oczami i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Andreas ciągnął:

– Musimy w to wszystko włączyć bank, czy im się to podoba, czy nie. Utrzymywali informację o mordercy w tajemnicy, a to karalne. Jeśli będą próbowali oskarżyć Emelie za to, że się do nas zwróciła, osobiście zaciągnę ich do sądu. W tej chwili potrzebujemy zgody Lennarta, żeby otworzyć dochodzenie w sprawie banku i zażądać z nimi spotkania.

– Rozmawialiście z nim? – zapytałam. Andreas wykrzywił się w grymasie.

– Nie, chcieliśmy tę radosną chwilę podzielić z tobą. Planowaliśmy znaleźć go po tym zebraniu.

– A e-mail?

Emelie odpowiedziała:

– Wysłany z kafejki internetowej na Hornsgatan. Z konta na Hotmailu. Można sobie takie założyć w dwie minuty bez podawania jakichkolwiek prawdziwych danych. Raczej nie ma nawet sensu żądać udostępnienia informacji.

– Nie możemy żądać ich udostępnienia. Wysłanie e-maila nie jest zabronione, a on przecież w żaden sposób nie przyznał się do popełnienia morderstw – odrzekł Andreas i dodał:

– Ani włamania do banku.

– Też zwróciłam na to uwagę. Jest zbyt inteligentny, żeby wprost się do tego przyznać – rzekłam ponuro. – Miejmy nadzieję, że moja odpowiedź wystarczająco go sprowokowała. Musimy skłonić go do mówienia o pieniądzach, o włamaniu. Chociaż najpierw powinniśmy porozmawiać z Lennartem. Ruszamy na poszukiwania?

Gösta i Mattias wrócili do pracy nad materiałami, a my poszliśmy na górę do gabinetu kierownictwa. Lennart był na miejscu wraz z Tovą, Gabrielem i czterema innymi osobami, których nie znałam.

– Lennart, muszę z tobą porozmawiać – odezwałam się, poczekawszy chwilę w drzwiach z Emelie i Andreasem za plecami, podczas gdy on udawał, że mnie nie widzi.

– Nie teraz. Nie mam czasu – odpowiedział. Wyjął telefon, pomachał nim i przecisnął się obok mnie, wychodząc na zewnątrz. To było po prostu śmieszne. Wzbierała we mnie prawdziwa wściekłość. Ruszyłam za nim. Lennart nie

rozmawiał przez telefon, tylko włożył go z powrotem do kieszeni i szedł korytarzem, pogwizdując i nie zauważając, że mu towarzyszymy. W pokoju socjalnym podszedł do ekspresu i zrobił sobie kawę. Stanęliśmy za nim bez słowa. Kiedy się odwrócił się, stałam tam ja, a za mną Andreas i Emelie.

– A teraz masz czas? – zapytałam retorycznie. – Usiądź. – Wskazałam stół.

Lennart spoglądał to na mnie, to na Emelie i Andreasa. Westchnął i usiadł.

– Czego chcecie? – spytał krótko i dmuchnął w swoją kawę.

Usiedliśmy całą trójką i przedstawiliśmy mu sprawę morderstw. Wyciągnęliśmy wydruk. W milczeniu wysłuchał nas i przeczytał e-mail.

– Wygląda na to, że narobiliście pieprzonego bajzlu. Że zabójca napisał wiadomość, nie wierzę ni cholery. Dzienne dzwoni dziesięciu idiotów, którzy podają się za morderców, to samo z e-mailem. Wtedy, kiedy wysłe zdjęcia albo przekaże coś, o czym jeszcze nie napisały gazety, zacznę się temu przyglądać. Włamanie brzmi już bardziej interesująco, chociaż nadal jak z filmu klasy B. Potraficie udowodnić, że ten sam gość włamał się do systemu bankowego, a potem zabijał ludzi?

– Mamy pisemne groźby wobec Pontusa bezpośrednio poprzedzające jego zabójstwo – odparła Emelie.

– Cóż, no tak, ale to przecież nie musi nic znaczyć, prawda? – Lennart przybrał swój najśłodszy, najbardziej pogardliwy ton. – A jakie rzeczywiste dowody? Fizyczne? Możecie w ogóle udowodnić, że skradziono pieniądze?

– I tak, i nie. Możemy udowodnić, że je skradziono, ale nie ile. – Emelie zaczęła opanowywać rezygnację.

– Oczywiście, że nie. To co potraficie udowodnić? Po co tu siedzimy? Czy bank złożył doniesienie na policję?

Żadne z nas nie miało dobrej odpowiedzi.

– No to tak. – Lennart wstał i wbił w nas wzrok. – Chcę mieć profil po południu na generalnym zebraniu o czwartek. I nie chcę wtedy słuchać żadnych szalonych teorii o hakerze, który się kręci i morduje ludzi. Jeśli profilu nie zrobisz, twoje zadanie się tutaj kończy. A poza tym, Andreas, jeśli jeszcze raz się dowiem, że do policyjnego śledztwa włączyłeś osobę cywilną, dopilnuję, żebyś pożegnał się z pracą.

Lennart opuścił pomieszczenie. Zostaliśmy na miejscu, spoglądając po sobie. Naprawdę nie mieliśmy innych rzeczywistych dowodów? Rozmowa między Case'em a Pontusem w banku. No tak, ale Pontus mógł zostać zamordowany przez przypadek. Wyczyszczenie przez Case'a zawartości wszystkich komputerów Infosecu też nie dowodziło, że brał udział w zbrodniach. A e-mail? Przesłał go ktoś, kto przynajmniej pośrednio twierdził, że jest mordercą, lecz w wiadomości nie było nic, co moglibyśmy odnieść do banku. Powiązanie między nim a Pontusem, Danielem van der See i kontem w Monako także stanowiły bardzo silne przesłanki i ogólnie rzecz biorąc, byłam stuprocentowo pewna swojej racji, ale gdy przyjrzeć się dowodom osobno, wypadały bardzo słabo.

– Co za idiota! – wykrzyknęła Emelie.

– Trudno się nie zgodzić. To jeden z jego lepszych dni – odpowiedziałam, pocierając skronie.

– Zdążysz zrobić profil? – spytała.

– Tak, chociaż opiera się na tym, że Case i Diabeł to ta sama osoba, więc chyba nie będzie miał szczególnego wzięcia. Jak teraz posuniemy się dalej?

– Zmienimy linię postępowania. Właściwie nie musimy udowadniać, że Case jest mordercą, tylko że dokonał kradzieży danych, za którą możemy go przymknąć. Przede wszystkim musimy go dorwać. Kiedy wyczyszczono komputery, zaczęłam pisać zgłoszenie na policję, mogę do tego wrócić – zaproponowała Emelie.

– Dobra, będziemy mogli wtedy grozić upublicznieniem całej sprawy. Lindsteinowi się to nie spodoba – odparłam. – Ale odważysz się zaryzykować, że stracisz to zlecenie?

– Tak, tak, bo warto. Jestem pewna. Nie pozwolę, żeby ten strach na wróble dalej mnie gnoił.

– No to mamy co robić – powiedział Andreas.

Po szybkim lunchu Emelie i Andreas udali się do jego biura zespołu technicznego. Wzięłam kawę i wróciłam do swojej małej dziupli.

– Musimy to teraz zebrać do kupy i sporządzić profil. Jakie macie wnioski? – spytałam Göstę i Mattiasa, którzy siedzieli w oczekiwaniu. Gösta już miał coś powiedzieć, ale mu przerwałam.

– Albo wiecie co? Przejdę przez całą sprawę punkt po punkcie, a wy przerywajcie, kiedy będziecie mieli jakieś informacje albo uznacie, że się mylę, dobrze?

Skinęli głowami.

– Dobra. Wszystko zaczyna się od włamania do banku. Osoba, która nazywa samą siebie „Case”, przez dłuższy czas wyprowadzała pieniądze w sposób, według Emelie, nieprawdopodobnie wyrafinowany. Innymi słowy: haker.

Zdolny haker. Co o nich wiemy? Cóż, jeśli mają być dobrzy, zaczynają wcześniej. To jest koleś, który bawił się komputerami, odkąd miał kilkanaście lat. Myśli analitycznie, logicznie. Jest cierpliwy. Motywem kradzieży danych jest zysk, może też zarozumiałstwo. Kto wie, czy od początku nie chciał włamać się do banku, żeby po prostu sprawdzić, czy się da, i mieć się czym chwalić.

Mattias ostrożnie podniósł palec.

– Nie wydaje mi się. Rozmawiałem chwilę z Andreasem. Całe włamanie wymagało między innymi stworzenia wcześniej własnego oprogramowania. On to planował od dawna. To jest precyzyjnie wymierzony atak. Nie zdradził żadnej informacji, której w przeciwnym razie potrzebowałyby do udowodnienia koleżkom z hakerskiego świata, że włamał się do banku. Zachował maksymalną dyskrecję.

– Masz rację, naprawdę dobrze pomyślane. Ten koleś wie, co robi.

Obaj skinęli głowami.

– Po włamaniu robi swój pierwszy naprawdę duży skok z perspektywy osobowości. Morduje Pontusa na środku ulicy w Sztokholmie, wprowadzie ciemnej. Tuż obok banku.

– Musiał naprawdę wyzbyć się emocji i poczuć, że ma wiele do stracenia, bo inaczej by tego nie zrobił. Dokonanie czegoś tak konkretnego i drastycznego nie może pasować do osobowości hakera – stwierdził Gösta.

Mattias wyprostował się na krześle.

– To tak naprawdę częstsze, niż ci się wydaje. Nazywa się to nieraz „socjotechniką” i stanowi element wielu ataków. Ludzie znajdują do wykorzystania fizyczne wtyki sieciowe albo włamują się do biur, żeby szukać w koszach na śmieci haseł i innych danych. To bardziej popularne w Stanach, ale na pewno zdarza się też w Szwecji.

Mattias naprawdę sporo poczytał. Byłam pod wrażeniem. Z powrotem zabrałam głos:

– Dobra, więc nie była mu zupełnie obca myśl, żeby przejść do fizycznego działania, i za wszelką cenę nie chciał wpaść. Według Emelie, gdyby działał dalej, mógłby zgarniać astronomiczne sumy. Moim zdaniem ten typ jest na tyle pozbawiony emocji, by uznać, że zasługuje na te pieniądze, słusznie jest je przywłaszczyć i w związku z tym słusznie jest ich bronić. Emelie sądzi, że włamania trwały przez trzy lata, więc podporządkował zyskom swoje życie i jego fasadę. Nie zatrzyma się przed niczym, żeby zachować swój prestiż, fasadę, którą może utrzymać za pomocą pieniędzy.

– Czy to ma coś wspólnego z nim jako osobą? Czy pochodzi z rodziny społecznie znaczącej, głęboko religijnej lub podobnej, która całkowicie by go odrzuciła, gdyby wyszło na jaw, że jest przestępcą?

Pokiwałam głową z namysłem.

– Niewykluczone. Chciwość ma zawsze swoje źródło. Często w tym, że już wcześniej odczuwał niesprawiedliwość albo ma kompleks niższości i uważa, że pieniądze to zmieniają. Same morderstwa wzmagają przekonanie, że dokonuje się ich wyłącznie po to, żeby chronić zyski. To chłodna kalkulacja. Nie stoją za tym żaden rytuał ani fantazja. Zabójstwa to kwestie praktyczne. Potwierdzeniem takiego rozumowania jest fakt, że nieco się między sobą różnią. To wskazuje na chłód emocjonalny, który zwykle przypisuje się psychopatom i zawodowym mordercom.

– Ale nie hakerom, no tak, rozumiem, o co ci chodzi – rzekł Mattias. – Pojawiło się jednak sporo dyskusji, że komputery w ogóle, a brutalne gry z perspektywą pierwszoosobową w szczególności mogą powodować rozchwiania w postrzeganiu moralności i rzeczywistości. Być może widział siebie po prostu jako bohatera jakiejś gry.

– A jeśli nie gry, to przynajmniej książki. Wiemy, że identyfikuje się z główną postacią powieści *Neuromancer*, hakerem ze świata w przyszłości, w którym zupełnie naturalne jest kraść, żeby żyć – dodałam.

– W takim razie karty tarota są z całą pewnością tylko podrzucone, żebyśmy połączyli je z innym typem osobowości niż właściwy. Innymi słowy, facet zakładał możliwość sporządzenia profilu. – Mattias podrapał się po głowie. Włosy sterczały mu we wszystkie strony.

– Jasne, zgadzam się.

– Czy jesteśmy pewni, że rozbieżności w metodzie zabójstwa i duża różnica między działaniem a rytuałem, czyli zostawianiem kart, nie wynikają z zaburzenia psychicznego jak schizofrenia? Możemy to całkowicie wykluczyć? – spytał Mattias.

Sceptycznie pokiwałam głową.

– Tak, też się nad tym zastanawiałam, ale wydaje mi się to zbyt naciągane. Wysoko funkcjonujący, inteligentny haker, który staje się maszyną do mordowania, z zaburzeniami osobowości? Doktor Jekyll i mister Hyde? Brzmi to tak, jakbyśmy stwarzali chorobę, żeby wyjaśnić coś, czego nie potrafimy zrozumieć w inny sposób. To zbyt naciągane. Nie ma żadnych dowodów na podstawie zachowania. – Nie wiedziałam, czy wątpliwości, by zaklasyfikować kogoś jako chorego psychicznie, wynikają z własnych doświadczeń, czy nie. Pewnie trochę tak. Byłam przekonana, że prawda nigdy nie jest tak prosta. To nie to samo, co zdiagnozować u kogoś różyczkę. Choroba psychiczna rozciąga

się na nieskończenie szerszym spektrum. Spojrzałam na zegarek. – Musimy tu przerwać. Czas na raport o wczorajszym zabójstwie.

Nie przejmowałam się, że profil nadal zawierał znaki zapytania. I tak nie mogłabym go przedstawić. Zdawałam sobie sprawę, że na tym zebraniu nie zagrzeję długo miejsca. Wyłączyłam komputer, zabrałam wszystkie rzeczy i wraz z Mattiasem i Göstą poszliśmy na górę do dużej sali konferencyjnej. Gabriel i Lennart stali z przodu i rozmawiali przyciszonymi głosami. Pomieszczenie było wypełnione po brzegi. Zarówno wokół stołu, jak i pod ścianami siedzieli i stali policjanci. Nieco mniej niż połowa miała na sobie mundury. Uśmiechnęłam się do Rickarda, który siedział w głębi pod ścianą, obok Kristiny, komendantki, która brała udział w konferencji prasowej. Już miałam podejść i się przywitać, gdy Lennart chrząknął.

– Jeśli wszyscy mogą się już przysmaknąć, zaczynamy.

Wślizgnęłam się na krzesło obok drzwi, a Gösta i Mattias stanęli za mną. Kiedy na sali zapadła cisza, głos zabrał Gabriel:

– Dziękuję. Przedstawimy krótkie sprawozdanie na temat popełnionego wczoraj zabójstwa na Danielu van der See. Następnie porównamy je z dwoma wcześniejszymi, które naszym zdaniem popełnił ten sam sprawca określany jako „Diabeł”. Profilerka Althea Molin przedstawi nam jego pierwszy profil.

Jeszcze zobaczymy, jak to będzie, pomyślałam ponuro. Na dużym białym ekranie wyświetlano serię zdjęć. Pontus, karta tarota z Diabłem, Rönndahl, van der See. Jak to wszystko się skończy? W niecałe dwa tygodnie Diabeł zamordował trzy osoby. Naprawdę mieliśmy do czynienia z niesamowicie niebezpiecznym człowiekiem. Jeśli go wkrótce nie rozgryziemy, doprowadzi to do kompletnej katastrofy.

– Althea, twój profil?

Wyrwałam się z zamyślenia i wstałam.

– Ponieważ kilka mocnych dowodów, których tu dziś nie przedstawiono, sugeruje, że mężczyzna określany jako Diabeł to ta sama osoba, która włamała się do systemu bankowego Lindsteina i wyprowadziła z niego milionowe kwoty, w swoim profilu sprawcy nie mogę tego pominąć. Nasza analiza wskazuje na...

– Otrzymałaś bardzo wyraźne instrukcje, aby zignorować pogłoski, do których się odnosisz. Jeśli nie potrafisz się do nich zastosować, nie zamierzamy wysłuchiwać twoich teorii i przypuszczeń.

– Oceniasz dowody na podstawie gotowych założeń. Nie poświęciłeś nawet czasu, by dokładnie je przeanalizować. Moim zdaniem pracujesz w najwyższym stopniu nieprofesjonalnie, ukrywając dowody przed tym gremium. Na jakiej podstawie postępujesz w ten sposób?

Twarz Lennarta czerwieniała coraz bardziej.

– W życiu nie słyszałem takiego pieprzenia. To ja decyduję o tym, co się tutaj przedstawia. Wasze farmazony, że zabójcą miałyby się okazać jakiś przyszczaty haker, są kompletnie absurdalne. Możesz odejść. Zostajesz wyłączona ze sprawy. – Wskazał drzwi.

Uśmiechnęłam się uprzejmie i wyszłam. Lennart zwrócił się do Gösty:

– Czy możesz przejąć obowiązki Althei?

Zobaczyłam z korytarza, jak ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu Gösta kręci głową i mówi:

– Moja analiza pokrywa się z opinią Althei. Więc nie.

Lennart przypatrywał mu się długo i intensywnie. Gösta odwzajemnił spojrzenie, ale nie sprawiał wrażenia, że ma zamiar odejść czy coś powiedzieć. W końcu Lennart spuścił wzrok i popatrzył w swoje papiery.

– Przechodzimy do następnego punktu.

Uśmiechnęłam się i poszłam. Brawo, Gösta! Tego się po nim nie spodziewałam. Udałam się do naszego gabinetu i zadzwoniłam do Emelie. Nie odbierała. Zamiast tego napisałam e-mail. Swojego blackberry nigdy nie wyłączała.

Okazało się, że jednak znajdę czas na jogę. Chcesz iść ze mną? A.

Emelie oddzwoniła dwie minuty później.

– Myślałam, że będziesz pracować.

– Nie, odsunęli mnie.

– Co?! Jak ci się to udało?

– Eee tam, mimo wszystko nie sądzę, że to jakaś wielka szkoda. Później ci opowiem. Widzimy się pod twoją bramą?

– Dobra.

Rozłączyłam się. Byłam właściwie w zaskakująco dobrym nastroju. Wiedziałam, że Lennart się myli i że po zebraniu nie będzie mógł ignorować naszych dowodów. Poza tym nie było wcale pewne, że włączą mnie w tę sprawę z powrotem, ale tak naprawdę nie mogłam zareagować inaczej. Nie zgadzałam się na traktowanie, które prezentował Lennart. Moja akceptacja miała swoje granice. Włożyłam płaszcz, zamknęłam drzwi i poszłam na autobus.

Parę minut przechadzałam się tam i z powrotem przed bramą Emelie, która zbiegła po schodach z zadyszką i płaszczem włożonym tylko do połowy.

– Przepraszam za spóźnienie!

– Spokojnie – odpowiedziałam.

Ruszyliśmy te kilka przecznic do studia jogi. Zagadnęłam:

– Ciekawe mieliście spotkanie z Andreasem?

– Cudowne! To było fascynujące porozmawiać z kimś, kto robi prawie to samo co ja, tylko dla policji. Jutro idziemy na piwo, żeby jeszcze pogadać.

– O, no proszę. Szybko poszło. – Uśmiechnęłam się i poruszyłam brwiami.

– Ech! Oczywiście tylko w sprawach zawodowych.

Jeszcze zobaczymy – pomyślałam. Naprawdę lubiłam Andreasa i miałam swój misterny plan. Prędzej czy później uda mi się może sprawić, by Emelie spojrzała na niego jak na mężczyznę, a nie tylko technologicznego nerda. Lepsze to niż ten cały śliski i przymilny Hesslow. Moim zdaniem bankowcom nie można ufać. Wyciągnęłam z rękawa jednego ze swoich asów:

– Wiesz, że po godzinach Andreas jest basistą w zespole hardrockowym?

– Co ty gadasz! Ekstra, nic mi nie mówił.

Momentalnie zaczęła wyglądać na bardziej zainteresowaną. Wiedziałam, że przynęta chwyci. Emelie zawsze miała słabość do niechlujnych muzyków. Jako nastolatka zawiesiła w swoim pokoju plakat Lenny'ego Kravitz'a. Akurat tej fascynacji nigdy nie rozumiałam. Dokładnie w chwili, w której Emelie odwróciła się do mnie, żeby jeszcze coś powiedzieć, usłyszałam huk. Strzał z pistoletu. Moje serce wpompowało do ciała lodowato zimną falę adrenaliny z taką intensywnością, że poczułam ból. Pociągnęłam za sobą Emelie na chodnik i rozejrzałam się dookoła, chcąc znaleźć jakąś kryjówkę, ale nie byłam do końca pewna, z której strony doleciał strzał. Dwa zaparkowane samochody, za którymi przykucnęłyśmy, nie dawały szczególnej ochrony. Brama znajdująca się najbliżej na nic by się zdała, bo była za płytka. Kawałek dalej z dużego okna wystawowego padało światło. To była chyba nasza najpewniejsza szansa. Popatrzyłam w ciemność po drugiej stronie ulicy. Była tak gęsta, że nie mogłam nikogo dojrzeć. Pociągnęłam Emelie za rękaw i pochylone pobiegłyśmy truchtem w stronę światła. Dokładnie w momencie, w którym dał się słyszeć drugi strzał, Emelie padła na ziemię. Krzyknęła i złapała się za udo. Zebrałam wszystkie siły, chwyciłam ją i wniosłam przez drzwi sklepu.

– Dzwonił po karetkę! Ktoś ją postrzelił w nogę! – zawołałam do sprzedawcy w kwiaciarni, gdzie się schroniłyśmy, a jednocześnie trzęsącymi się rękami wyciągnęłam szarpnięciem telefon, żeby zadzwonić bezpośrednio do centrum dowodzenia. Z telefonem zacisniętym między ramieniem a uchem zaczęłam zdzierać z Emelie płaszcz. Kula trafiła ją w udo. Krew płynęła obficie. Emelie zemdląła, lecz ocknęła się i krzyknęła, gdy wyjęłam z jej płaszcza pasek i drżącymi, zakrwawionymi dłońmi zacisnęłam go w górnej części jej uda tak mocno, jak tylko zdołałam. Nie miałam w głowie prawie żadnych racjonalnych myśli poza tą o konieczności ratowania Emelie.

– Nic się nie stało, kochana. Karetka już jedzie. Wszystko będzie dobrze.

Odebrali w centrum dowodzenia. Musiałam zebrać wszystkie swoje siły, żeby mój mózg pracował w sposób prawidłowy i uporządkowany.

– Mówi profilerka Althea Molin. Na rogu Roslagsgatan i Frejgatan doszło do strzelaniny. Jedna osoba jest ranna. Przyślijcie zespół dochodzeniowy.

– Czy wezwano pogotowie?

– Tak.

Usłyszałam, jak kobieta po drugiej stronie linii uderza gorączkowo w klawiaturę.

– Althea, pracujesz z Lennartem i Gabrielem, prawda?

– Tak.

– W tej chwili wysyłam patrol i zawiadamiam zespół. Mogę jeszcze jakoś pomóc?

– Nie. To wystarczy. Dziękuję.

Odłożyłam telefon i rozejrzałam się dookoła. W pomieszczeniu świeciło światło, a ściany były białe. Ciemnoróżowa krew Emelie odcinała się wyraźnie od niemal białej kamiennej posadzki. Unosił się zapach róż. Co za ironia. To były jedyne kwiaty, których Emelie nie znosiła. Pogląskałam ją wolno po włosach. Poruszyła się i krzyknęła.

– Cholera! Boli! Ta cała krew jest moja? – Wpatrywała się w moje zakrwawione dłonie.

Próbowałam się do niej uśmiechnąć przez łzy i nie wyglądać tak, jakbym miała zaraz zwymiotować ze strachu albo rzucić się z płaczem na podłogę. Po plecach spływał mi pot. Serce waliło jak szalone. Na próżno usiłowałam ocenić, czy sytuacja była aż tak zła.

– Gdzie jest ta cholerna karetka? – spytałam sprzedawcę, młodego mężczyznę, który stał obok mnie.

– Zaraz tu będzie – odpowiedział, nie odrywając telefonu od ucha. Przez cały czas rozmawiał z pogotowiem.

Kiedy minutę później karetka zatrzymała się przed sklepem, trzęsącymi się rękami przytrzymał drzwi dla sanitariuszy z noszami. Emelie trzymała mocno moją dłoń. Bardzo mocno.

– Jedź ze mną – powiedziała. Wydawała się teraz słabsza, jakby unosząc się między świadomością a nieświadomością. Straciła bardzo dużo krwi.

– Jestem cały czas przy tobie, wiesz o tym – wyszeptalam, ściskając ją mocno za rękę. Weszłam do karetki. Moje oczy były tak pełne łez, że prawie nic nie widziałam, ale nie chciałam jej puszczać, żeby je otrzeć.

Byłam spocona i zmarznięta. Niepokoiłam się. Trzęsłam się od adrenaliny i szpitalnej kawy. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Jak mogłam pozwolić, żeby coś takiego przydarzyło się Emelie? Biały, mocno oświetlony szpitalny korytarz sprawiał, że rzeczywistość stawała się jeszcze brudniejsza, jeszcze ciemniejsza. Już od dwóch godzin siedziałam i czekałam na tym samym plastikowym krześle. Zadzwoił Rickard. Nadal był na komendzie. Siedział na przesłuchaniu podejrzanego uczestnika napadu, więc dopiero się dowiedział, co się stało. Opowiedziałam mu o Emelie, o swojej wściekłości, o wszystkim. Obiecał, że przyjedzie do szpitala, kiedy tylko będzie mógł. Rozłączyłam się i przyniosłam sobie kolejną kawę. Rzuciłam okiem na torebkę Emelie, którą wzięłam ze sobą, a która teraz stała obok mojego niewygodnego siedzenia. Położyłam obok niego na podłodze złożony płaszcz, usiadłam na nim i wyjęłam z torebki komputer. Informacje prywatne Emelie trzymała na swoim blackberry, którego nigdy bym nie tknęła, ale komputer służył jej przede wszystkim za notatnik. Co prawda bardzo mały i bardzo drogi notatnik. Włączyłam go i spróbowałam poukładać swoje życie, toczące się śledztwo i sprawę mordercy. Po chwili zauważyłam, że mam dostęp do sieci bezprzewodowej. Otworzyłam swoją pocztę na Google. Napisałam długą wiadomość do Case'a czy Diabła, jak sam się nazywał. Bez jakichkolwiek hamulców. Odczuwałam jedynie wściekłość.

Diable,

co, do cholery, zrobiła ci Emelie? Jak twój chory mózg to uzasadnia? To jest fantastyczna, wprost cudowna kobieta. A ty to prymitywny, głupi, walnięty morderca. Jesteś taki jak wszyscy inni, w żaden sposób lepszy. A jeśli już, to tylko bardziej popieprzony, bo próbujesz obronić swoje zbrodnie twierdzeniami, że są konieczne. Do cholery, weź odpowiedzialność za swoje działania. Chociaż tyle. Wyjaśnij mi, dlaczego postrzeżiliś Emelie. Chodzi o pieniądze? Jesteś tak chciwy, że mordujesz dla zysku i próbujesz to moralnie uzasadnić swoją gadaniną?

Althea

Podrapałam się w głowę i założyłam włosy za uszy. Korytarzem nadeszła lekarka. Już miałam wstać, ale uśmiechnęła się i pomachała mi, żebym siedziała.

– Czy to ty przyjechałaś z Emelie? – spytała.

Skinęłam bez słowa. Sprawdziła w swoich papierach.

– Jest w tej chwili operowana. Jej stan jest stabilny. Resztę nocy prześpi. Jeśli chcesz, możemy do ciebie zadzwonić, gdy tylko zaczniesz się wybudzać. Jedź do domu i trochę się prześpij.

Podziękowałam jej. Lekarka odeszła. Odetchnęłam z ulgą i oparłam głowę o ścianę. Zaczęły mi płynąć łzy, ale nie potrafiłam ich powstrzymać. Płakałam spazmatycznie. Próbowałam wycierać policzki dłońmi. Zauważyłam, że skórki paznokci wciąż mam brudne od zaschniętej krwi Emelie. Nie przestawałam płakać. Trochę później, choć trudno mi powiedzieć kiedy, przyjechał Rickard. Kucnął przede mną i odgarnął mi z czoła kosmyk włosów.

– Rozmawiałem z lekarką. Jedziemy do ciebie. Podrzucę cię tu z powrotem jutro rano – powiedział, wyciągając rękę. Chwyciłam ją. Była sucha i szorstka. Ciepła. Pociągnął mnie w górę i objął, a następnie poszliśmy długimi, sterylnymi korytarzami.

W domu przygotował mi kolację, a ja znowu sprawdziłam pocztę. Dostałam odpowiedź.

Przepraszam z całego serca. W żaden sposób nie chciałem sugerować, że Twoja przyjaciółka zrobiła coś moralnie wątpliwego. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Niestety to działanie było mimo wszystko konieczne.

Diabeł

Odpisałam:

Chowasz się za zgrabnymi frazesami, ale nadal jesteś mordercą. A że nie masz odwagi się do tego przyznać ani nawet napisać tych słów, czyni z Ciebie tylko mordercę, który jest tchórzem. A wiesz co się z takimi

dzieje? Popołniają błędy. Odsłaniają się przed kimś w swoim otoczeniu, a on zaczyna podejrzewać, że coś nie tak, i dzwoni do nas. Ty i ja niedługo się spotkamy. Będzie miło.

Althea

Rickard stał za mną i głąskał mnie po włosach. Przeczytał e-mail na ekranie.

– Pisziesz to, bo jesteś zła, czy to przemyślałaś?

– Właściwie jedno i drugie. Zaczynam go trochę rozumieć. Zdecydowanie da się na niego wpływać.

– Jak myślisz, co zrobi?

– Chcę, żeby przyznał się do udziału w bardziej bezpośrednich słowach. Ale przede wszystkim chciałabym, żeby poprosił mnie o spotkanie.

Rickard przekreślił biurowy fotel o pół obrotu i wręczył mi kieliszek wina.

– Żeby ciebie też mógł zamordować?

Uśmiechnęłam się.

– Nie, żebyśmy mogli go zgarnąć w tak brutalny sposób, jak to możliwe.

– Oho, kiedy stałaś się taka żądna zemsty?

– Kiedy dobrał się do Emelie.

– Okej, punkt dla ciebie. Ale teraz zostaw tego mordercę swojemu losowi, a my idziemy coś wszamać.

Zjedliśmy makaron z krewetkami tygrysimi usmażonymi z chili i czosnkiem. Rickard podkreślił, że pochodziły z hodowli ekologicznej. Prosta i pyszna kolacja.

– Jak się czujesz? – spytał, kiedy już zjedliśmy i syczyliśmy resztę wina.

– Co masz na myśli?

– Ech, daj spokój! Dokładnie to samo pytanie zadawałem każdemu członkowi swojego zespołu, który właśnie widział, jak postrzelono jego najlepszego przyjaciela czy współpracownika.

Zaśmiałam się z lekkim zakłopotaniem.

– Cóż, trzeba przyznać, że pewnie bywało lepiej. Cała ta sprawa od początku była frustrująca. Mam poczucie, jakbym w ogóle nie zrobiła nic dobrze.

– Na pewno zrobiłaś. Z tego, co słyszałem, nie miałaś najlepszych warunków pracy.

– Owszem, nie.

– Widziałem, jak się dzisiaj zachował Lennart. – Rickard westchnął i położył łokieć na oparciu krzesła. – Nie wiem, co się, u diabła, z nim stało. Dlaczego przestał słuchać.

– Tak bardzo chciałby uzyskać rezultaty, że postanawia ignorować kwestie i osoby, które komplikują obraz. Przypuszczam, że zaczął wątpić we własne umiejętności. Że zaczyna czuć się staro. Zastanawiam się, czy serce nie zaczęło mu znowu szwankować. Bardzo często łapie się za pierś.

Rickard popatrzył na mnie z zafascynowaniem.

– Rozumiem, dlaczego Lennart może cię nie znosić. Wiele się przed tobą nie ukryje.

– O to, to!

– Porozmawiam z nim. Kristina jest na niego strasznie wkurzona. Otwarte okazywanie ci pogardy na dzisiejszym spotkaniu nie było zbyt mądre.

– Nie, ale jak już mówiłam, nie sądzę, że ma coś przeciwko mnie osobiście. Szyki krzyżują mu wszyscy młodszy i bardziej dynamiczni niż on.

– Pewnie masz rację. Według mnie nie musisz specjalnie się przejmować, że Lennart cię odsunął. Policja potrzebuje cię przy tym śledztwie. Byłoby w porządku, gdybym się trochę wmieszał? Nie dlatego, żebyś nie umiała sobie poradzić sama. – Lekko machnął obracającą się dłonią i wykonał na siedząco dworski ukłon.

Nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu.

– W porządku.

Umyliśmy naczynia i położyliśmy się do łóżka. Rickard podejmował drobne próby zbliżenia, ale nic sobie z nich nie robiłam. Powiedziałam, że jestem śmiertelnie zmęczona. W rzeczywistości miałam w ciele nadal tak wiele adrenaliny, że byłam całkowicie rozbudzona. Sama nawet nie potrafiłam określić, dlaczego akurat teraz czuję do niego taki dziwny dystans. Kiedy usłyszałam jego spokojny oddech, wymknęłam się z powrotem, żeby sprawdzić pocztę. Zgodnie z przewidywaniami dostałam odpowiedź.

Altheo!

Frustrujesz mnie. Staram się, żebyś zrozumiała. Pozwól, że wyjaśnię. Kryje się w tym dużo więcej, niż ci się wydaje. Więcej pieniędzy, więcej wszystkiego. Chciałbym, żebyśmy poszli na piwo do Debasera przy Slussen. Nie mogę przecież raczej ani się na Ciebie zaciąć, ani Cię zastrzelić tam przy barze, prawda? Pojutrze, około dziewiątej. Będę mieć goździk w butonierce... ;-)

Diabeł

Uśmiechnęłam się. Jak to miło mieć rację.

Do zobaczenia.

Althea

Wróciłam do sypialni. Stałam przez chwilę i myślałam o Emelie. Patrzyłam w ciemność. Płakałam.

W sobotę wczesnym rankiem siedziałam obok szpitalnego łóżka Emelie z pudełkiem najbardziej luksusowych pralinek, jakie udało mi się znaleźć w Pressbyrån. Pod jej pokojem siedział policjant. Popatrzył z powagą na mój dowód i dopiero potem mnie wpuścił.

– Dzień dobry! – przywitała się Emelie, gdy się obudziła i mnie zobaczyła. – Niezłą miałyśmy wczoraj imprezkę, no nie? Koszmarne boli mnie głowa.

– No, co prawda wiem, że nie lubisz treningów, ale to chyba dość ekstremalny sposób, żeby się wymigać?

Zaśmiała się i złapała za udo.

– Auuu! Trochę szacunku dla mojego cierpienia, bardzo proszę!

– Dużo szacunku i mnóstwo czekoladek na pocieszenie – odpowiedziałam, kładąc pralinki na stoliku nocnym.

– Domyślam się, że postrzelono mnie z powodu włamania do banku. Ten sam typ?

– Na to wygląda. Dostaniesz na najbliższe dni policyjną eskortę. Zobaczmy, może uda mi się wytrzasnąć młodszego i bardziej czarującego modela niż ten, który siedzi teraz pod drzwiami.

– Ależ dziękuję, zawsze marzyłam o przystojnym ochroniarzu.

– Lekarze mówili, czy to bardzo poważne? – Skinęłam w stronę jej obandażowanego uda.

– Twierdzą, że to nic takiego. Żaden mięsień nie został uszkodzony czy coś tam. – Jęknęła, próbując ruszyć nogą. – No cholera... Strasznie boli.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu. Chciało mi się płakać z ulgi, że tak dobrze się to skończyło. Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdyby zabójca wycelował lepiej.

– Co teraz zrobisz? Ciągłe jesteś odsunięta od śledztwa? – spytała Emelie, dłubiąc w czekoladce, po czym odłożyła ją bez spróbowania.

– Chyba tak. Zobaczymy. Jadę tam teraz, żeby zeznać, co nam się wczoraj wydarzyło.

– W sobotę?

– No... Dni tygodnia nie mają większego znaczenia w tak poważnym śledztwie.

– Okej, zadzwoń, jak się czegoś dowiesz.

– Zadzwonię.

Kiedy przyszedłam, na komendzie był niezły kocioł. Zespół techniczny chciał mnie zabrać na Roslagsgatan i odtworzyć, gdzie poprzedniego wieczoru stał napastnik. Gabriel chciał mnie wciągnąć do siebie, żebym złożyła zeznania. Andreas chciał wiedzieć, jak się czuje Emelie. Obok nich wszystkich przecisnął się Rickard.

– Ja tu mam fory – oświadczył, po czym wziął mnie lekko za ramię i zabrał od zaskoczonego Gabriela. – Idziemy na spotkanie – wyjaśnił tylko.

Pojechaliśmy windą do znacznie spokojniejszych pomieszczeń niż te, które zostawiliśmy. Minęliśmy sekretarkę, która uśmiechnęła się szeroko, gdy Rickard przechodził obok, i skinęła w kierunku gabinetu znajdującego się w głębi. W środku siedziała komendantka obecna wczoraj na zebraniu – Kristina.

– Dziękuję, że przyszliście. Siadajcie.

Zajęliśmy wszyscy miejsca na jasnobieżowej sofie obok dużego okna. Na zewnątrz znajdował się szary jak zwykle świat.

– Althea, chciałabym tylko podziękować, że udało ci się wytrzymać nieprzyjemności ze strony Lennarta. Odbylaś rozmowę z Rickardem. Lennart został odsunięty. Jest bardzo dobrym policjantem, który z jakiegoś powodu stracił rezonans. Przeanalizowałam wszystkie aspekty tej sprawy. Dowodzenie przejmie Rickard. Włączyliśmy Centralny Wydział Kryminalny, żeby przyjrzeć się bliżej kradzieży danych. Rickard ocenia, jakiego potrzebujemy od nich wsparcia. Chcemy też oczywiście przywrócić cię do pracy.

– Dziękuję – odpowiedziałam.

– Chcesz zachować zespół wybrany przez Lennarta czy dokonać jakichś zmian organizacyjnych?

Domyśliłam się, że w ten elegancki sposób wyraża zrozumienie, dlaczego Lennart w ogóle przydzielił mi ten zespół. Ku własnemu zdziwieniu odpowiedziałam:

– Nie, chciałabym nadal pracować z tym zespołem.

Kristina wyglądała na zaskoczoną.

– W porządku. Niech tak będzie. Proponuję, żebyście przenieśli się z piwnicy do jakiegoś wspólnego gabinetu, o ile tylko bezwzględnie nie chcielibyście tam zostać?

– Bardzo chętnie się przeniesiemy.

– Ponadto powinnaś wiedzieć, jak bardzo cenię twoją pracę, i mam nadzieję, że wiesz, iż zachowanie Lennarta bynajmniej nie jest reprezentatywne dla korpusu policji.

Nie byłam pewna, co powiedzieć. Cała ta sytuacja coraz bardziej przypominała wizytę u dyrektora, choć bardzo sympatycznego dyrektora, do którego miałam wielki szacunek. Rickard i Kristina rozmawiali jeszcze przez chwilę, a potem podziękowali sobie i poszliśmy.

– W porządku? – spytał Rickard, gdy z powrotem znaleźliśmy się w windzie.

– Jasne. – Tak przynajmniej sądziłam.

Zjechaliśmy do nowego gabinetu, dużego narożnego pokoju, który był prawie pusty, jeśli nie liczyć ogromnej tablicy, która pokrywała całą ścianę, i kilku stojących pośrodku krzeseł. Chwilę po nas przyszła Tova, niosąc tekturową podstawkę z pięcioma kubkami latte i dużą torebkę pachnącą cynamonowymi bułeczkami.

– Z kawą w dłoni lepiej się myśli. Althea mnie tego nauczyła – oznajmiła.

Przyszedł do nas Gabriel, który uśmiechnął się do mnie z lekkim zakłopotaniem, a następnie Gösta i Mattias. Wszyscy usiedli na krzesłach i zabrali się do jedzenia. Po chwili zabrał głos Rickard:

– Lennart z kilku powodów został na stałe wyłączony z tej sprawy i zawieszony na czas, w którym sąd dyscyplinarny zbada sposób, w jaki kierował śledztwem. Jego reprezentanci przeprowadzą z wami wszystkimi rozmowy. Udzielcie im wszelkiej pomocy. Pod żadnym pozorem nie chcę słyszeć jakiegoś syfu wylewanego po korytarzach na Lennarta. Tyle szacunku wszyscy jesteśmy mu winni, prawda?

Wszyscy poważnie pokiwali głowami. Rickard ciągnął:

– Przejmuję śledztwo ze skutkiem natychmiastowym i prowadzę je do momentu, w którym ujmujemy sprawcę. Proponuję następujący plan działania – analizujemy znane dowody w porządku chronologicznym. Próbuje my nowo ocenić wszystkie informacje. Na tej tablicy nie ląduje nic, czego nie jesteśmy stuprocentowo pewni. – Spojrzał na zegarek. – Po lunchu przyjeżdża do nas Centralny Wydział Kryminalny, żeby otrzymać raport. Możemy wcześniej zorganizować parę stołów i krzeseł?

Wszyscy ponownie skinęli.

– Mam mały drobiazg – odezwał się, machając wydrukiem e-maila. – Zabójca chce mnie jutro zaprosić na drinka.

Gabriel ze śmiechu zakrztusił się kawą, ale gwałtownie zamilkł, gdy zorientował się, że mówię poważnie.

– Cholera jasna! – rzekł Rickard, gdy przeczytał e-mail. Rano wyszedł wcześniej ode mnie, więc nie zdążyłam mu nic powiedzieć. Wyciągnął telefon.

– Anders, możesz wziąć ze sobą Jannego z Sił Specjalnych, jak będziesz się tu wybierać? Organizujemy jutro spotkanie z zabójcą. – Rickard zaśmiał się z odpowiedzi, której nie słyszeliśmy, i się rozłączył.

– Napisał „pojutrze”. Po co umawiać się na spotkanie z takim wyprzedzeniem? – spytał Gabriel po przeczytaniu wydruku. – Musi się przecież spodziewać, że do tej pory zdążymy się przygotować. Dlaczego nie jak najszybciej?

– Albo jest tak pewny, że nie mamy na niego żadnych dowodów i rozumuje na chłodno, że i tak nie możemy go zatrzymać, albo też jest człowiekiem i idzie dzisiaj do lekarza, odwiedza starszą matkę czy coś takiego – odpowiedział Mattias.

– Jakoś nadal nie rozumiem – wymamrotał Gabriel, nieprzyzwyczajony do otrzymywania wyjaśnień ze strony dwudziestoletniego studenta z włosami sterczącymi we wszystkie strony i przekrzywionym krawatem z włóczki.

– Najlepiej od razu zabierajmy się do pracy – zakończył Rickard, rzuciwszy okiem na zegarek.

Wszyscy powstawali i zaczęła się gorączkowa aktywność. Gabriel, Gösta, Mattias i Tova wnosili stoły, segregatory, komputery i krzesła. Ja i Rickard usiedliśmy w spokoju w kącie pomieszczenia.

– No dobra, zacznij od początku. Co się stało, kto to jest?

Zastanawiałam się przez chwilę, po czym stanęłam przy tablicy.

– Zaczęło się od włamania do banku. Włamania, które przyniosło co najmniej dziesięć milionów koron osobie o pseudonimie „Case”. Potwierdziliśmy, że pieniądze wędrowały na kilka anonimowych kont numerycznych w tym samym monakijskim banku, w którym pracował Daniel van der See.

– Możemy liczyć na pomoc z Lindsteina?

– Nie sądzę. Wydają się bardzo zdecydowani, żeby utrzymywać włamanie w tajemnicy.

– Okej, czyli jak najszybciej musimy umówić się na słówko z bankiem. – Zapisał parę linijek w swoim notesie na spirali. Spojrzał na mnie. – I wtedy Pontus odkrył włamanie?

– Tak. I został zastrzelony w jakimś zaułku w środku nocy. Standardowa egzekucja, pistolet przyłożony do skroni.

– Okej, odważny ruch jak na hakera. Jakie są na to rzeczywiste dowody? – Rickard podrapał się długopisem w głowę.

– Chat, w którym Case oświadcza, że dosłownie odstrzelił Pontusowi łeb. Rozmowę skasowano, ale Emelie udało się ją odzyskać.

– Dobra jest w te klocki. Zrobiła na Andreasie wielkie wrażenie.

– Myślę, że jest jedną z najlepszych osób w branży.

– A jak się trzyma?

– Dzwoniła chwilę temu i właśnie dostała od Fredrika Hesslowa z banku ogromny bukiet kwiatów, więc myślę, że jest w dość dobrym humorze. To dość niewiarygodne, ale strzał ominął większe mięśnie i tętnicę, więc już wkrótce wydobrzeje, ale pewnie jeszcze długo będzie ją bolało. Ale przeżyła i to jest najważniejsze.

– Poproś, by przyszła, jak tylko będzie w stanie.

– Jasne.

– I co się stało potem?

– Dwa kolejne zabójstwa w krótkim odstępie czasu. Nie upłynął nawet tydzień. Drugi był Rönndahl. Z tego, co wiemy do tej pory, brak jakiegokolwiek powiązania z bankiem, Pontusem i kolejną ofiarą. Jak już mówiłam, van der See pracował w banku, do którego udało się dotrzeć chłopakom Emelie, więc tutaj też mamy ślad jakiegoś motywu. Niemniej jestem pewna, że morderca znał Rönndahla albo przynajmniej wiedział, kim jest. W przeciwnym razie nie włożyłby mu do ust karty tarota, która tak wyraźnie zgadzała się z jego zawodem.

– „Sprawiedliwość”, jeśli dobrze pamiętam. Karty tarota? Są istotne?

– Nie, nie sądzę. Stanowią pewnie tylko sposób Case’a na to, żebyśmy koncentrowali się bardziej na nich niż na związku z bankiem. Myślę, że w jego zamierzeniu tak ślepo mamy się skupić na tropie seryjnego mordercy, żeby zdążył usunąć wszystkie powiązania z kradzieżą danych.

– Gdyby nie ty i Emelie, toby mu się udało.

– To prawda.

– Co jeszcze?

– Cóż, o próbie zabójstwa Emelie już wiesz. I o e-mailach.

– Tylko Emelie próbował zastrzelić czy ciebie też? – Rickard odchylił się na niewielkim twardym krześle i popatrzył na mnie badawczo. Odgarnął z czoła długą jasną grzywkę.

Mój żołądek zrobił małe salto. Niech mnie, uwielbiam tego faceta. Nie mogę go stracić i muszę z nim poważnie porozmawiać. O różnych sprawach. Wciąż nie powiedziałam mu o pracy w Nowym Jorku. Ale nie dziś wieczorem, bo idę na kolację z mamą i tatą. Może jutro.

– Chyba tylko Emelie. Kiedy ją postrzelono, a ja wносиłam ją do sklepu, stanowiłam doskonały cel przez kilka długich chwil. A on nie strzelił.

– Albo coś mu przeszkodziło. Chciałbym, żebyś ty też miała od teraz ochronę. Wezmę to na siebie. – To ostatnie wypowiedział nieco ciszej i z szerokim uśmiechem.

– Cóż, takiego ochroniarza nie odmówię...

Rickard dopisał coś w swoim notatniku. Spojrzał na mnie.

– Jakie masz wnioski na temat tego faceta?

Usiadłam i owinęłam się ciasniej zrobionym na drutach swetrem.

– To motywowany chęcią zysku seryjny morderca, który zabija, by ukryć włamanie do banku. Jest gotowy dosłownie na wszystko, aby zabezpieczyć dotychczasowy styl życia. Ma około dwudziestu pięciu lat. Jako haker interesuje się grami, ale to nie ten społeczny typ, o którym myślisz w pierwszej chwili. To dość towarzyski koleś i na pewno gra w wiele różnych gier online, przy których spotyka innych ludzi. Lubi science fiction. Twórczość Williama Gibsona to nie jest pierwsza książka z nurtu fantastyki naukowej, którą czytasz i się pasjonujesz. Ma dobrą pracę, być może jako kierownik projektów technicznych, programista czy architekt systemów IT. Zachowuje się arogancko, bo jest sprawniejszy i bardziej poważany w internecie niż w prawdziwym życiu. Nie może powstrzymać się przed wyda-

waniem pieniędzy otrzymywanych z banku, ale z pewnością znalazł dobrą wymówkę, jak nagle stać go na superdrogi zegarek i nowy samochód. Bynajmniej nie jest głupi. Arogancki, emocjonalnie chłodny, żądny władzy i zdeterminowany.

– Jest psychopata?

– Nie jest. Wie, że to, co robi, jest złe, ale przekonuje samego siebie, iż robiąc to, co robi, ma rację. Napędza go chciwość. Ale nie pożąda jedynie pieniędzy. W równym stopniu pragnie władzy i prestiżu. Szacunku. Z powodzeniem wmówił samemu sobie, że na nie zasługuje.

– Jak zareaguje? Co zrobi w kolejnym ruchu?

Tova podeszła do nas i delikatnie poklepała Rickarda po ramieniu. Wyglądała na lekko zszokowaną.

– Wszystkie dokumenty dotyczące sprawy zostały usunięte z systemu informatycznego.

Rickard obrócił się na krześle.

– Wszystkie?

– Wszystkie. Wszyściuteńkie. Sto procent. W folderze znaleźliśmy tylko plik z Worda. – Podała mu białą kartkę.

Serdecznie pozdrawiam, Case

– To wszystko?

– Tak.

Rickard zaśmiał się i przeczesał dłonią włosy.

– Bezczelny jest.

– No... – mruknęła Tova.

– Wiecie, co to jest? – spytałam.

– Nie – odpowiedzieli chórem.

– To pierwszy niezaprzeczalny dowód, że Case i Diabeł to ta sama osoba. Usunął przecież wszystkie pliki dotyczące tej sprawy, no nie? I nazwał samego siebie „Case”. To oznacza, że nie dba już o ukrywanie faktu, iż seryjne morderstwa i kradzież danych się ze sobą wiążą.

– Ale po co miałyby się do tego przyznawać? Nie kumam tego. – Mattias podrapał się po głowie.

– Moim zdaniem on się raczej nie przejmuje, co wiemy, o ile tylko jest przekonany, że nie możemy zdobyć dość dobrych dowodów dla sądu. Jeśli go oczywiście schwytamy. Myślę nawet, że nasza wiedza to dla tego typu bodziec. Chwali się.

– Miejmy nadzieję, że będzie tak dalej, aż da nam wystarczające dowody do procesu – powiedział poważnie Rickard. – Istnieją kopie zapasowe dokumentów? – zwrócił się z pytaniem do Tovy.

– Spytałam Andreasa. Powiedział, że istnieją kopie wszystkich plików, ale ich przywrócenie chwilę zajmie.

Rickard potarł się po twarzy, pokręcił głową i się zaśmiał.

– Dobra, to powyciągajcie wszystkie kable sieciowe w tym pokoju, żebyśmy mogli zjeść lunch. Potrzebuję jedzenia, żeby dalej myśleć.

– Typowy facet – stwierdziłam.

Kiedy wychodziliśmy z Kryminalnego, zadzwonił mój telefon. Była to Emelie, którą wypisali ze szpitala. Spotkała się ze mną i Rickardem w restauracji. Kuśtykając, o kuli i nieco blejsza niż zwykle, ale poza tym w dość dobrym stanie. Chociaż zła jak osa. Z tego powodu, że ją postrzelono i że ktoś nocą próbował włamać się do komputerów Infosecu. Nie dostali się do nich, ale i tak udało się im sporo zniszczyć. Humor jej się nie poprawił, gdy usłyszała o ostatnim wyczynie Case'a w policyjnym systemie informatycznym.

– Co za paranoja! – wykrzyknęła.

– Nie rozumiem, jak on się tam w ogóle dostał. Mamy bardzo szczelny system zabezpieczeń. Żeby mu się udało, musiał być chyba kimś z policji – powiedział Rickard.

– Wcale nie. To znacznie łatwiejsze, niż ci się wydaje. Nawet w przypadku policji.

– Nie wierzę.

– Mam udowodnić?

– Bardzo proszę, o ile nie masz zamiaru złamać prawa.

– Dobra. – Emelie odsunęła resztki omletu i uśmiechnęła się półgębkiem. – Na stronie Infosecu znajduje się do ściągnięcia mały program, którego używamy do testowania bezpieczeństwa klientów. Jest zupełnie nieszkodliwy. Wygląda jak program zabezpieczający, ale instaluje się wraz z nim drobna funkcja, która umożliwia wysłanie do

mnie e-maila od właściciela komputera. Gdyby to naprawdę było malware, to znaczy złośliwe oprogramowanie, pozwoliłoby zamiast tego na zainstalowanie niewielkiego programu, który daje mi pełny dostęp zdalny do komputera, chociaż tego nie widać.

– Można to zrobić?

– Tak, i poważniejsze rzeczy. Gdyby mi się udało zainstalować ten program na komputerze jakiegoś pracownika komendy przy użyciu wyłącznie telefonu i oficjalnej strony policji, co wtedy dostanę?

– Kolację i mój dozgonny podziw. Ale ci się nie uda!

– No to poczekaj. – Emelie otworzyła na komputerze stronę policji i zaczęła czegoś szukać wśród ogłoszeń o pracę i informacji dla prasy.

– Nie umieszczamy na stronie bezpośrednich numerów.

– Jasne, że umieszczacie. Spójrz. – Emelie odwróciła komputer w stronę Rickarda. – Jeśli ogłaszacie wakat, trzeba przecież podać, z kim się kontaktować, prawda?

– Ach, tak. Nie pomyślałem o tym. – Rickard wyglądał tak, jakby się szczerze zaniepokoił.

Emelie pogrzebała jeszcze chwilę i wyciągnęła telefon. Włączyła głośnik. Najpierw zadzwoniła do recepcji.

– Policja. W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, mam na imię Emelie. Jestem tu nowa i nie wiem, czy możesz mi pomóc. Trochę mi głupio. Nie mogę znaleźć swojego szefa, a nie udaje mi się ogarnąć, jak działają telefon i poczta e-mail. Jest jakiś dział IT, z którym mogłabym się skontaktować?

– Oj, biedna. Wiem, jak to jest! Możesz porozmawiać z Thomasem Perssonem ze wsparcia technicznego. Chętnie ci pomoże. Powołaj się na Gittę i powiedz, że cię do niego skierowałam. Przełączę cię.

– Wielkie dzięki.

Emelie rozłączyła się, kiedy usłyszała sygnał połączenia. Wybrała inny numer, który znalazła w jednym z ogłoszeń o pracę, i teraz dzwoniła bezpośrednio do szefa administracji.

– Z tej strony Anders.

– Hej, Anders! Mam na imię Emelie i dzwonię ze wsparcia technicznego. Mamy problem z wirusem. Czy twój komputer działa?

– Hej! Czekaj, sprawdzę. Tak, działa.

– Uff, do dobrze. To mój dopiero trzeci dzień w pracy, a cały system może się zawalić! A jak tak się stanie, Thomas nie będzie ze mnie zadowolony!

Śmiech po drugiej stronie linii.

– Tak, wiem, jak to jest.

– Nawet jeśli miałbyś wirusa i komputer by padł, musiałbyś poczekać do popołudnia. Od dostawcy, firmy Infosec, dostaliśmy już pewien program, który rozwiązuje problem. Zadzwonię tylko najpierw do Täby, a potem z powrotem się z tobą skontaktuję i zainstaluję aktualizację zabezpieczeń, żeby ochronić twój sprzęt przed zainfekowaniem. Stwórz tylko kopie zapasowe wszystkich plików. Nie wiem, jak bardzo wirus się rozprzestrzeni, gdyby pojawił się u ciebie przed aktualizacją.

– No nie, to absolutnie niedopuszczalne. Mam tutaj tyle ważnych dokumentów, że nie mogę ryzykować utraty kogoś z nich. Nie będę tu przecież siedzieć i czekać, aż wirus zainfekuje komputer, prawda?

– Rozumiem, ale dostałam polecenie, żeby zacząć aktualizację zabezpieczeń od Täby...

– Słuchaj, mogę porozmawiać z twoim szefem. Jak on się nazywał?

– Thomas Persson, ale nie, wiesz co, poradzimy sobie. Właściwie nie wolno mi tak robić, ale zamiast do ciebie odzwaniać mogę przejść z tobą szybką instalację przez telefon. Zajmie to tylko pięć minut. Możemy?

– W porządku. Co mam robić?

Emelie poinstruowała go przez telefon, żeby wszedł na stronę Infosecu, a on posłusznie ściągnął program i go zainstalował.

– Nic się nie dzieje.

– Bo to tylko aktualizacja zabezpieczeń, więc nie widać jej na komputerze. Wszystko jest jak trzeba. Twój komputer jest teraz bezpieczny.

– Dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co.

Piknął mały blackberry Emelie. Właśnie otrzymała e-mail od szefa administracji w Sollentunie. A raczej z jego komputera. Rickard tylko pokręcił głową i zaśmiał się z rezygnacją.

– To jakieś wariactwo! Tak łatwo?

– I zupełnie po ludzku. Z mojej strony to była kiepska robota. Zwykle, zanim zrobię coś takiego, dzwonię w różne miejsca i zdobywam więcej informacji, dowiaduję się, na jakim serwerze ktoś pracuje i tak dalej, bo inaczej bardzo łatwo mnie wykryć.

– Nadal jestem w ciężkim szoku.

– To się nazywa „socjotechnika”. Manipulowanie ludźmi, a nie komputerami. Hakerzy często pracują w ten sposób, żeby uzupełniać zwykłe ataki komputerowe. To najczęściej szybsze i bardziej efektywne.

– Masz kolację.

– A dozgonny podziw? – Emelie uśmiechnęła się krzywo.

– Też!

Wróciliśmy do naszego nowego gabinetu, a Emelie udała się do Andreasa. Towarzyszyło mi poczucie, że to nowy początek. Bardziej niż kiedykolwiek musieliśmy działać zespołowo – do tej pory dochodziło do zabójstw w odstępkach pięciu czy sześciu dni. A nawet krótszych, jeśli wziąć pod uwagę próbę zamordowania Emelie. Rozbolała mnie brzuch na samą myśl, że mógł jeszcze nie zabić swojej ostatniej ofiary. Jakkolwiek z pozoru Rickard wydawał się nastawiony pozytywnie, wiedziałam, że on oraz wszystkie inne osoby zaangażowane w tę sprawę zaczynają wpadać w panikę. Mieliśmy zbyt mało danych, na których można było się oprzeć. Gazety i telewizja spekulowały bez opamiętania. Upór i głupota Lennarta dodatkowo opóźniły rozwiązanie sprawy. Gdy dochodziło do kolejnych zabójstw, wydawało się, że to nasza wina. Mogliśmy powstrzymać tego typu dawno temu. Nie. To jednak nieprawda. Jeśli okazałby się taką osobą, jaką podejrzewałam, niezwykle trudno było go rozgryźć. Mordował dla zysku. Oznaczało to, że nie żywi żadnej emocjonalnej potrzeby ani nie ma rytuału, które wystawiałyby go na ciosy. Kiedy spełni swoje zamierzenia, najwyczejajniej w świecie przestanie zabijać i wróci do normalnego życia. Seryjny morderca, który zabija, by spełnić fantazję, robi to do pewnego stopnia dlatego, że musi, posuwa się dalej, nie może skończyć, co oznacza, że gdzieś po drodze popełnia zbyt wiele błędów i wpada. Niemniej istnieje możliwość, że ten typ ujdzie wolno. Że nigdy go nie złapiemy. Czy w takim razie Emelie będzie mogła kiedykolwiek czuć się bezpiecznie? Była taką twarzą dzielką. Kompletnie zwariowaną, ciepłą, niezwykle inteligentną, lekko roztrzępaną, cudowną kobietą. Miała wszystko, czego można oczekiwać od najlepszej przyjaciółki. Zadrzałam i owinęłam się ciasno swetrem.

Przed rozpoczęciem spotkania Gościa odprowadził mnie na bok.

– Chciałbym tylko podziękować za dalsze zaufanie, ale moja emerytura...

– Rozumiem – odparłam. – Nie musisz jej odkładać. Tylko bądź dzisiaj obecny i dopilnuj, żeby Gabriel i Tova dowiedzieli się wszystkiego, co wiesz ty, a już jutro zostaniesz wyłączony. Wielkie dzięki za pomoc.

– Dziękuję, ale chyba za bardzo się nie przydałem... – Zrobił bezradny gest dłonią.

– Oczywiście, że się przydałeś. Na przykład plan z biskopem zmienił wszystko o sto osiemdziesiąt stopni – powiedziałam z uśmiechem.

Gościa wyglądał ostatecznie na dość zadowolonego. Ucisnął mi rękę, po czym usiedliśmy z powrotem przy stole.

– Może to i dobrze, że straciliśmy wszystkie materiały. Dzięki temu mamy szansę zacząć jeszcze raz – odezwał się Rickard, gdy uspokoiło się początkowe zamieszanie. – Najpierw spiszmy, co już wiemy, a czego nie. Co potrafimy udowodnić, a co musimy zbadać bliżej. Kto chce zacząć? Jakież pomysły?

– W jaki sposób morderstwo Rönndahla wiąże się z Case'em i bankiem? – zapytał Gabriel.

– Dobre pytanie – odpowiedziałam. – To jedyna osoba, której prostego powiązania jeszcze nie odkryliśmy.

Tova wyrwała się z miejsca i zabrała do pisania po tablicy. Rozkręciła się burza mózgow. Po jakimś czasie tablica była kompletnie zamazana. Na koniec rozdzieliliśmy obszary odpowiedzialności i zadania, a następnie wszyscy poznikali u siebie poza mną i Rickardem, bo razem mieliśmy wziąć udział w spotkaniu z Centralnym Wydziałem Kryminalnym. Doprowadziliśmy salę do porządku oraz przynieśliśmy kawę i wodę Loka. Dokładnie o trzeciej do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn. Jeden wyglądał jak wyjęty żywcem z ogłoszenia zamieszczonego przez Szwedzkie Stowarzyszenie Przyjaciół Natury. Był ubrany w ciemnozielony sweter i czarne chinosy oraz miał krótko przycięte, rozczochrane srebrnoszare włosy i ręce w kieszeniach. Drugi zaś przypominał pierwszego z brzegu konsultanta na wyższym szczeblu. Elegancki ciemnoszary garnitur. Szare skronie, intensywnie niebieskie oczy i całkiem czarujący uśmiech. Konsultant przedstawił się wraz z mocnym uściskiem dłoni jako Michael Karlsson, kierownik projektów z Centralnego Wydziału Kryminalnego. A facet niczym z ogłoszenia miał na imię Janne i był szefem Narodowych Sił Specjalnych.

Przedstawiliśmy im sprawę od początku do końca. Zdecydowano, że włączymy Policyjną Sekcję Finansową z Centralnego, a Andreea i zespół techniczny odciążą dobry technik IT z Sekcji ds. Przystępności Komputerowej.

– Więc jak mielibyśmy wam pomóc? – spytał Janne z Sił Specjalnych.

– Chcielibyśmy, żebyście chronili Altheę, a potem zatrzymali zabójcę. Umówił się z nią na spotkanie w Debaserze przy Slussen jutro o dwudziestą pierwszą. – Rickard położył na stole wydruki korespondencji e-mailowej między mną a Case'em.

Janne czytał, gładząc się po zaroście.

– Debaser, co to za miejsce?

– To klub rockowy położony pośrodku kompleksu ulic w okolicach Slussen, w pobliżu kanału. Byłem tam kilka razy, ale tylko latem, kiedy wypełnili niewielki placyk nad wodą stolikami, wielkimi parasolami i barem. Grali mnóstwo muzyki na żywo.

– Duży? Mały?

– Średni. Często jest tam dużo ludzi.

– Trudne, ale oczywiście damy radę. W zależności od tego, za jak psychicznie niestabilnego go uznasz, możemy być zmuszeni zmienić miejsce. Nie możemy pozwolić, żeby tam strzelał.

– W zasadzie wydaje mi się, że jest na tyle stabilny, że ta myśl nawet nie przyjdzie mu do głowy – odpowiedziałam.

Janne znowu pogładził się po zaroście.

– To może być zarówno wada, jak i zaleta. Wyślę tam zespół na rekonesans, więc może skontaktujcie się z nami jutro, żebyśmy już przyklepali plan? – Spojrzał na Rickarda, który skinął głową.

– Oczywiście.

Janne zwrócił się do mnie:

– Jak myślisz, dlaczego chce się z tobą spotkać? Co zamierza?

– Sprowokowałam to spotkanie. Chce zyskać mój szacunek, wytłumaczyć się. Chce mnie przekonać do uznania, że nie miał wyboru. Istnieją dwa możliwe scenariusze. Pierwszy jest taki, że to wołanie o pomoc i wówczas skłonimy go, aby sam oddał się w ręce policji. W drugim scenariuszu czuje się tak niezwyrodniony, tak absolutnie pewny, że nic na niego nie mamy, że może porozmawiać ze mną bez ujawniania czegokolwiek, a następnie odejść, spokojnie mijając policjantów, bo doskonale wie, że tam będą. Ostateczne upijanie się władzą. Istnieje w sumie jeszcze trzeci scenariusz: zdaje sobie sprawę, jaki to głupi pomysł, i w ogóle nie przychodzi.

Janne się uśmiechnął.

– Rozumiem. Do zobaczenia jutro.

Podziękowaliśmy i pożegnaliśmy się z Jannem i Michaelem. Przez pozostałą część dnia zespół miał pełne ręce roboty. Około szóstej musiałam już iść na kolację z mamą i tatą, którą przez cały dzień niemal udało mi się wyprzeć. Zakłęłam. Nie miałam ochoty się z nimi spotykać. Wolałabym zostać i pracować z zespołem i Rickardem oraz bardzo, bardzo mocno chciałabym wrócić z nim do domu. Muszę z nim porozmawiać i przeprosić, że ostatnio byłam do niego zbyt bojowo nastawiona. Wychodziłam już na autobus, kiedy Rickard zatrzymał mnie w drzwiach.

– Żadnych samotnych spacerów po zmroku – oświadczył, tak że do restauracji musiałam jechać z ochroną.

Restauracja Wasahof była prawie całkowicie wypełniona. Minimalistyczne czarne stoliki, białe obrusy i świece rozciąły szczególną atmosferę, pełną prostoty i piękna. Zachwycające malowidła ściennie w ciepłych kolorach inspirowane twórczością Bellmana jarzyły się w blasku płomieni. W lokalu panował harmider i rozbrzmiewał śmiech. Mama i tata znaleźli już stolik i pomachali do mnie, kiedy weszłam do środka. Zostawiłam płaszcz w szatni i dołączyłam do nich. Siedzieli na samym końcu sali. Wymieniliśmy serdeczne uściski i zajęliśmy miejsca.

– Cudownie cię widzieć, *Mina-ya!* – Mama odgarnęła mi kosmyk włosów i się uśmiechnęła.

– Ciebie też, *umma* – odpowiedziałam. – Jak podróż?

– Okropnie. Jak zwykle. Nienawidzę latać!

Tata się zaśmiał.

– Gdybyś myślała bardziej pozytywnie, byłoby to zdecydowanie mniej nieznośne, i dla mnie, i dla ciebie. Twoja matka zaczęła narzekać, jeszcze zanim taksówka wyjechała z Flushing. – Poklepał ją po ręce.

Mama przewróciła oczami.

– Zamówiliście już? Co jemy?

– Oczywiście owoce morza! Mam okazję do świętowania! – wykrzyknęła mama.

– Tak?

– Kojarzysz ten duży magazyn, gdzie mieścił się targ rybny, kiedy byłeś mała? Na Trzydziestej Czwartej?

Skinęłam głową.

– W końcu zdobyłam wszystkie pozwolenia i kupiłam ten lokal, żeby przebudować go na centrum fotografii artystycznej. Rozpocniemy od wystawy poświęconej koreańskiej imigracji do Flushing w latach czterdziestych. Dostaliśmy dostęp do zjawiskowego archiwum zdjęć z tamtego okresu, które zestawimy z współczesnymi obrazami tych samych miejsc.

– Fantastycznie. A kto zapłaci za tę imprezę?

– Eee tam. Znaleźliśmy całą masę sponsorów. Nie było z tym żadnego problemu. – Przesunęła kokieteryjnie ręką po krótkim, idealnie prostym paziu.

– Sun Hi właściwie sama wyszukała zdecydowaną większość z nich. Przez ostatnie pół roku pracowała nad tym dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Super, że udało się wszystko dopiąć! Gratulacje, mamusiu!

Wznieśliśmy toast kieliszkami białego wina. Po zamówieniu wielkiego talerza owoców morza do podziału mama przez kolejną godzinę mówiła o swojej przestrzeni wystawowej. Potem opowiadała o ostatnich zdjęciach, które zrobiła dla „Times Magazine”, a następnie o ostatnich zdjęciach, które zrobiła dla „Harper’s Bazaar”. Wtedy przeprosiłam i poszłam do toalety. Byłam roztargniona i trudno mi było oderwać się od myśli o spotkaniu z Siłami Specjalnymi nazajutrz. W łazience wyjęłam telefon i zalogowałam się na pocztę e-mail. Chciałam sprawdzić, czy dostałam jeszcze jakąś wiadomość od mordercy. Nic nie przyszło. Westchnęłam, przejrzałam się w lustrze i lekko posmarowałam usta błyszczkiem. A następnie wyszłam, żeby z powrotem zderzyć się z potokiem słów mamy. Chociaż była już gotowa na zmianę tematu.

– Dosyć o mnie. Co robimy na Seollal? – spytała między jednym kęsem a drugim.

– No, ja...

– Gdybym tylko mogła pożyczyć twoją kuchnię, przygotowałabym kolację. Musimy mieć przecież cały zestaw, prawda?

Świętowanie koreańskiego nowego roku wymagało nieprzeliczonych wprost ilości jedzenia. Przeraziła mnie konieczność przebywania mamy w mieszkaniu, ale za nic nie mogłam wpaść na sposób, jak się z tego wykręcić.

– Oczywiście. Masz dla siebie całą kuchnię, *umma*. – Miałam zamiar trzymać się od tego jak najdalej. Przez cały czas. – Ale jeszcze kilka tygodni...

– Eee tam, nie zaszkodzi zrobić wszystko zawczasu!

– W porządku – odpowiedziałam z rezygnacją.

Tata spojrział na mnie z rozbawieniem i uśmiechnął się współczująco. Rozumiał.

– Dobrze! Zabrałam dla ciebie kilka nowych fantastycznych sukienek. Uszyła je moja przyjaciółka, która jest projektantką. Łączy dawne tradycje z nowymi barwami i materiałami. Pokochasz je!

Nie lubiłam, kiedy mama kupowała mi ubrania. Wykonywano je bez wątpienia z ładnych materiałów i często były wielokolorowe. Cudowne. Do powieszenia na ścianie. Albo na niej. Ale ja czułam się w nich raczej jak szmaciana lalka. Bo nie miałam lśniących i gładkich koreańskich włosów, tylko loki odziedziczone po tacie i czarny kolor po mamie. Bo miałam białą, bladą skórę w odróżnieniu od łagodnego złotego odcienia brązu mamy.

– Nie jestem pewna. Wiesz, że nie lubię...

– Pamiętasz, jak babcia uwielbiała cię w sukienkach, kiedy byłaś mała, Sang Min. Możesz chyba nosić te sukienki ze względu na pamięć o niej?

To było niskie, naprawdę niskie.

– Myślę, że Althea może zdecydować o tym sama, Sun Hi – odezwał się tata i wbił w nią wzrok.

Zauważyłam z zadowoleniem, że użył mojego pierwszego imienia, a nie koreańskiego. Mama nazywała mnie zawsze Sang Min, imieniem, które w zasadzie bardzo lubiłam, a nawet wytatuowałam je sobie na ramieniu alfabetem koreańskim. Brzmiało to jednak tak, jakby używała mojego drugiego imienia zamiast pierwszego. Ja do Emelie nie zwracałam się przecież „Gunilla”. Pomijając fakt, że by mnie zabiła, to przecież nie była tak naprawdę ona, tylko drugie imię, które dostała po babci.

– No, no. Zabiorę je do ciebie, *Mina-ya*, i jeszcze zobaczymy.

Tata stłumił uśmiech i dyskretnie przewrócił oczami w moją stronę. Ledwo się powstrzymałam od śmiechu. Podszedł kelner i dolał nam wina. Dobrze, tego potrzebowałam. W naszej rodzinie panowało napięcie niczym u Noréna.

Fioletowoniebieskie, jaskrawoniebieskie, jasnoniebieskie? Nie turkusowoniebieskie. A może lazurowniebieskie? Nie przychodziło mi do głowy właściwe słowo na opisanie koloru nieba tego poranka. Podobało mi się i w jakiś przdziwny sposób dawało nadzieję. Włożyłam ręce głęboko do kieszeni płaszczka. Było tak przeraźliwie zimno, że podczas wdychania powietrza bolały mnie zatoki. Poprzedniego dnia pogoda gwałtownie się zmieniła i zupełnie niespodziewanie temperatura wynosiła teraz jakieś minus dziesięć czy piętnaście stopni. Co najmniej. Staliśmy na dużym żwirowym placu w pobliżu szkoły policyjnej kawałek za miastem, niedaleko na północ od Hagaparken. Rickarda i mnie zabrał radiowóz, który i tak tutaj jechał. Niestety. Tak bardzo chciałabym mieć Rickarda przez chwilę tylko dla siebie. Spojrzałam na niego. Stał po drugiej stronie samochodu i śmiał się z czegoś, co mówili dwaj umundurowani policjanci, którzy nas podwieźli. Przeczesał dłonią jasne, miękkie włosy. Tęskniłam za nim całą sobą. Poza dwiema czy trzema upartymi komórkami w mózgu, które nadal uważały, że zachował się jak idiota. Cóż, pewnie tak, ale to był *mój* idiota. Ja chyba też nie byłam obiektywna ani wyrozumiała. Ech, dlaczego relacje wychodziły mi tak kiepsko?

Rickard pożegnał się z chłopakami i zaprowadził mnie do niskiego betonowego klocka znajdującego się na jednym końcu dużego przyszkolnego terenu. Janne wpuścił nas do czegoś, co wyglądało jak duży garaż. Na całej długości jednej ze ścian rozpościerało się tu ogromne graffiti, pod drugą znajdowały się stoły robocze, a poza tym czarne furgonetki, duże kosze paletowe i pięciu przerażających koleś. „Przerażający” to naprawdę jedyne słowo, które odpowiednio ich określało. Mieli na sobie czarne stroje, hełmy, obszerne kamizelki kuloodporne i mnóstwo innych cudów. Wyprostowałam się, kiedy do nas podeszli, ale poczułam się dość głupio, gdy pościągali rękawice i hełmy. Pięciu uprzejmych, normalnych koleś przywitało się z nami, uśmiechając się szeroko. Nie byli chyba jednak tacy straszni. Serdecznie witali się z Rickardem. Najwidoczniej bardzo dobrze ich znał. Nie mogłam sobie przypomnieć, żeby kiedyś wspominał o Siłach Specjalnych, ale doprawdy nie oznaczało to, że wcześniej tu nie pracował. Muszę go spytać przy jakiejś okazji.

– Przygotowaliśmy kilka różnych scenariuszy – rzekł Janne i zaprowadził nas do stołu roboczego. – Chcielibyśmy je z wami przećwiczyć.

Rickard i ja pokiwaliliśmy głowami.

– To będzie nasze najważniejsze narzędzie.

Podniósł coś w prześwitującej czarnej torebce, co wyglądało jak parodia pistoletu. Rickard uniósł brwi.

– Myślałam, że Komenda Główna nie zgodziła się na paralizatory – rzekł.

– Nie, nie zgodziła się. Na chwilę obecną. Komenda Główna poprosiła nas też jednak, aby przeprowadzić analizę, i ta sprawa wydaje się do nich wprost stworzona. – Przeniósł wzrok z Rickarda na mnie. – Nie możemy przecież pod żadnym pozorem chronić cię za pomocą broni palnej w barze, gdzie kule albo roztrzaskałyby szyby, albo odbijały się gdzie popadnie jak w automacie do gry.

– Nie, oczywiście.

– Dzięki nim możemy mieć pewność, że zdołamy unieszkodliwić sprawcę z bliskiej odległości, nawet gdy w pobliżu będą cywile.

– Ciekawe, ciekawe. – Rickard podniósł jeden z paralizatorów i zaczął obracać go we wszystkie strony.

– Taser. Pięćdziesiąt tysięcy woltów. Takiego samego modelu używa amerykańska policja – oznajmił Janne.

– Na czym polegają wasze scenariusze? – spytałam, chcąc sprowadzić rozmowę mężczyzny na inny tor.

Janne chrząknął i odwrócił się w moją stronę.

– Trzech chłopaków umieścimy wokół niego przy barze, a kilku porozstawiamy po lokalu, żeby obsadzić wszystkie trajektorie. Życzyłbym sobie, aby nie było tam w ogóle cywili, ale wiąże się z tym zdecydowanie zbyt wiele ryzyka. Nie da rady stanąć i skierować wszystkich do drzwi, bo moglibyśmy wyprowadzić jego samego i jego kompanów. Poza tym musi być ciasno, żebyśmy bez wzbudzania podejrzeń i jak najbliżej za sprawcę ustawili Petera, który w razie potrzeby będzie gotowy do użycia paralizatora.

– Okej, dobra.

– Chcielibyśmy przećwiczyć z tobą kilka różnych scenariuszy, żebyśmy wiedzieli, co się stanie, gdy na przykład spróbuje wziąć cię jako zakładniczkę. W porządku?

– Pewnie.

– Możesz być podejrzanym?

Rickard pokiwał głową z rozbawieniem. Janne wręczył mu gumowy nóż i wściekle zieloną atrapę pistoletu.

– Nie można wykluczyć, że będziemy mieli do czynienia z bronią. Zaczniemy od noża.

Wytrzaśnięto skądś cztery wysokie krzesła barowe, a my zajęliśmy miejsca przy stole. Usiedliśmy. Janne wydawał instrukcje.

– Zaczynamy od noża. Bierzesz Altheę jako zakładniczkę. Obróć ją i załóż jej ramię na szyję.

Rickard wykonał polecenie tak delikatnie, jak to tylko możliwe. Gdy tylko mnie obrócił i okręcił rękę wokół mojej szyi, oblał mnie zimny pot i nawiedziło uczucie paniki. Czy to Rickard, czy ktokolwiek inny, moje ciało i mózg pamiętały napad w kościele. Tam też morderca zaatakował mnie od tyłu. Nożem. Niemał udało mu się poderżnąć mi gardło, czego dowodziła blizna ciągnąca się po mojej szyi i piersi.

Serce waliło mi jak szalone. Nie słyszałam nic z tego, co mówił Janne. Robiłam wszystko, aby nie okazać, jak bardzo się boję. Nie chciałam wypaść na typową, przestraszoną kobietę. Nie tu. Nie teraz. Rickard zauważył, że zesztywniałam, więc rozluźnił uścisk wokół mojej szyi i zamiast tego objął mnie za ramiona. Duma kazała mi poprosić go, by przesunął rękę z powrotem, ale po prostu nie dałam rady.

– Wszystko dobrze? – spytał Rickard, nie odrywając wzroku od Jannego, który nami dyrygował.

– Jasne – odpowiedziałam, starając się, by zabrzmiało to autentycznie.

– Peter, zachodzisz sprawcę od tyłu. Althea, bardzo ważne jest, abyś spróbowała chwycić rękę z nożem i odsunąć ją od siebie, gdy Peter użyje paralizatora. Ponieważ sprawca traci kontrolę nad mięśniami, w momencie jego upadku musisz odepchnąć od siebie jego rękę, bo w przeciwnym razie zachodzi duże ryzyko, że zostaniesz ranna.

Pokiwałam głową i oddaliłam ramię Rickarda, gdy ten padał na ziemię i udawał, że go trafiono. Jego zdolności aktorskie pozostawiały wiele do życzenia, ale doprowadził mnie do śmiechu, wprowadzając trochę histerycznego, ale jednak.

– Dobrze, dziękuję. Przećwiczymy to jeszcze raz, a potem przejdziemy do następnego scenariusza.

Janne był upartym, twardym liderem. Pracowaliśmy całe przedpołudnie. Kiedy w końcu odwieźli nas z powrotem do miasta, czułam się tak, jakby ktoś mnie odwirował, a potem rozjechał walcem. I tak też pewnie wyglądałam, jak dotarło do mnie po namyśle.

– Dobrze ci poszło – odezwał się Rickard w samochodzie. – Wiem, że było to dla ciebie trudne.

Uśmiechnęłam się blado.

– Dzięki. Pracowałeś z nimi wcześniej?

– Tak, przez parę lat. To bardzo profesjonalna grupa i pełni ważną funkcję, ale jak dla mnie, mają za dużo treningów.

– I to mówi taki fanatyk biegów długodystansowych jak ty! W takim razie musi tam być naprawdę ostro.

– Jest, wierz mi.

Rickard i ja wysiedliśmy z samochodu przed Kungsträdgården. Zjedliśmy w Maksie po szybkim hamburgerze i przeszliśmy obok lodowiska pod wejście do banku. Emelie i Andreas czekali tam na nas na chodniku. Ona włożyła ciemny kostium, chodziła o kulach i była blada. Andreasowi dopisywał humor, włosy sterczały mu na wszystkie strony, worki pod oczami miał ciemniejsze niż zwykle, a koszulę wygniecioną. Weszliśmy do środka. Zaprowadzono nas do zachwycającej sali konferencyjnej, gdzie bardzo długo czekaliśmy, zanim pojawił się Carl Lindstein. Emelie wszystkich przedstawiła i głos zabrał Rickard:

– Jesteśmy tu ze względu na zabójstwo Pontusa Olssona. Wzywaliśmy Emelie na przesłuchania, a ona w ich toku opowiedziała o włamaniach do systemu bankowego.

Carl nie wyglądał na zadowolonego.

– Jest dla mnie ważne, abyś wiedział, że Emelie nie miała wyboru. Gdyby przemilczała przed nami włamanie, pełniłaby przestępstwo – wyjaśnił Rickard.

Carl odchylił się na krzesło, złączył opuszki palców i pokiwał głową. Rickard ciągnął:

– Informacje na wasz temat trzymaliśmy w ścisłej tajemnicy. Nie wpisaliśmy ich do żadnego raportu. Do tej pory. Emelie przekonała nas, żeby traktować je nieoficjalnie, a więc poza zasięgiem prasy, o ile zechcesz nam pomóc. – Rickard i Carl wpatrywali się w siebie długo i intensywnie. W końcu Carl westchnął głęboko i krótko skinął głową.

– Dobrze, rozumiem. Nawet jeśli groźba została wystosowana tak niezręcznie. Jak mogę wam pomóc?

Odezwała się Emelie:

– Prosimy o pełny dostęp do całej dokumentacji i wszystkich systemów dla Andreasa i jego współpracowników z zespołu technicznego. Poza tym chcę przebudować niektóre elementy naszych działań w zakresie bezpieczeństwa. Chciałabym też przeprowadzić jeszcze raz lokalną inspekcję całego biura po godzinach pracy.

– W jakim celu?

– Ponieważ wiemy, że osoba, która się włamała, miała dostęp do waszych haseł i od wewnątrz zabezpieczyła procedury logowania, więc chciałabym sprawdzić, czy nie włamała się fizycznie do biura. Wiesz, że...

– Dobrze. – Przerwał jej gwałtownie ruchem ręki. – W porządku. Coś jeszcze?

Wzięłam łyk gorzkiej kawy, żeby stłumić uśmiech. Wiedziałam, że przerwał Emelie, aby nie ujawniła przed nami tego, o czym już słyszałam – że kiedy przeprowadzała pierwszą kontrolę testową banku, obejmowała ona inspekcję fizyczną. Carl Lindstein uznał to za całkowicie zbędne, bo nikt nie mógł dostać się do banku, mieli przecież karty wstępu i całą resztę. Jeden z pracowników Emelie minął wszystkie zabezpieczenia, wszedł prosto do biura Carla oraz postawił mu pośrodku biurka termos z gorącą kawą i kubek z logiem Infosecu. Niezbyt się to spodobało, ale przesłać nie dotarło.

– To wszystko na dzisiaj. Będziemy to utrzymywać w tak ścisłej tajemnicy, jak tylko zdołamy. Muszę jednak ostrzec cię już teraz, że jeśli sprawa o zabójstwo trafi do sądu, mimo wszystko informacje te zostaną upublicznione.

Carl Lindstein rzucił Rickardowi z wyższością lodowate spojrzenie.

– Nie udawaj głupiego. Możesz zagwarantować znacznie więcej, niż udajesz. Nigdy się nie zgodzę na to, żeby wlekali bankowi po mediach tę sprawę. Nigdy nie dostaniecie ani ode mnie, ani od innego pracownika banku pisemnego oświadczenia, że do naszej bazy danych nastąpiło jakiegokolwiek włamanie. Nie chcę być wymieniany z nazwiska i bank też nie będzie. W przeciwnym razie nie ma mowy o współpracy. Wtedy musicie mnie zamknąć. – Zaśmiał się chrapliwie. – Spodoba się to moim adwokatom.

Rickard wpatrywał się w niego z zacięciem. W końcu skinął głową.

– Dobrze. Masz moje słowo.

– No widzisz. To chyba nie takie trudne? – spytał Carl.

Jeszcze przez chwilę omawialiśmy szczegóły. Emelie nalegała, aby dostać pisemną zgodę Carla na inspekcję fizyczną, aby móc okazać ją podejrzliwym ochroniarzom, którzy zastanawialiby się, dlaczego kręci się po bankowych biurach poza godzinami pracy.

– Chyba mimo wszystko poszło w miarę dobrze? – odezwał się Rickard, gdy znaleźliśmy się na ulicy przed bankiem.

– Obiecałeś mi, że utrzymasz to wszystko w tajemnicy. Uda ci się? – zapytałam.

– Powiedziałem tylko, że damę mu swoje słowo, a nie na co. Nie mogę oczywiście obiecać czegoś takiego, ale jeśli chce w to wierzyć, to mu nie zabronię. – Rickard się uśmiechnął.

– Zupełnie w moim stylu. Gdybym to ode mnie zależało, ciągałabym go po mediach, ile bym tylko mogła – stwierdziła Emelie.

– Cóż, raczej nie powinniśmy posuwać się tak daleko! – odrzekł ze śmiechem Rickard.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

– Jak teraz wygląda nasza sytuacja z bankiem? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedziała Emelie z rezygnacją. – Szczerze mówiąc, nie sędzę, że zastawianie pułapki w systemie to dobry pomysł. Facet nie będzie próbował się do niego logować. Dawno temu ruszył na poszukiwania nowego banku, z którego wyprowadzałby pieniądze. Przeprowadzę inspekcję fizyczną, mimo wszystko może w czymś pomóc, choć się tego nie spodziewam.

– Mogę iść z tobą? – zaproponowałam.

– Jasne. Chciałam wypróbować coś jeszcze. Mam małe podejrzenie, że twoja poczta jest zhakowana.

– Moja?! Dlaczego moja? – spytałam.

– Bo do mojej nigdy się nie doбира, a wydaje mi się, że Case wie o nas podejrzanie dużo. Na przykład trening jogi. Skąd o nim wiedział? Wyślę do ciebie e-mail, że jeszcze raz przygotowuję dla policji materiały na temat włamania. Gdy robiłam to poprzednim razem, Case skasował wszystkie twarde dyski. To nie mógł być przypadek. Poproszę cię, żebyś zalogowała się u nas i podała więcej informacji. Kiedy dostaniesz e-mail, odeślij do mnie pytanie o nazwę użytkownika i hasło, a ja przekażę ci dane. Wszystko zaszyfruję, żeby nie nabrał podejrzeń, ale takim kodem, który łatwo złamie. Jeśli będzie choć trochę ciekawy, spróbuje się zalogować i przeczytać materiały, a wtedy go mamy. Zastawię małą pułapkę dokładnie w tych plikach. Jak długo będzie czytać i się nie wyloguje, uda mi się go śledzić. Nadążasz?

– Tak, rozumiem. Dobry pomysł.

– Nie jestem pewna, czy to zadziała, ale spróbować warto.

Rickard i ja skinęliśmy głowami. Obecnie warto podejmować wszystkie próby, nie było to bowiem najbardziej udane śledztwo w historii policji.

Zanim wróciliśmy do Kryminalnego, zrobiła się druga. Pracowaliśmy przez całe popołudnie, a około piątej Emelie podeszła do mojego biurka.

– Jadę teraz do banku przeprowadzić inspekcję. Chcesz dołączyć?

– Jasne.

Wzięłam płaszcz i torebkę, po czym ruszyłam za Emelie. Do banku zabrałyśmy się radiowozem, a umundurowany policjant poszedł z nami. Było już ciemno, gdy po raz drugi tego dnia przechodziłyśmy przez ogromną bramę. W środku było pusto. To dlatego przyszyliśmy tu w niedzielę. Emelie musiała powęszyć swobodnie między biurkami. Ochroniarz długo sprawdzał jej upoważnienie od dyrektora banku, po czym nas wpuścił.

– Rozmawiałam wczoraj z Hesslowem. Powiedział mi, że ostatnio przeprowadzili przegląd wszystkich gniazd sieciowych w biurze, ale zastanawiam się... – rzekła Emelie, wchodząc do sali konferencyjnej. Tutaj gniazda były wolne, więc Emelie podłączyła swój komputer.

– Ale porażka. Dalej łączę się z tego gniazda z siecią.

– To źle?

– Delikatnie mówiąc. Łatwo byłoby dokonać tu włamania i zainstalować router bezprzewodowy. Potem mogę stanąć za bramą i surfować po sieci banku.

– To takie proste?

– I tak, i nie. Muszę wprowadzić konto użytkownika i hasło, żeby do niej wejść, ale tamten typ je sobie załatwił. Kiedy logował się z zewnątrz, wyglądał jak pierwszy lepszy użytkownik. Tą drogą już się tu nie dostanie, bo ją monitorujemy. Dlatego chcę mieć pewność, że nie znalazł innego sposobu na włamanie się do środka przez zainstalowanie w biurze jakiegoś dinka. – Przeniosłyśmy się do działu technicznego. Emelie sprawdziła wtyki wszystkich klawiatur. – Proszę, wchodź pod biurka i tam posprawdzaj. Ja z tą nogą nie mogę się czołgać.

– Czego mam szukać? Dinka?

– Tak, małego dinka, który rejestruje wszystkie naciśnięcia przycisków klawiatury. Małego, pomysłowego drobiazgu. Potem za pomocą oprogramowania możesz poznać hasło i wszystkie inne dane.

Przez chwilę przyglądałam się jej podejrzliwie, ale zorientowałam się, że nie żartuje, i westchnęłam. Wpełzłam pod pierwsze biurko. Było tu mnóstwo kurzu i przewodów.

– A jak mam go odróżnić od wszystkich innych dinków pod biurkiem? – spytałam. Nie chciałam myśleć, jak wyglądam, ale byłam naprawdę niezłe sponiewierana po przebojach dzisiejszego przedpołudnia. Gorzej chyba być nie mogło. Kichnęłam głośno od kurzu i uderzyłam głową o stół.

– Na zdrowie. Rozglądasz się za czymś, gdzie nie leży pół centymetra kurzu. Jeśli miał tu coś takiego, pewnie wrócił i to zabrał, ale chcę się przekonać.

Dalej chodziłam na czworakach pod biurkami, miotałam pod nosem przekleństwa, ale wystarczająco głośno, żeby Emelie na pewno je usłyszała. Zadzwonił mój telefon. Poderwałam się i drugi raz uderzyłam w głowę. Teraz o fotel biurowy. Rzuciłam wiązankę, której by się nie powstydział sam kapitan Baryłka z komiksu, i odebrałam. Dzwonił Rickard. Powiedział, że wraca do siedziby Sił Specjalnych pomóc w przygotowaniach na wieczór. Spotkamy się już w Debaserze.

– Wyjdziemy potem na coś do picia? – zaproponowała Emelie.

– Tak naprawdę powinnaś zaprosić na całą masę drogich drinków z parasolką po tym, jak przez ciebie musiałam zmienić się w mopa, ale nie mogę. Mam wieczorem randkę z mordercą – wyjaśniłam, rozcierając obolałą głowę.

– Kurde, no właśnie, to dzisiaj. Próbowałam to wyprzeć.

– No...

– To musi być bardzo dziwne uczucie. Nie boisz się?

Chwilę się zastanawiałam.

– Nie, bać się nie boję. Cóż, momentami. Ciągle się za to denerwuję. Ale mam fantastyczne przygotowanie. Stanowi część mojego wykształcenia. To po prostu praca.

– Moja przyjaciółka, kobieta z żelaza!

– Ha, ha, bardzo śmieszne.

W mojej garderobie panował porządek. Nawet majtki były poskładane. Wszystko leżało w schludnych rzędach. Westchnęłam i przecesałam ręką włosy. Na wieszaku wisały poza tym trzy nowe sukienki. Piękne, bez wątplenia. Czerwona, niebieska i fioletowa. Zdjęłam tę pierwszą. Surowy jedwab i klasyczny krótki fason bez rękawów z naszytymi liśćmi w kolorze ciemnej zieleni. Przesunęłam dłonią po materiale.

– Pomyślałam, że będą ci doskonale pasować. Wygląda na to, że trzeba uzupełnić ci garderobę.

Mama opierała się o futrynę i wycierała dłonie o ręcznik, który też był nowy. Skorzystała z mojej kuchni, żeby przyrządzić jedzenie na koreański nowy rok, ale też zajęła się moją szafą oraz wstawiła nowe środki czyszczące do szafki w łazience i praktycznie przejęła moje życie.

– Są piękne. Dziękuję, *umma* – powiedziałam z dużo większym entuzjazmem, niż czułam. Były ładne, ale zdecydowanie zbyt krzykliwe. Nie pasowały do mnie. Włożyłam czerwoną, leżała bardzo dobrze, ale to naprawdę nie był mój styl. – Niestety na dzisiaj się nie nadaje. Zdjęłam ją i ubrałam się w dżinsy i ciemnoróżowe dopasowane polo.

– Dokąd idziesz?

– Na Slussen, jest tam bar o nazwie Debaser.

– Z Rickardem?

– Nie, do pracy. – Unikałam jej spojrzenia. Nie opowiadałam o swoim ostatnim zleceniu. Ona też zresztą nie dała sobie trudu, by spytać.

– Za dużo pracujesz. Czasami musisz sobie pozwolić na odpoczynek. Kiedy masz teraz w życiu tak fantastycznego mężczyznę, musisz dbać o niego i o siebie. Korzystaj z życia. Nie marnuj go na pracę.

– Praca jest dla mnie ważna.

– No tak, jasne. Rozumiem. Ale zajmowanie się przez całe dni tyloma nieprzyjemnymi sprawami... Nigdy nie będzie z tego nic dobrego.

– Nie szkodzi. Lubię pomagać bezbronnym ludziom. Rozmawialiśmy już o tym.

– Są inne sposoby na pomaganie i zmianę świata: praca twórcza. Kreatywne zawody.

– Nie mam czasu na tę dyskusję po raz kolejny, *umma*. Muszę się teraz przygotować. Wrócę późno.

Pocałowałam ją w policzek i przesłam obok niej. Usłyszałam jej westchnienie pełne rezygnacji. Byłam zła, ale nie wiedziałam, jak mam to wyrazić. Czy można zbesztać własną matkę, że z jednej strony angażuje się za bardzo, a znowu z drugiej za mało? Szybko pomalowałam rzęsy i uczesałam włosy. Usłyszałam, jak mama tłucze się w kuchni. Wkładając swój gruby zimowy płaszcz, przejrzałam się w lustrze. Powinno wystarczyć. Właściwie nie wyglądałam bardzo źle, chociaż zdawałam sobie sprawę, że w Debaserze będę czuć się staro, bo tamtejsi klienci byli oczywiście ode mnie młodszy. Poszłam do mamy krzątającej się po kuchni. Wszędzie było jedzenie.

– Czy to jednak trochę nie za wcześnie przyrządzić jedzenie już teraz? Do Seollal jest jeszcze przecież mnóstwo czasu – powiedziałam.

– I tak wszystko zamrażam, więc to chyba nie ma znaczenia? Twoja zamrażarka jest kompletnie pusta, więc zrobię też trochę dla ciebie – oznajmiła mama, wycierając dłonie o ręcznik w czerwono-białą kratę, którego wcześniej nie widziałam.

– Miło z twojej strony, dziękuję. Idę – odparłam.

– No to baw się dobrze w tej pracy! – rzekła mama sarkastycznie.

„Baw się dobrze” to nie były słowa, którymi sama opisałabym atrakcje dzisiejszego wieczoru.

Peter Lilja postawił kołnierz płaszcza najwyżej, jak tylko mógł, i pożałował, że nie wziął z domu szalika. Wcisnął dłonie w kieszenie i niecierpliwie potupał nogami. Spojrzał po raz dziesiąty na zegarek. Dlaczego nie przychodził? On był już spóźniony. Nie miał czasu na takie maruderstwo. Chciał to załatwić przed spotkaniem z Altheą. Nagle dłoń w rękawiczce zacisnęła mu się od tyłu na ustach w żelaznym uścisku. Ktoś szarpnął mu do tyłu głowę i przyłożył pistolet do szyi. Rozbrzmiał głuchy huk, uścisk się zwolnił, a on osunął się po kamiennym murku do pozycji siedzącej. Nie był już w stanie kontrolować swojego ciała. Wszystko miało barwę czerwieni. Wszystko stało się ciepłym, pulsującym bólem.

Panowała tu dzisiaj całkowita pustka. Wszystkie ulice, zaułki, ścieżki rowerowe i tunele samochodowe, które na co dzień roiły się od ludzi wracających z pracy, były ciche i spokojne. Na posłaniu z gazet spał kloszard. Obdarty mężczyzna o pustym spojrzeniu trzymał przed sobą „Situation Stockholm”. Kupiłam od niego gazetę i poszłam do Debasera. Okolice Slussen były zaniedbane i pogryzmołone. Biało-niebieskich znaków na ścieżce rowerowej nie dało się zupełnie odczytać z powodu kolejnych warstw naklejanych plakatów. Mimo to otoczenie miało przedziwny urok dekadencji, przed którym nie dawało się umknąć. Świecąca reklama Stomatolu, rynek Mosebacke, restauracja Gondolen i cały ten beton stanowiły porywającą mieszankę stylów. Weszłam do Debasera. Cudownie niepokorny rockowy kawałek, którego nie poznawałam, powitał mnie już przy wejściu, gdy odwieszałam płaszcz. Usiadłam przy barze na wysokim czarnym stołku w kształcie jaja. Postarałam się zebrać myśli, żeby jeszcze raz przypomnieć sobie nasze ustalenia dotyczące bezpieczeństwa. Na stołku obok siedział Peter z Sił Specjalnych. Zamówiłam staropramen w butelce i rozejrzałam się po lokalu. Pod względem wystroju reprezentował mieszankę amerykańskiego przydrożnego zajazdu, mnóstwa motywów rockowych, domieszki retro z lat sześćdziesiątych i stylowego designu. Spojrzałam ukradkiem w stronę Rickarda, który siedział w łoży wraz z dwoma chłopakami z Sił Specjalnych. Uniósł w moim kierunku butelkę z piwem w dyskretnym pozdrowieniu. Był co najmniej dziesięć lat starszy niż większość gości, chociaż nie skończył jeszcze czterdziestki. Zauważyłam, że przebrał się w swoje bardziej znoszone niebieskie dżinsy i naprawdę podwinął rękawy białej koszuli. Odważnie! Odwróciłam się z powrotem do baru.

Zastanawiałam się, z jakiego typu człowiekiem się spotkam. Haker morderca. Zaczęło się z pewnością od włamania – kop, którego dostał, gdy pieniądze zaczęły płynąć, musiał być fantastyczny. Swoje życie zbudował wokół zysku i sukcesu. Poczul się w końcu całkowicie odporny na ciosy. Pontus musiał zagrażać jego bytowi. Zaszło ryzyko, że stworzona fasada zacznie pękać. Facet, którego zaraz spotkam, zabił Pontusa, żeby ją chronić. I żeby chronić swoje pieniądze. Ale pozostali mężczyźni, których zamordował? Dlaczego to zrobił? Czy oni także zagrażali jego fasadzie? Jego pieniądzom? W jaki sposób? Tam pewnie tkwił klucz do rozwiązania zagadki.

Zerknęłam na zegarek. Dwadzieścia po dziewiątej. Już powinien tu być. Rozejrzałam się po barze. Popatrzyłam przenikliwie na wszystkich mężczyzn dookoła. Czy to on? Ten z przylizanymi włosami i w okularach o grubych oprawkach? Za nic nie dało się tego stwierdzić. Jeden ze znajdujących się w pomieszczeniu policjantów ubranych po cywilnemu przyglądał mi się badawczo. Niemal niezauważalnie pokręciłam głowę, wyjęłam telefon i wysłałam esemesa do Rickarda: „Jeszcze nic”. Wzięłam mały łyk piwa. Nie bałam się, ale byłam cała w nerwach. Działo się coś ważnego. Miejmy nadzieję, że uda się go zgarnąć bez jakiegokolwiek rozlewu krwi. Gdzie teraz był? Mój telefon zapikał. Esemes: „Nabrzeże. Przy łodziach”.

Nie rozpoznałam numeru. Podniosłam wzrok na Petera z Sił Specjalnych, który siedział obok mnie, i odwróciłam do niego telefon, żeby mógł przeczytać.

– To on. Musimy tam iść.

– To może być pułapka. Muszę porozmawiać z Jannem.

– Porozmawiaj – powiedziałam i skierowałam się do wyjścia, zanim zdążył mnie powstrzymać. Serce mocno mi waliło. Gdy odbierałam płaszcz z szatni, na szczęście przyłączył się mnie Rickard. Pokazałam mu wiadomość.

– Idę z tobą.

Skinęłam głowę. Kiedy wyszliśmy na ulicę, wilgotny chłód uderzył w nas niczym ściana. Rickard rozmawiał przez telefon z Jannem, który usiłował wyprowadzić z Debasera na nabrzeże jak największą grupę bez przyciągania nadmiernej uwagi.

– Powiedz mu, że nikt nie może się pokazać. Nie wolno im nic robić, dopóki nie porozmawiam z Case'em.

Rozejrzałam się wokoło. Musiał mieć na myśli wschodnią stronę Slussen. Po przeciwnej nie było żadnych łodzi. Skręciliśmy w prawo i pobiegliśmy truchtem przez wyłożony płytkami, zabazgrany tunel o niskim suficie. Kiedy wyszliśmy na drugim końcu, zatrzymaliśmy się i popatrzyliśmy dookoła. Zauważyłam, że Rickard rozpiął kurtkę, żeby sięgnąć po broń. Przed nami znajdowało się nabrzeże. Po prawej stronie kawałek dalej biegła droga ekspresowa z Nacka, powyżej wznosiła się Gondolen, a przy nabrzeżu świeciło światło z restauracji na łodzi o nazwie Patricia.

– Tam – powiedziałam i zaczęłam biec.

Kawałek przed nami po prawej stronie dostrzegłam w ciemności postać, która wyglądała jak oparta o nieotynkowaną betonową ścianę oklejoną plakatami. Coś w całym tym widoku było nie tak. Kiedy podeszliśmy bliżej, zauważyliśmy, że mężczyzna opierający się o mur ma pośrodku klatki piersiowej dużą, obficie krwawiącą ranę, a na szyi mniejszą. Po czole płynęły mu strużki potu, a wzrok był wbity prosto przed siebie. Kiedy oddychał, rozlegało się syzczenie i charczenie. Kucnęłam obok niego. Jego prawa ręka zwiisała ciężko wzdłuż boku. W otwartej dłoni spoczywał pistolet. Rickard ostrożnie go z niej wyjął i przez policyjne radio wezwał pogotowie.

– Ambulans jest w drodze – powiedziałam do mężczyzny i rozpięłam jego czarny płaszcz, żeby sprawdzić, czy mogę zatrzymać krwawienie.

Usiłowałam znaleźć odpowiednie miejsce do przycięcia, ale otwór w jego piersi był zbyt duży. Mężczyzna stracił już mnóstwo krwi. Spojrzał na mnie. Próbował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobywały się jedynie pęcherze powietrza, a on zaczynał kaszleć. Po wargach i brodzie płynął mu strumień krwi. Oczy stały się szkliste. Spojrzałam na swoje dłonie. Były ciemnoczerwone i lepkie. Po raz drugi w ciągu dwóch dni. Rickard objął mnie ramieniem.

– Nie możemy nic zrobić – rzekł.

– Wiem.

Nadal kuciałam przy mężczyźnie. Moje dłonie były lodowato zimne, ale nie chciałam włożyć rękawiczek i nie miałam nic sensownego, o co mogłabym je wytrzeć. Nadszedł personel karetki. Zanim się nim zajęli, przyjrzałam się uważnie mężczyźnie, który właśnie zginął. Miał może dwadzieścia pięć lat. Barczysty. Krótkie włosy w mysim kolorze ułożone w rozczochraną fryzurę. Kółko w dolnej wardze. W skórę nad lewą brwią miał włożonych pięć odpowiadających jej kształtowi niewielkich metalowych krążków o średnicy jakichś czterech milimetrów.

– Po co mu to? – spytał Rickard, wskazując krążki.

– Bo to fajnie wygląda, dziadku. To kolczyki podskórne, anchor piercing. Widziałam takie, kiedy przebiejałam sobie pępek.

– Nie rozumiem. – Pokręcił głową.

Z radiowozu, który stanął na drodze biegnącej nad nami, nadbiegli Gabriel, Tova i Andreas. Zeszliśmy na podest schodów i spotkaliśmy się z nimi na nabrzeżu.

– Co się stało? To on? Diabeł? – spytała Tova, łapiąc oddech.

– Tak, tak mi się wydaje. Dostałam esemesa, który nas do niego doprowadził. Wygląda na to, że popełnił samobójstwo.

– Kiedy przyszedł, już prawie nie żył. Nic nie mogliśmy zrobić. – Rickard przeczesał dłonią włosy. Był blady w świetle latarni.

– Gabriel, miejsce zbrodni należy do ciebie. Obejmujesz dowodzenie. W porządku?

Gabriel krótko skinął głową.

– Jasne. – Odszedł w stronę furgonetki policyjnej, żeby zająć się szczegółami.

– Mogę zacząć od tego? – spytał Andreas, wskazując mój zakrwawiony płaszcz. Ostrożnie go zdjęłam i w zamian dostałam od policjantów o trzy numery za dużą czarną kurtkę.

– To też ci się przyda. – Rickard podał Andreasowi broń, trzymając ją między kciukiem a palcem wskazującym.

– Dlaczego ją podniosłeś? Pytanie nie było złośliwe, tylko rzeczowe.

– Kiedy nadeszliśmy, ciągle żył, więc wołałem dmuchać na zimne.

Andreas skinął głową i wziął pistolet. Wyjął aparat, zrobił zdjęcie broni i włożył ją do brązowej papierowej torebki, na której czarnym flamastrem wypisał numer porządkowy.

– Tova, dopilnuj, proszę, żeby wysłać go do analizy jeszcze dzisiaj. – Podał jej torebkę, wciąż trzymając nakrętkę flamastra w kąciку ust.

– Jasne – odpowiedziała i odeszła, salutując jak harcerka.

– Zaczynamy od początku. Skąd przyszliście? – spytał Gabriel, gdy do nas wrócił.

– Z tunelu po drugiej stronie podestu, można nim dojść do Debasera. – Udaliśmy się do drzwi baru i wyjaśniliśmy, co krok po kroku robiliśmy. Tuż za nami szedł Gabriel i sporządzał notatki, a Andreas fotografował.

Kiedy przedstawiliśmy cały plan wydarzeń, Gabriel poprosił nas, żebyśmy napili się kawy i jeszcze chwilę zostali, gdyby pojawiły się dodatkowe pytania. Z wdzięcznością wzięliśmy ciepłe papierowe kubki i koce z furgonetki, która z trudem zjechała na nabrzeże. Lodowato zimne powietrze przenikała wilgoć. Byliśmy zszokowani, przemarznięci i zmęczeni. Podeszedł Janne z Sił Specjalnych.

– Jak się trzymacie?

– Nieźle, stosownie do okoliczności – odpowiedziałam.

– Cóż, nie przydaliśmy się, ale to akurat dobrze.

– Dziękuję.

– Jesteśmy w kontakcie. W przyszłym tygodniu raporty i analiza. Dasz nam znać?

– Jasne – odrzekł Rickard i poklepał przyjacielsko Jannego po ramieniu. Ten skinął głową i zniknął w ciemności.

Podszedł Gabriel i kazał nam jechać do domu. Obiecał, że zadzwoni, gdyby się coś wydarzyło. Podziękowaliśmy mu i skierowaliśmy się na dół, w stronę wody. Niebo było całkowicie czarne. Kawałek dalej, z łodzi Patricia widać było światło i dobiegało głucho dudnienie muzyki na parkiecie. Szliśmy dalej w milczeniu. Popatrzyłam na wodę. Gdy betonowy pomost podnosił się i opadał wraz z falami, rozlegało się skrzywienie jego metalowych okuć. Po-brzmiewały w nim smutek i opuszczenie. Żeby nie widzieć krwi, włożyłam ręce do kieszeni. Personel karetki w du-żej części ją zmył, ale wciąż miałam czarne paznokcie. Czułam lekkie mdłości.

– Dlaczego to zrobił? – zapytał Rickard, który stał obok mnie, wpatrując się w wodę.

– Dlaczego popełnił samobójstwo? – Pokręciłam głową. – Nie wiem. Albo nie mógł żyć z tym, co zrobił, w e-ma-ilach nie chciał przecież wziąć odpowiedzialności za swoje działania, albo był to jego sposób, aby na zawsze uciec policji. Jego sposób na zwycięstwo, że się tak wyrażę. Naprawdę nie wiem. Jestem zbyt padnięta, żeby zmusić mózg do pracy. Jutro dostaniesz profesjonalną analizę.

Odwrociłam się do niego i włożyłam mu ręce pod rozpiętą kurtkę.

– Idziemy do mnie? – zaproponowałam.

– Chętnie. Dasz radę się przespacerować?

– Tak, super by było przewietrzyć głowę.

Szliśmy obok siebie przez całkowicie opustoszałe Gamla Stan. Panowała kompletna cisza poza gwarem i śmie-
chami dochodzącymi z nielicznych otwartych miejsc. Przemierzaliśmy powoli małe uliczki.

– Ja... Przepraszam, że ostatnio tak głupio się zachowywałam. Jestem czasami trochę przewrażliwiona z powodu, no wiesz... – wydusiłam z siebie.

– Kwestii dotyczących twojego statusu świruski?

Zaśmiałam się.

– Otóż to. Nie chcę, żebyś czuł, że musisz ze mną postępować ostrożnie czy że musisz się mną opiekować.

– Nie czuję. Chociaż nie, to nieprawda. Chronię cię, martwię się, ale tylko dlatego, że jestem mężczyzną, a ty ma-
lutką i drobniutką, ale wspaniałą, inteligentną i silną kobietą. – Objął mnie w talii i pocałował w policzek. – Odrobina
męskości i rycerstwa chyba nie pogardzisz?

– Nie, w żadnym wypadku. – Poczulałam wewnątrz cudowne ciepło i nie chciałam zepsuć nastroju, ale zdawałam
sobie sprawę, że jest więcej tematów, które muszę poruszyć. Wzięłam głęboki oddech i dodałam:

– Jeśli jesteśmy już przy wyznaniach, to dostałam ofertę pracy.

– O proszę. – Uniósł brwi. – Gratulacje! Od Kristiny?

Popatrzyłam na niego badawczo. Dlaczego pomyślał, że to komendantka złożyła mi propozycję?

– Nie. Z Policji Rejonowej w Nowym Jorku. Chcą zatrudnić mnie jako profilerkę. Pierwszy raz zdecydowali się
nie zamawiać tej usługi u pracownika zewnętrznego, ale stworzyć to stanowisko na miejscu. Chcą sprawdzić, czy
praca okaże się efektywniejsza, gdy profiler będzie pracować jako członek zespołu dochodzeniowego, a nie tylko
przychodzić i wykonywać analizę. To test. Zatrudnienie w ramach projektu na rok. Zawsze lubili współpracować
z Modusem i dlatego dostałam tę ofertę. Wykorzystuję te same metody. – Próbowałam zerknąć na Rickarda idącego
obok mnie. O czym myślał?

– To wyraz dużego uznania. Odpowiedziałas im już? – zapytał neutralnym tonem.

– Nie. Jeszcze nie. Najpierw chciałam porozmawiać z tobą.

Skinął głową. Nic nie mówił. Domyślałam się, że nie do końca wie, co powiedzieć.

– To fantastyczna szansa. Naprawdę powinnaś z niej skorzystać. W Szwecji nie dostajesz przecież prawie żadnych
ofert. Nie możesz tak żyć.

– No tak. Ale co z nami?

– Nowy Jork nie jest znowu tak daleko. Poza tym możemy się oddać małemu podglądactwu przez kamerę interne-
tową. – Uśmiechnął się. Na szczęśliwego jednak nie wyglądał.

– To oczywiście brzmi kusząco. Ale...

Rozmowa ucichła. Szliśmy w milczeniu. Moje myśli wirowały. Uznałam, że o Nowym Jorku musimy porozmawiać jeszcze innym razem. W tej chwili mieliśmy wystarczająco dużo na głowie. Śledztwo nagle się zakończyło. Zabójca sam wycofał się z gry. Nazajutrz czekało nas mnóstwo roboty. Musimy się dowiedzieć, kim był i dlaczego zrobił to, co zrobił. Najważniejsze było jednak, że nie będzie mógł już nikogo zabić. Pontus, Rönndahl, van der See i próba zabójstwa Emelie. Cztery ofiary to wystarczająco dużo. Przeszliśmy przez most Centralbron, a następnie przez Stadshusbron. Wybraliśmy drogę wzdłuż kanału, pod Klarabergsviadukten. Już w domu staliśmy bardzo, bardzo długo i po prostu się obejmowaliśmy. Rickard głaskał mnie po włosach.

– Jesteś taka piękna.

– Ty też nieźle wyglądasz – odpowiedziałam. Ja, ta mistrzyni inteligentnego komentarza.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Schowałam twarz, opierając mu ją o pierś, żeby nie widział łez płynących mi po policzkach. Łez ulgi, szczęścia, miłości. Smutku z powodu straconego życia, nawet jeśli było to życie mordercy. Łez radości z własnego życia. Niepokoju o przyszłość. Wszystkiego naraz.

– To przebieg wydarzeń, który udało nam się ustalić. Mężczyzna został zidentyfikowany jako Peter Lilja. O godzinie dwudziestej pierwszej miał się spotkać z Altheą Molin w Debaserze. Świadkowie widzą go o dwudziestej pięćdziesiąt przy zajezdni autobusowej pod stacją metra Slussen. Idąc stamtąd, wychodzi w stronę wody po wschodniej stronie Slussen, gdzie zatrzymują się promy Finlandsfärjorna. – Wskazał miejsce na mapie. – Tam wysła najpierw esemesa do Althei, a następnie strzela sobie w szyję bronią tego samego kalibru, której użyto przy pozostałych zabójstwach. Pistolet znaleziono w jego ręce. Został błyskawicznie przekazany kurierem do laboratorium w celu przebadania.

Siedziałam w sali konferencyjnej razem z wieloma policjantami, którzy pracowali całą noc, o czym świadczyły ich podkrążone oczy. Nawet Gabriel, który stał z przodu, miał jednodniowy zarost i włosy bardziej przyklepane niż zwykle, a nie modnie rozczochrane. Chrząknął.

– A co z telefonem? – zapytał Rickard.

– Tani model na kartę. Miał go głęboko w kieszeni płaszcza.

– Co było w esemesie? – spytał Andreas.

Odpowiedziałam:

– „Nabrzeże. Przy łodziach”. Nic więcej. Dość nietypowo sformułowany list pożegnalny. Więcej sensu miałyby, gdyby albo usiłował się usprawiedliwić, poprosić o wybaczenie, albo okazywał triumf, coś w stylu „Już nigdy mnie nie dorwiecie”.

Gabriel pokiwał głową i oznajmił:

– Zeszłej nocy dokonaliśmy bardzo ciekawego odkrycia. Gdy tylko ustaliliśmy tożsamość Petera Lilji, skontaktowaliśmy się z jego rodziną, żeby ją powiadomić. Jego matkę spotkaliśmy nie tak dawno temu. Jest siostrą Rönndahl.

Wyprostowałam się na krześle.

– Rönndahl to wuj Petera Lilji! A więc jednak istnieje powiązanie – powiedziałam.

– Owszem. Nazywa się Birgitta Lilja. Według niej jej brat i syn zawsze mieli dobry kontakt. Ostatnio nawet czasem się spotykali. Teraz okazało się, że na kilka dni przed śmiercią Rönndahl zadzwonił do Birgitty i wyraził zaniepokojenie stylem życia Petera i jego towarzystwem, ale tylko ogólnie. Birgitta nie przyjęła tego do wiadomości, twierdząc, że Rönndahl się starzeje i robi konserwatywny, po czym przestała o tym myśleć – relacjonował Gabriel.

– A to ciekawe! Czy to może oznaczać, że Rönndahl wiedział o zabójstwie? – Mój mózg pracował na wysokich obrotach.

– Prawdopodobnie tak. W ciągu dnia krok po kroku prześledzimy życie Petera Lilji. Miejmy nadzieję, że zaczną się pojawiać odpowiedzi. Proszę, abyście przekazywali mi wszystkie informacje natychmiast, gdy je otrzymacie. Althea będzie musiała udać się do rodziny, aby przeprowadzić autopsję psychiczną Lilji.

Na sali zaczęto kiwać głowami. Po dalszym rozdzieleniu zadań pojechałam z Tovą i Rickardem na przesłuchanie krewnych Petera Lilji.

Niecałą godzinę później siedzieliśmy przy kuchennym stole w podniszczonym, lecz schludnym mieszkaniu w starym bloku na Liljeholmen. Pachniało świeżo zaparzoną kawą. Na wypolerowaną drewnianą podłogę padało słońce. Niemowlak o ciemnych włosach leżał na owczej skórce i bawił się grzechotką. Przy stole siedziała Daniella – matka dziecka i żona Petera Lilji. Nic nie mówiła, płynęły jej tylko łzy. Jej matka podała nam kawę w jaskrawożółtych kubkach. Próbowaliśmy ostrożnie się dowiedzieć, czy Daniella wiedziała coś o kradzieży danych dokonanej przez swojego męża oraz trzech morderstwach, o których popełnienie go podejrzewaliśmy. Zapytaliśmy, czy w ostatnim czasie kontaktował się z nią Rönndahl. Nie miała zielonego pojęcia, o czym mówimy. Szukałam w jej zachowaniu znaków wskazujących, że coś ukrywa, ale niczego takiego nie znalazłam. Zrobiło mi się jej żal tak bardzo, że czułam ból. Nic nie wiedziała o ciemnych sprawkach swojego męża.

Opowiadała, że był współwłaścicielem centrum rekreacyjnego w Åkersberdze na północ od Sztokholmu, gdzie można było zagrać w paintball, wprawić się we wspinaczkę i wziąć udział w jeszcze innych imprezach firmowych

nastawionych na aktywność fizyczną. Lilja uprawiał zaś paintball w drużynie o nazwie Urban Warriors. Dorastał w Sigtunie, a po liceum przeprowadził się do Sztokholmu i poszedł na KTH. Trenował często i intensywnie. Od czasu do czasu wychodził z kumplami po pracy i wypijał parę piw. W czteropokojowym mieszkaniu miał niewielki gabinet, którego jedną ścianę w całości zajmowała zagracona półka. Poszperałam między książkami i znalazłam, jak się spodziewałam, wyświechtany egzemplarz *Neuromancera* Williama Gibsona, zaraz obok pięciu tomów z cyklu *Fundacja* Isaaca Asimova i *Śnieżycy* Neala Stephensona. Przesunęłam po ich grzbietach opuszkami palców.

– Prawie samo fantasy i science fiction.

– Jaki ekstra komp! Nigdy takiego nie widziałam. – Tova oglądała blat roboczy biegnący wzdłuż całej przeciwległej ściany. Stał tam duży stacjonarny komputer z przezroczystą obudową, a dookoła niego lutownica, mnóstwo płytek drukowanych, rysunki i kubki po kawie.

– Włącz go – polecił Rickard.

Tova nacisnęła przełącznik ręką w rękawicze. Ukazały się jedynie czarny ekran i białe pole formularza.

– Żąda jakiegoś hasła – oznajmiła.

– Kiedy zjawi się Andreas, powiem mu, żeby go zabrał. Althea, chcesz zobaczyć coś jeszcze czy mamy jechać do jego pracy?

– Nie, tyle mi wystarczy. Możemy jechać.

Podziękowaliśmy Danielli i zadaliśmy, żeby otrzymała wszelkie potrzebne wsparcie. Potem z powrotem wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do Åkersbergi. Na miejscu było dwoje pracowników Petera Lilji. Młoda dziewczyna zajmująca się finansami i recepcją oraz starszy mężczyzna od materiałów i napraw. Trzeci pracownik, młody mężczyzna, przebywał na polu do paintballa z uczestnikami wieczoru kawalerskiego. Pytaliśmy o Petera jako osobę i jako szefa. Jak prosperowała firma. Ta sama historia – fajny facet, dobry szef. Uprawiał paintball na elitarnym poziomie.

Zostawiłam rozmowę kolegom i poszłam rozejrzeć się po gabinecie Petera. Miał własne biuro na końcu korytarza. Było duże, jasne i wysprzątane. Duża czerwona flaga pokrywała ścianę za biurkiem. Przeszła duża „U” i „W”, które przebijał miecz. Przypuszczałam, że to logo drużyny paintballowej. Na ścianach wisiały zdjęcia jego rodziny, a przy jednej z nich stała półka z najróżniejszymi pucharami. Mimo to wszystko wydawało się mało osobiste. Biuro prezentowało bardzo duży kontrast w porównaniu z domowym gabinetem. Dlaczego sprzątał tu tak dokładnie?

Usiadłam w fotelu biurowym. Czy ten mężczyzna zamordował trzy osoby? Spróbowałam przypomnieć sobie e-maile, które do mnie wysyłał. Chciałam sprawdzić, czy pasował do użytych tam sformułowań i na ile zgadzał się z naszym trochę niejednorodnym profilem. Mimo wszystko nie odbiegał od niego aż tak bardzo, lecz arogancji w nich nie było. Brakowało chłodu emocjonalnego. Twierdził, że mordował, aby chronić rodzinę. Czuł potrzebę, aby chronić Daniellę i dziecko? Gdy sprawdzimy finanse przedsiębiorstwa, być może znajdziemy jakieś wskazówki, dlaczego dokonał włamania. Może firma potrzebowała pieniędzy, a on znalazł sposób, by je zdobyć bez płacenia odsetek? Z czasem stał się coraz bardziej chciwy. To się zgadzało, choć nie w stu procentach. Towarzyszyło mi poczucie frustracji, że coś przeoczyłam. Coś w jego osobowości, motywacji?

Chwilę wyglądałam przez okno, żeby uchwycić to uczucie, ale mi się nie udało. Niechętnie to przyznawałam, jednak tym razem chyba po prostu nie spisałam się najlepiej. Mogłam szukać wielu przyczyn, ale tak naprawdę była to tylko moja wina. Nie udało mi się wystarczająco skoncentrować. Sporządziłam zdecydowanie zbyt fragmentaryczny profil. Westchnęłam i z powrotem odwróciłam się do biurka. Spróbowałam wcisnąć długopisem przełącznik komputera. Nic się nie wydarzyło. Zadzwoiłam do Emelie i dostałam przez telefon wsparcie techniczne. Potwierdziła moje podejrzenia. Usunął wszystkie dane, pewnie tym samym degausserem, którego użył w biurze Emelie. Wiedział, że tu przyjdziemy i sprawdzimy komputer. Wszedł Rickard.

– Możemy już wracać?

– Pewnie. Powiedz Andreasowi, żeby poszukał tutaj albo w domu degaussera.

– Czego?

– Elektromagnesu do kasowania, a raczej niszczenia twardych dysków. Nie mam zielonego pojęcia, jak to wygląda, ale Andreas na pewno wie. Peter użył go u Emelie i myślę, że tu pewnie też.

– Dobra. – Rickard zanotował.

Kiedy jechaliśmy do miasta, zadzwoniła Katerina i spytała, czy chcę wziąć udział w sekcji zwłok. Zgodziłam się i wysiadłam u niej.

W powietrzu unosił się zapach środków do dezynfekcji i rozkładu. Włożyłam kombinezon ochronny i wkroczyłam do medycznego świata Kateriny. Stała przy noszach pośrodku pomieszczenia, a mocna lampa oświetlała ją i martwe ciało znajdujące się na metalowym stole. Odwróciła się w moją stronę.

– Hej! Dobrze, że przyszałaś. A przy okazji dzięki za ostatnie spotkanie. Było super!

– Potwierdzam!

– Podczas szukania śladów obejrzałam całe ciało. Właśnie miałam je umyć. – Sięgnęła po końcówkę prysznica, która przypominała te używane w kuchniach restauracyjnych do mycia naczyń, i zaczęła myć ciało. Centymetr po centymetrze czarna zakrzepła krew miękła i odchodziła. Spływająca woda barwiła się na czerwono.

Stałam za plecami Kateriny, żeby woda na mnie nie przyskała. Ciało stawało się coraz czystsze. Kolczyki w obu sutkach. Rzuciły się w oczy tatuaże – jeden duży na prawym barku i liczne na klatce piersiowej. Jeden z nich przedstawiał smoka, co prawda niezbyt ładnego. Ten na barku był bardziej interesujący. Miał kształt dużych liter „U” i „W” przebitych mieczem. Symbol drużyny, w której Peter uprawiał paintball. Widziałam go w jego gabinecie. Katerina po raz kolejny oglądała ciało i mruzczała do niewielkiego magnetofonu terminy medyczne. Przyniosła bardzo cienki, długi na jakiś metr metalowy pręt, który wcisnęła powoli przez wlot po kuli w jego szyi. Ucieszyłam się, że nie zabrałam ze sobą Mattiasa. Pręt wyszedł w końcu przez ranę w klatce piersiowej Petera.

– Kula dostała się do środka przez gardło, nieznacznie ominęła serce i wyleciała na zewnątrz, ale spójrz na kąt strzału. – Wskazała początek pręta, który wystawał mniej więcej w połowie między głową a barkiem.

Popatrzyłam i spróbowałam na sobie samej, udając, że mój palec to pistolet.

– Gdybym tak to zrobiła, kula wyszłaby z tyłu klatki piersiowej. Nie z przodu. Wprawdzie się da, ale istnieją łatwiejsze sposoby na odebranie sobie życia.

– Nigdy nie widziałam, żeby ktoś zastrzelił się pod takim kątem – stwierdziła Katerina z namysłem.

– Owszem. Gdy człowiek się boi i nie ma odwagi strzelić sobie w głowę, nie sądzę, żeby wybrał jeszcze bardziej skomplikowaną pozycję pistoletu. Może prosto w gardło, ale nie taką.

Przez chwilę stałyśmy w milczeniu. To bez wątpienia wszystko komplikowało. A jednocześnie odczuwałam dziwną ulgę. Może znalazłam to, co się nie zgadzało. Podziękowałam Katerinie i od razu zadzwoniłam z szatni od Rickarda.

– Jadę do domu popracować. Muszę poprawić profil. Istnieje możliwość, że Lilja jednak się nie zastrzelił.

– Co takiego?

– Może się okazać, że naszego mordercę ktoś zamordował. Wtedy nasz morderca nie jest już naszym mordercą. No, wszystko jasne.

– Jak słońce. O czym ty mówisz?

– Byłam u Kateriny. Kąt strzału... się nie zgadza. Myślę, że powinieneś jechać do Kateriny i wyrobić sobie swoje zdanie. Musisz to zobaczyć na własne oczy.

– Już jadę. A tak w ogóle ten pistolet był narzędziem zbrodni we wszystkich morderstwach. Właśnie dzwonili z laboratorium i potwierdzili.

– Tak jak podejrzewaliśmy.

– Otóż to.

– Daj mi później znać, czy uda ci się wpaść na chwilę. Jestem w domu.

– Jasne. Jeśli nie w innym celu, to przecież muszę dbać, żebyś coś jadła – powiedział ciszej Rickard.

– Dziękuję, mamusiu – odparłam sarkastycznie.

Gdy wróciłam do domu, zaparzyłam sobie duży kubek herbaty i pościagałam ze ściany w gabinecie wszystkie kartki. Pora zacząć od nowa. Bez pośpiechu przyczepiałam je z powrotem jedna po drugiej. Jeszcze raz przeanalizowałam wszystko, co wiedzieliśmy. Chciałam uzyskać jaśniejszy obraz mężczyzny stojącego za zabójstwami, nie mącąc go wątpliwościami wokół Lilji. Czy to Case, czy ofiara? Wszystko przejrzałam, od Pontusa, przez nasze nowe informacje o Rönddahlu, próbę zabójstwa Emelie i morderstwo Lilji, czym się teraz okazało. Potem przygotowałam so-

bie kąpiel. Musiałam pomyśleć, a niewiele miejsc nadawało się do tego celu tak dobrze jak wanna. Gorąca kąpiel i mnóstwo piany pachnącej lawendą. Wślizgnęłam się ostrożnie, zaciągnęłam zasłonę i poczułam, jak świat zewnętrzny powoli blednie. Przez chwilę po prostu tylko leżałam z zamkniętymi oczami.

Największy problem polegał na tym, że morderstwa się ze sobą nie zgadzały. Nie było żadnego wzoru zachowania. A jedynie wzór zewnętrznych cech. Jednego zabójstwa, Rönndahla, dokonała osoba, która za wszelką cenę chciała pozostać niewidoczna. Osoba, która według sąsiadki miała na sobie ciemną kurtkę i założony kaptur, a do tego rozbiła oświetlenie na klatce schodowej, żeby nie było jej widać. Strzały, z których pierwszy chybił, oddano z odległości kilku kroków. Żeby nie trafić z takiej odległości, zabójca musiał zamknąć oczy albo mocno się trząść. Po prostu się bał. W przeciwieństwie do pierwszego morderstwa, które wydawało się popełnione niemal przez psychopatę. Niewielu zwykłych ludzi dałoby radę podejść do kogoś, przystawić mu pistolet do skroni i strzelić. Metodycznie, spokojnie, bez emocji. Dokonanie tego wskazywało na osobę, której ten czyn się podobał, może zainspirowanej historiami o mafii? Jeśli według niej morderstwo było niezbędne, lecz emocjonalnie nie pociągało jej zabijanie, przypominałoby raczej zabójstwo Daniela van der See. To w większym stopniu były pozbawiona emocji konieczność, wyrachowanie, morderstwo z premedytacją. Sprawca zastrzelił go z wystarczająco niewielkiej odległości, że nie istniało ryzyko chybienia, lecz nie tak małej, by odległość wydawała się prowokująca i natarczywa. No i Lilja. On albo popełnił samobójstwo w bardzo nietypowy sposób, albo go zamordowano, jeśli wziąć pod uwagę kąt strzału.

Wszystko stało w miejscu. Nic nie robiło się jaśniejsze. Nie pojawiały się żadne nagłe olśnienia, żaden grom z jasnego nieba, nic. Poddałam się. Umyłam włosy, ogoliłam nogi, spuściłam wodę po kąpielu i się opłukałam. Z ręcznikiem owiniętym wokół głowy nalałam sobie lampkę wina i postanowiłam obejrzeć film. Jeśli nie ogarniałam tego swoim intelektem, mogłabym chyba na chwilę oderwać myśli i dać szansę swojej podświadomości. Przeglądałam tytuły. W przypiływie autoironii zdecydowałam się na Sherlocka Holmesa z Jeremym Brettem – *Znak czterech*. Mieliśmy tu bowiem bohatera, który nie miał żadnych problemów z koncentracją na sprawie do rozwiązania. Pasjonowałam się starymi filmami, najlepiej jeszcze starszymi niż ten. Ze starym Hitchcockiem nic nie mogło się równać. Patrzałam jednym okiem na film, gdy w końcu pewna riposta uderzyła mnie jak ten grom, na który czekałam cały wieczór.

– *How often have I said to you that when you have eliminated the impossible, whatever remains, however improbable, must be the truth?*

Kochany Sherlock Holmes. „Ile razy powtarzałem ci, że po wyłączeniu rzeczy niemożliwych to, co pozostanie, chociaż nieprawdopodobne, musi być prawdziwe?” Przez cały czas usiłowałam dopasować to, co widziałam, według tego, jak według mnie powinno być. Wcisnęłam kwadrat w koło. Wyglądało to dokładnie tak, jakby morderstwa popełniały różne osoby. Nie jedna i ta sama. To tak musiało być! Nie było żadnego seryjnego mordercy. Było kilka osób, które próbowały go udawać. To się zgadzało. Karty tarota miały stanowić swego rodzaju znak i sprawiać, byśmy natychmiast łączyli morderstwa. Ilu ich było? Co ich popychało do zabijania? Byli członkami równymi rangą czy mieliśmy do czynienia z przypominającym sektę bractwem z dyktatorem na czele? Trzeba to zbadać.

Wyłączyłam film i zaczęłam wertować posiadaną literaturę na temat grup morderców, ich dynamiki i psychologii. Szukałam podobnych spraw. Pierwsza interesująca informacja, na jaką się natknęłam, dotyczyła Josepha Gamsky’ego, znanego też jako Joe Hunt, młodego mężczyzny stojącego na czele BBC, czyli Billionaire Boys Club – spółki inwestycyjnej i klubu gentlemanów w jednym. Kusił dołączeniem do klubu młodych znużonych mężczyzn mających bogatych tatusiów. Wówczas nakłaniał ich do oszukiwania ojców na pieniądze i popełniania zbrodni, do których we własnym mniemaniu normalnie nie byli zdolni, także zabójstw. W tym wypadku chodziło o charyzmatycznego przywódcę, bardzo zhierarchizowaną grupę, do której krok po kroku wciągano innych po prowadzącej w dół spirali. To spotkało także jego – kilku z owych młodych mężczyzn powiadomiło policję o uprawianym procederze. Przywódca. Otóż to. Byłam całkowicie pewna, że nasza grupa ma przywódcę, ale mimo wszystko uważałam, że nie chodzi o wszechmocną osobę, która steruje innymi. Mieliśmy do czynienia raczej z brygadą czy klanem. Taka myśl dobrze pasowała do powiązania z *Neuromancerem* i uniwersum gier komputerowych, które stanowiło część tej samej subkultury. W środowisku graczy organizowano się często w klany czy grupy. Grupy grające przeciwko sobie w internecie. Lilja uprawiał paintball. Nawet był z nim związany zawodowo. A ten sport drużynowy wymagał niemal wojskowej precyzji, treningu i więzi. W wielu przypadkach był obecny przywódca, jednak przynajmniej do pewnego stopnia wyłaniano go samodzielnie. Kto należał do drużyny Lilji?

Poszłam do przedpokoju i poszukałam w torebce talii tarota. Zaszłam do kuchni i zrobiłam sobie kubek herbaty. Wróciłam na sofę, przejrzałam talię i wyjęłam jedną kartę. Zaczęłam od początku, od Diabła. Położyłam kartę przed sobą na stoliku i pogładziłam kolorowy obrazek. Morderca Pontusa. Co tu widziałam? Charakter egzekucji wskazywał, że był to mężczyzna przyzwyczajony do broni i przemocy. Ktoś, kto prawdopodobnie miał skłonności psychopa-

tyczne. Przemawiał za tym przede wszystkim fakt, że strzelił na środku ulicy, gdzie nieuchronnie towarzyszyło mu ryzyko zauważenia. Mimo to zabójstwo było zaplanowane przez sprawcę lub całą grupę. Morderca nie wpadł na Pontusa przypadkiem, tylko przypuszczalnie śledził go od banku. Diabeł to morderca numer jeden.

A numer dwa? Wyjęłam następną kartę – Sprawiedliwość. Temu zabójcy jego działanie kojarzyło się nieprzyjemnie albo nie posługiwał się sprawnie bronią, bo w przeciwnym razie nie chybiłby za pierwszym razem z tak małej odległości. Prawdopodobnie nigdy nie był karany i za żadne skarby nie chciał zostać zidentyfikowany. Wydawał się kimś o wątpliwościach natury moralnej. Wiedziałam, że Rönddahl i Lilja byli spokrewnieni, i bardzo trudno było mi sobie wyobrazić, że zastrzelił własnego wuja. Według matki Petera mieli przecież dobre stosunki. To musiał zrobić ktoś inny.

Numer trzy? Wyszukałam kartę, która przedstawiała Śmierć. Położyłam ją przed sobą na prawo od dwóch pozostałych. Wzięłam łyk herbaty, która już trochę ostygła. Ten mężczyzna był opanowany i odznaczał się dobrą organizacją. Ustalił spotkanie z ofiarą, czyli Danielem van der See, którego wcześniej znał. Zaryzykował, że gdy będzie szedł do pokoju hotelowego, ktoś go rozpozna. Chłodny analityk. Żywa wyobraźnia. Obeznany z bronią. To on był przywódcą. Emelie wyjaśniła mi, że do anonimowego konta numerycznego wprawdzie nie przypisywano nazwiska w systemie informatycznym ani na wyciągu i tak dalej, ale bank musiał zatrudniać co najmniej jednego pracownika, który znał nazwisko klienta. Daniela van der See zamordowano prawdopodobnie dlatego, że był właśnie tą osobą. Jedyną, która mogła zidentyfikować właściciela konta.

Sprawca numer cztery próbował zabić Emelie. Albo usiłował ją wystraszyć. Najbardziej przerażony i najmniej przyzwyczajony do używania broni z nich wszystkich. Czaił się i próbował strzelać z dużej odległości pistoletem, który nie był do tego przeznaczony. I dzięki Bogu nie trafił. Przejrzałam talię i wyciągnęłam Maga, który oznaczałby tego sprawcę. Czyżby Petera Lilję? Gdy oskarżyłam go w e-mailach o próbę zabójstwa Emelie, reagował przecież bardzo emocjonalnie. Położyłam kartę obok pozostałych. Miałam teraz przed sobą cztery karty, które symbolizowały cztery różne typy osobowości. Czy było ich więcej? Zostało mi jeszcze jedno morderstwo. Zainscenizowane samobójstwo Lilji. To wymagało trochę więcej namysłu.

Zapikał mój telefon. Rickard napisał esemesa, że nie zdąży już dziś przyjechać. Szkoda, bo musiałam się z nim trochę poprzeczkać pomysłami. Odpisałam mu, przeciągnęłam się, poszłam do kuchni i sprawdziłam, co jest w lodówce. Pozostałam przy winie zamiast przy herbacie, zrobiłam sobie kilka kanapek i zabrałam talerz ze sobą. Wróciłam do swoich rozmyślań. Jeszcze jeden zabójca. Kto zamordował Lilję? Ktoś wystarczająco silny, by przycisnąć broń do jego szyi. Silny w sensie zarówno fizycznym, jak i psychicznym. Nie dość silny jednak, by przycisnąć broń do skroni, co lepiej stwarzałoby stuprocentową iluzję samobójstwa. To morderstwo było najtrudniejsze do analizy. Wymagało sporo odwagi i chłodu emocjonalnego, więc bez wątpienia byli to Śmierć albo Diabeł. Dokonało go któregoś z nich. Miałam więc czterech sprawców, być może pięciu. Więcej ich raczej nie było. Nawet tyle osób związanych jakiegoś rodzaju morderczym paktem trudno utrzymać w ryzach. Im więcej ich było, tym bardziej rosło ryzyko. Odchyliłam się na oparcie. Czy miałam rację? Czy błędziłam we mgle? Nie. Miałam rację. Sprawdziłam, która godzina. Była północ. Wysłałam esemesa do Rickarda, Mattiasa, Emelie oraz Tovy i poprosiłam, żeby zadzwonili do mnie, kiedy tylko wstaną.

Wczesnym rankiem obudził mnie sygnał telefonu. Dzwonił Rickard. Postanowiliśmy, że jak najszybciej spotkamy się w Kryminalnym. Na wpół rozbudzona włożyłam dżinsy, umyłam zęby, związałam włosy gumką i wybiegłam z mieszkania. Gdy dotarłam na miejsce, zadzwonili też Tova i Mattias. Już do nas jechali. Emelie na pewno jeszcze spała. Nie była rannym ptaszkiem.

– Nie ma jednego mordercy. Jest kilku.

– Co?! – spytali chórem Rickard i Mattias.

– Zabijała więcej niż jedna osoba, ale chcą, żeby wyglądało to tak, jakby działał jeden jedyny seryjny morderca.

– To brzmi kompletnie niewiarygodnie. Dlaczego tak myślisz? – zapytała Tova.

– Do zastanowienia skłoniło mnie właściwie to... – Na naszej białej tablicy narysowałam ludzika i przechodzącą przez niego kreskę. – Niby-samobójstwo Lilji. Tak wyglądał kąt strzału. Nawet jeśli to trudne, choć nie niemożliwe, aby strzelić do siebie w ten sposób, nie zgadza się to pod względem zachowania. Istnieje dość dużo badań na ten temat. Potencjalni samobójcy nie są znani z tego, by strzelać do siebie w najbardziej skomplikowany sposób z możliwych.

– To prawda – odezwał się Rickard. – Byłem wczoraj u Kateriny, żeby to sprawdzić. Zgadzam się z twoją analizą. Jaśniej będzie, jak stanę tak. – Podniósł się, udając, że ma w ręce pistolet. Skierował go w stronę mojej szyi. Był ponad dwadzieścia centymetrów wyższy ode mnie, więc kąt wypadł idealnie. – Lilja nie popełnił samobójstwa, tylko

został zamordowany. Ale wywnioskować na tej podstawie, że chodzi o całą grupę... – Rickard pokręcił głową. – Zabiliby w takim razie jednego ze swoich? Dlaczego?

– Nie, statystycznie nie ma na to dowodów. Istniało wprawdzie kilka mordujących par, ale cała grupa? Nie, nigdy. – Mattias pokręcił głową.

– Powołujesz się na statystkę dotyczącą seryjnych morderców. Ale to nie jest seryjny morderca. Opuść sobie statystykę. Nie znajdziesz w niej rozwiązań. Przyjrzyj się raczej takim sprawom jak Joego Hunta.

Mattias wyglądał tak, jakby poprosiła go, żeby się wyzbył ubrań i innych ziemskich dóbr.

– Pomyśl. Nie mogliśmy sporządzić dobrego profilu mordercy, bo jego zachowanie różniło się w przypadku poszczególnych zbrodni. Nie potrafiliśmy zrozumieć jego znaku, czyli kart tarota, bo spreparowali go, żebyśmy połączyli morderstwa. Karty i broń. Używano tej samej broni, ale na spuście trzymały palec różne osoby.

– Ale dlaczego? – spytał Rickard sceptycznie.

– Motywy wciąż się zgadzają: pieniądze, władza, prestiż. Szacunek. Tworząc iluzję seryjnego mordercy, sprowadzili policję na niewłaściwe tory. Mieli dość czasu, aby pozacierać ślady po włamaniach i przelać pieniądze tam, gdzie nigdy ich nie znajdziemy. Władza. Skoro wszyscy strzelali, to wszyscy mają nad sobą władzę. A nam trudniej znaleźć jeden motyw. Trudniej wskazać jednego winnego w razie procesu.

Wszyscy siedzieli w milczeniu, zastanawiając się, co to wszystko oznacza. Rickard pokręcił głową.

– Kurde, wydaje mi się, że możesz mieć rację.

– Chciałabym zobaczyć się jeszcze raz z Daniellą, żoną Petera Lilji – powiedziałam.

Ustaliliśmy nowy termin spotkania w celu złożenia raportu i się rozeszliśmy. Lista rzeczy do zrobienia nie miała końca. Popracowałam nad profilem, zjadłam wczesny lunch, pożyczyłam samochód Rickarda i pojechałam do Danielli.

– Pracowaliśmy nad życiorysem twojego męża. Uważam, z powodów, których nie mogę jeszcze zdradzić, że to nie on mordował, ale że należał do grupy, która robiła to wspólnie. Ktoś nim kierował, być może go oszukiwał. Przychodzi ci do głowy, czym się zajmował albo dokąd często jeździł? Osoba albo grupa, o której opowiadał? Z kim grał w paintball? Z kim się przyjaźnił?

Siedziałam w kuchni u Danielli ze szklanką wody i czerwonym notatnikiem przed sobą. Daniella szorowała kuchnię z zacięciem, które sprawiało mi ból. Była w domu sama, dziecko zostało z jej matką. Skończyła wycieranie blatu i zdjęła żółte gumowe rękawice. Otarła łzy wierzchem dłoni. Zapatrzyła się w okno, gdzieś daleko, daleko.

– Jego kolegów spotykałam bardzo rzadko, najczęściej spędzaliśmy czas sami. Poza tym uważaliśmy, że poza rodziną trzeba mieć swoje życie. Pamiętam niewyraźnie, że wspominał kogoś o imieniu Eric, ale to wszystko.

– Czy zachowywał się ostatnio jakoś inaczej? Robił albo mówił coś dziwnego?

– Podejrzywałam, że mnie zdradza. Opowiadał, że w pracy spotyka się z różnymi grupami. Z grupami, które grają w paintball. Ale przecież miał pracowników. Dlaczego sam miałby zajmować się tyloma grupami? Poza tym patrzył na mnie takim wzrokiem... jakby chciał prosić o wybaczenie. Raz go śledziłam.

Bingo.

– Dokąd pojechał?

Uśmiechała się słabo.

– Do pewnego miejsca na Söder. To było chyba mieszkanie w piwnicy. Wszedł przez drzwi bez żadnych tabliczek. Kiedy stamtąd wyszedł, miał na sobie inny strój. Włosy pofarbowane na czerwono. Był ubrany w cyberpunkowe ubrania w półwojskowym stylu. Wyglądał tak, kiedy się poznaliśmy, ja też, ale naprawdę sądziłam, że oboje zostawiliśmy już ten świat za sobą. – Zaśmiała się. – Nie żeby znowu teraz wyglądał zupełnie normalnie...

– Pamiętasz adres? – Z całych sił trzymałam kciuki.

Daniella pokiwała z namysłem głową.

– Po drugiej stronie ulicy znajdował się nielegalny klub, do którego chodziliśmy, kiedy się spotykaliśmy. I byliśmy świeżo zakochani. – Popłynęły jej łzy. Załkała.

Podałam jej notatnik, a ona zapisała adres.

– Dziękuję. – Poglaskałam ją po ramieniu. – Rozumiem, jakie to trudne. Chcesz, żebym chwilę została?

– Mogłabyś?

– Oczywiście. Zaparzę herbatę.

Zadzwoiłam do Gabriela, podałam mu adres i nastawiłam wodę. Kiedy trwa zwykła policyjna praca, i tak tylko przeszkadzam, więc nie miałam wyrzutów sumienia, że zostaję. Przegadałyśmy większą część dnia, aż do popołudnia. Nie próbowałam już wyciągać z niej żadnych informacji, chciałam tylko jej pomóc przepracować stratę. Doszłam do wniosku, że to silna, stabilna kobieta otoczona silną siecią społeczną, lecz przed nią długa i ciężka podróż. Podałam jej nazwisko dobrego psychologa, który mógłby jej pomóc, i się pożegnałam. Około wpół do czwartej pojechałam do domu. Ściemniało się. Wszędzie leżała mokra breja, droga była śliska, a widoczność kiepska. Wycieraczki pracowały pełną parą. W radiu Celine Dion śpiewała o wiecznej miłości. Po wielu długich chwilach dotarłam do Kungsholmen. Przez dobrych dziesięć minut musiałam szukać miejsca parkingowego, aż w końcu wcisnęłam się w wolny prostokąt. Śródmieście i zima to nie najlepsze połączenie.

Prawie każdy chodnik prowadzący do Kryminalnego był oznaczony tablicami „Uwaga na spadający śnieg!”. Wszystko po to, żeby zarządcy nieruchomości nie musieli odśnieżać dachów ani odpowiadać za to, że ktoś dostał soplem w głowę. Śnieg z jezdni przesuwiał się na krawędzie chodników i zmieniał w jasnobezową maź zmieszaną z wodą. Za żadne skarby nie dało się przejść przez pasy, nie wpadając choć jedną stopą w tę breję, niezależnie od tego, jak daleko się skakało. Pobiegłam truchtem do Kryminalnego, gdzie policjanci sprawdzili adres i przygotowali akcję. Wystarczyło wsiąść do furgonetki i zabrać się z nimi.

Rickard wszedł do lokalu jako pierwszy wraz z sześcioma innymi policjantami. Był wśród nich Predde, którego znałam od śledztwa prowadzonego latem. Wszyscy mieli na sobie pełne wyposażenie ochronne oraz poruszali się miękko, szybko i cicho. Mattias, Tova i ja siedzieliśmy niespokojnie w furgonetce. Widziałam, jak ludzie wchodził przez drzwi po drugiej stronie ulicy. To musi być klub, o którym mówiła Daniella. Nigdzie nie było żadnych szyldów. Fascynowali mnie ludzie, którzy tam zmierzali. Zobaczyłam ubranego na czarno faceta, który wyglądał całkiem normalnie, dopóki się nie roześmiał. Miał szpiczaste kły. Mężczyzna czy kobieta, widziałam tylko tył głowy, o blond włosach sterczących wokół szyjno jak wielka lwia grzywa. Młoda dziewczyna z fioletowymi i żółtymi dreadami, w króciutkiej tiulowej spódniczce w odblaskowo różowym kolorze oraz w fioletowych trzewikach na ogromnych, niezgrabnych koturnach.

– Jak się właściwie nazywa ten styl? – Nie potrafiłam się już w tym rozeznaczyć.

– Cyberpunk, trochę science fiction, trochę muzyki na żywo. Dla każdego coś miłego – wyjaśniła Tova.

– Chodzisz do takich klubów?

Tova serdecznie się roześmiała.

– Nie, nie, dzięki. Jestem miłośniczką gotyku, a nie ultrafioletowym skrzatem. To nie to samo!

Ktoś zapukał w szybę. Był to Rickard. Otworzyłam drzwi.

– Zielone światło. Możecie dołączyć.

Ruszyliśmy za nim całą trójką, zesłaliśmy po stromych piwnicznych schodach i kiepsko oświetlonym korytarzem prowadzącym do masywnych drzwi antywłamaniowych. Żeby dostać się do środka, musieliśmy przestąpić wysoki próg. Naszym oczom ukazał się zupełnie inny świat. Wzdłuż dwóch ścian znajdowały się długie blaty. Stało na nich mnóstwo komputerów. Na ścianach wisiały monitory. Na wszystkich toczyły się linie kodu z filmu *Matrix*. Wodospad zielonych liter i symboli na czarnym tle. Na ścianie ktoś namalował sprayem duże litery „U” i „W” oraz przebijający je miecz. Rozpoznałam ten symbol – Peter Lilja wytatuował go sobie na ramieniu. Logo drużyny paintballowej. Na przeciwnej ścianie wisiały afisz filmu *Łowca androidów*, plakaty reklamowe gry *World of Warcraft* i jeszcze jednej o nazwie *Shadowrun* oraz, zgodnie z oczekiwaniami, powiększona okładka książki *Neuromancer*. Mieszanka fantastyki naukowej i gier komputerowych. Zastanawiałam się, czy jednak to miejsce nie jest w jakiś sposób związane z klubem po drugiej stronie ulicy.

– Chodźcie tutaj! – zawołał Predde, który właśnie otworzył dużą czarną szafę.

Wypełniła ją broń. Została starannie zawieszona.

– Co do... – wykrzyknął Rickard i wyjął wyjątkowo duży pistolet. Obracał go na wszystkie strony.

– Pistolet do paintballa. – Predde zaśmiał się z ulgą i włożył rękę do dużego przezroczystego wiadra z lśniącymi plastikowymi kulkami w kolorze neonowej zieleni i o średnicy mniej więcej półtora centymetra.

– Co to za miejsce? – spytała Tova.

– Kwatera główna – rzekłam, opierając się o krawędź blatu. Przeglądałam porozkładane kartki i wzdrygnęłam się, gdy zobaczyłam wydruk swojej wiadomości do Emelie z pytaniem, czy idziemy na jogę. Na innym wydruku jej adres domowy. Wiedzieli, że się tu zjawimy. Papiery leżały na widoku nie przez przypadek. To była wiadomość. Rozglądałam się w milczeniu jeszcze przez chwilę. Potem odwróciłam się plecami do blatu i popatrzyłam na pozostałych.

– To jest grupa, brygada, klan. W maksymalnym stopniu przypomina sektę, tylko bez udziału jakiegokolwiek religii. Przypuszczalnie członkowie znają się od wielu lat. Mają inteligentnego, charyzmatycznego przywódcę. Jest na tyle zrównoważoną osobą, że dobrze radzi sobie w społeczeństwie. Stanowi siłą napędową. Pozostali go poważają. Być może chronił ich, wspierał lub ratował na przykład w latach szkolnych, co sprawia, że czują wobec niego pewien dług wdzięczności. Grupa uważa się za lepszą od nas, zwykłych ludzi. Pewnie większość z nich, z wyjątkiem przywódcy, wygląda jak Lilja lub jeszcze bardziej ekscentrycznie. Innymi słowy: dużo kolczyków i rzucające się w oczy tatuaże. Spójrzcie na ten klub undergroundowy po drugiej stronie ulicy. Mniej więcej – dodałam szybko, zerkając na Tovę. – Wygląd to czynnik jednoczący. Akt buntu, ale także zbroja, ochrona swojej osoby i prywatności. Jako grupa nie mają problemu z mordowaniem, prawdopodobnie z inicjatywy przywódcy. Musimy sprowadzić tu Andreasa

i Emelie, żeby przejrzyli komputery i sprawdzili, kim oni są. – Wpatrywałam się przez chwilę w wygaszacze ekranu i dodałam: – Chociaż podejrzewam, że wszystkie informacje będą usunięte. Według mnie ci kolesie już w momencie zabójstwa Lilji spodziewali się, że znajdziemy ten lokal.

– Komputery były całkowicie wyczyszczone. Puste. Zostawili w środku tylko kilka wydruków i degaussera, którego użyli do zniszczenia twardych dysków. – Pokręciłam głową.

Wybrałam się z tatą na tradycyjny poranny spacer. Przyszedł po mnie do mieszkania i ruszyliśmy wzdłuż kanału w stronę dzielnicy Karlberg. Przez całe dzieciństwo spacerowałam z tatą po Sztokholmie i gdy tylko mieliśmy okazję, robiliśmy to nadal. Obecnie zdarzało się to nie częściej niż mniej więcej raz w roku. Tata podróżował przez jakieś sto pięćdziesiąt dni rocznie, ale do Sztokholmu raczej rzadko.

– To brzmi zupełnie nieprawdopodobnie. Myślisz, że w jakiś sposób dowiedzieli się, że tam jedziecie? – spytał.

Skinęłam głową.

– Podejrzewamy, że ktoś wysłał e-mail z konta, które zhakowali. Emelie i Andreas mają zespół z Centralnego, który pomaga im sprawdzić cały policyjny system informatyczny, ale to może zająć całe wieki. Wydaje mi się, że mordercy po prostu liczyli się z możliwością, że znajdziemy ich kwatery, gdy poznamy życie Lilji, i się zabezpieczyli.

– No tak, wcale się nie dziwię.

Tata pracował dla ONZ nad szkoleniem korpusów policji na całym świecie w zakresie zwalczania przestępczości finansowej, więc wiedział, o czym mówię. Przez chwilę slishyśmy obok siebie w milczeniu. Pod mostem Sankt Eriksbron i obok działek wzdłuż plaży, które o tej porze roku wyglądały na nieprzyjazne i opuszczone. Przez most Ekelundsbron do mariny Pampas i z powrotem obok pałacu Karlberg. Próbowaliśmy wymyślić sposób, jak sprowadzić rozmowę na mamę. Tata jednak zrobił to za mnie.

– Mama naprawdę nie może się doczekać Seollal. Miło ze strony twojej i Rickarda, że się zgodziliście.

Stanęliśmy przed pałacem.

– Miło jak miło... Nie miałam wyboru. Mama idzie jak walec. Ani trochę nie obchodzą jej moje uczucia ani to, w jakich sytuacjach stawia mnie i innych. – Pokręciłam głową, skrzyżowałam ramiona na piersi i popatrzyłam na zamrznięty kanał. Ktoś rzucił na lśniący lód wypełniony worek, który pękł i wszędzie wysypały się śmieci.

– Zawsze masz wybór – odrzekł delikatnie tata. – Nie daj się zwieść jej ciąglą gadaniną. Bardzo cię kocha i szanuje, ale musisz walczyć o swoje. – Zaśmiał się chrapliwie. – Bez wątpienia niełatwo przy niej dojść do głosu, ale da sobie radę ze sprzeciwem. Musisz myśleć częściej o sobie niż o niej.

Pokiwałam głową, lecz nic nie odpowiedziałam. Słyszałam to już wcześniej. Odwróciłam głowę, żeby tata nie zauważył mojego płaczu. Kochałam mamę, jednak zawsze wywoływała we mnie uczucia frustracji i niezrozumienia. Miałam wrażenie, że nigdy naprawdę się do siebie nie zbliżyłyśmy, nigdy poważnie nie rozmawiałyśmy. Całe życie usiłowałam sprawić, żeby dostrzegła mnie taką, jaka jestem, i za to mnie szanowała. I chyba nigdy mi się nie udało. Tata objął mnie ramieniem.

– A co byś powiedziała na filiżankę mocnej kawy i porządną kanapkę?

– Dobra propozycja. Zmarzłam na kość!

Przeszliśmy pod autostradą i skierowaliśmy się pod górę na Rörstrandsgatan. Kiedy dotarliśmy do malutkiej kafejki, trochę się rozpogodziłam. Rozmawialiśmy dalej o wszystkim, co nam tylko przyszło do głowy. Tak cudownie było mieć tatę przez chwilę tylko dla siebie, bez nieustannego trajkotania mamy. W końcu musieliśmy się jednak pożegnać. Tata miał umówioną konferencję telefoniczną, a ja musiałam jechać do Wydziału Kryminalnego. Poszłam na przystanek przy Sankt Eriksbron i wsiadłam do autobusu. Ledwo dojechał do klasycznej reklamy Tulo po drugiej stronie mostu, gdy zadzwoniła Emelie.

– Przynęta chwyciła!

– Jaka przynęta?

– Ktoś w naszym systemie próbuje się dostać do podrobionego raportu policyjnego.

– Ciagle nic nie rozumiem.

– Wysłałam ci e-mail, w którym prosiłam, żebyś uzupełniła raport policyjny. Miał być przynętą dla mordercy. Pamiętasz? Słabo zaszyfrowałam nazwę użytkownika i hasło. Plan polegał na tym, że Case w niego wchodzi, a ja mogę

go śledzić.

– Okej... – Zaczynałam powoli rozumieć.

– W naszym systemie jest w tej chwili najprawdziwszy haker. Jerker i ja monitorujemy jego ruchy. Przyjedź i weź ze sobą coś słodkiego i kalorycznego. A teraz muszę zadzwonić do Andreasa.

Rozłączyła się. Dłuższą chwilę wpatrywałam się w telefon. A więc haker, który czytał moje e-maile, dostał się do systemu Emelie. Wsiadłam z autobusu przy Västermalmsgallerian i przebiegłam przez jezdnię pokrytą brunatną breją, o mały włos uniknęłam rozjechania i akurat zdążyłam na autobus jadący w przeciwną stronę. W Pressbyrån na Roslagsgatan kupiłam trzy duże muffiny i pobiegłam truchtem do biura.

Emelie wbijała wzrok w monitor i gorączkowo pisała na klawiaturze. Jerker siedział przy sąsiednim stole i wpatrywał się równie intensywnie. Zerknęłam na ekran, ale nic nie rozumiałam. Poszłam więc zaparzyć im kawę. Związałam mokre włosy. Kiedy wróciłam, niosąc muffiny i pełne kubki, oboje siedzieli odchyleni na oparcia i wyglądali na bardzo zawiedzionych.

– Myślałam, że idzie dobrze. Coś się stało? – zapytałam.

– Wyłądowaliśmy u dostawcy internetu. W jakiś sposób musimy się dostać do tego konta.

– Nie mogłaby tego załatwić policja?

– Nie, o ile to nie osoba, która zrobiła coś skrajnie nielegalnego. Poza tym znam właściciela tej firmy. Elliot prędkiej da się zabić, niż... – Nagle dotarło do niej, co właśnie powiedziała. – Przecież go znam! – Natychmiast otworzyła okno na ekranie. – Jerker, możesz na chwilę zniknąć? Muszę teraz wykorzystać swoją... kobiecość, ale mi trudno, kiedy siedzisz obok. – Jerker zaśmiał się tylko z lekkim zażenowaniem i odszedł, by usiąść przy biurku.

Emelie wysłała wiadomość do Elliota przez komunikator MSN. Odpisał od razu. Zaczęło się intensywne pisanie. W końcu Emelie się uśmiechnęła.

– Dostałam dane!

– A co dasz w zamian? – spytałam.

– Nie chcesz wiedzieć, ale nie jest to zbyt duże poświęcenie. Ten koleś jest w sumie naprawdę fajny!

– Emelie, jesteś genialna! Jadę do Kryminalnego, żeby im pomóc. Zadzwonię później.

Włożyłam na siebie zimny i mokry płaszcz. Emelie zamówiła dla mnie taksówkę, a ja na schodach zatelefonowałam do Rickarda.

Odprawa już trwała, kiedy z dużą kanapką w dłoni wślizgnęłam się do obszernego, niemal całkowicie wypełnionego pokoju socjalnego. Gabriel mówił:

– Facet, który wpadł w pułapkę Emelie, nazywa się Martin Thompson. Ma dwadzieścia osiem lat. Zarejestrowany jako właściciel firmy zajmującej się optymalizacją wyszukiwarek internetowych. Jej siedziba znajduje się na Mariatorget na Söder. Martin mieszka na Norrbackagatan. Nie jest ujęty w żadnym z naszych rejestrów. Nigdy wcześniej nawet nie dostał mandatu na złe parkowanie. Akcję przeprowadzimy jednocześnie w biurze i w domu. Andersson i Preusler pojadą do jego miejsca pracy. Rekwirujcie wszystko.

W pomieszczeniu wyczuwało się napięcie. Energię i zniecierpliwienie.

– Pamiętajcie, że nawet jeśli to komputerowy nerd, też może być mordercą. Tego jeszcze nie wiemy. Althea pojedzie do mieszkania, gdybyśmy napotkali jakieś problemy.

Gabriel spojrzął na mnie. Skinęłam głową. W takich okolicznościach niejednokrotnie dochodziło do sytuacji z uprowadzeniem zakładników lub próbą samobójczą sprawcy, więc warto mieć pod ręką psychologa.

Zajęłam miejsce na tylnym siedzeniu nieoznakowanego samochodu – jaskrawoniebieskiego zdezelowanego forda ze śladami rdzy. Zaparkowaliśmy obok kościoła Filadelfia na Rörstrandsgatan. Zostałam w aucie sama. Przede mną długie czekanie. Wyciągnęłam z torebki talię tarota i bawiłam się bezmyślnie kartami. Dopiero kiedy się zorientowałam, że poukładałam je po kolei, a każdą z nich przed wsadzeniem z powrotem pogładziłam, zdenerwowana odłożyłam talię.

Siedząc tak w samochodzie, próbowałam zrozumieć i wyjaśnić wydarzenia ostatniej doby, żeby mieć coś do roboty podczas czekania. Nie zadziałało. Mój mózg zorganizował strajk. Bolało mnie całe ciało. Policjant, który prowadził samochód, otworzył drzwi kierowcy i zajął do środka.

– Zdążył pojechać do biura przed naszym przyjazdem. Zgarniają go teraz stamtąd. Nie chce absolutnie nic powiedzieć. Zamierzają poczekać z przesłuchaniami do jutra i zobaczyć, czy zmięknie. Będziemy nadal obserwować mieszkanie, żeby sprawdzić, czy nie wchodzi do niego nikt inny. Podrzucę cię do domu.

– Nie trzeba, dzięki. – Chciałam wysiąść z samochodu i iść na metro. Policjant wyglądał na zakłopotanego.

– Rickard mówił, żebym nie pozwolił ci jechać metrem. Że koniecznie mam cię odwieźć do domu.

Przeciągnęłam ręką po włosach.

– Dobra, nie będę uprzykrzać ci życia. Mieszkam na Kungsbros Strand. Pomogę ci trafić.

Uśmiechnął się i odpałił silnik. Odchyliłam się z zadowoleniem na oparcie. Mieliśmy go.

– Jaką obieramy taktykę? – spytał Gabriel po szybkim zrelacjonowaniu wczorajszych wydarzeń przy kawie i kanapkach w naszym centrum dowodzenia. Był czwartek, wpół do ósmej rano.

– Myślę, że możemy dostać od Martina nazwiska pozostałych typów, uderzając w czuły punkt – jego strach przed wykluczeniem z grupy lub zabójstwem, jeśli reszta się dowie, że go zatrzymano. Na pewno trzęsie portkami po tym, co zdarzyło się Lilji – powiedziałam.

– Mogę sprawdzić – odezwał się Rickard. – Ale jak na razie ten koleś nie chciał powiedzieć ani słowa.

– Mogę spróbować? – zapytałam. Przesłuchania były jedną z moich specjalizacji, napisałam o nich pracę dyplomową. Do tej pory jednak szwedzka policja nie pozwalała mi ich przeprowadzać.

Rickard wahał się przez kilka sekund. Popatrzył na mnie. Skinął głową.

– Dobra, spróbuj.

Wypuściłam powietrze z płuc, bo zdałam sobie sprawę, że wstrzymywałam oddech.

– Dziękuję. – Za co niby dziękowałam, jak jakaś uczennica? Policja zaangażowała mnie, bo coś potrafiłam, a nie dlatego, że byłam miła. – Zanim tam wejde, chciałabym dostać krótką informację, co o nim wiemy.

– Cóż, to nic trudnego, bo jeszcze niezbyt wiele. Ma dwadzieścia osiem lat. Rodzice pracują w Rijadzie dla jakiejś spółki naftowej. Urodził się i dorastał w Sigtunie.

– W Sigtunie? A czy Peter Lilja też stamtąd nie pochodził? – zapytałam.

– Właśnie. Wysłałam do gminy prośbę o listy uczniów, niedługo będą. Poprosiliśmy też o informacje z jego banku, też powinny być w drodze.

– Raczej nie Lindstein, co? – zapytałam.

Tova się zaśmiała.

– Nie, to by dopiero było bezczelne!

– Cóż, dużo więcej nie wiemy, ale jeszcze przed południem informacje powinny spłynąć – zapowiedział Rickard.

– Dobra, to teraz spróbuję.

Poszliśmy do aresztu. Przed wejściem przyglądałam się chwilę Martinowi. Ucieszyłam się na ten widok. Jego dłonie lekko drżały, a on był bladej jak ściana. Długie włosy farbowane na czarno i bluza z kapturem w tym samym kolorze potęgowały bladłość. Przypominał mi hipernerwowego Dregena z Backyard Babies albo Lisbeth Salander. Koleś miał w sobie tylko odrobinę więcej męskości niż ona. Cały czas wbijał wzrok w swoje dłonie i obgryzał paznokcie pomalowane startym czarnym lakierem. Próbował się ukryć za długą grzywką. Nie odezwał się słowem do Rickarda, który przyprowadził go do pokoju przesłuchań, nie zażądał nawet adwokata, chociaż Rickard zachowywał się wobec niego przykładowie i uprzejmie. Ten chłopak był odważny tylko w internecie i miał tam pewnie ogromne ego. Ale w realnym życiu czuł się onieśmielony. Jego wizerunek odgrywał dużą rolę. Siedząc w pokoju przesłuchań, starał się ze wszystkich sił wyglądać obojętnie, ale w ogóle mu to nie wychodziło. Nie mógł przestać tupać nogą ani przesuwać rozbieganym wzrokiem po podłodze. Dobrze. To raczej nie będzie żaden problem. Weszłam z dwiema filiżankami kawy, jedną postawiłam przed nim i wyciągnęłam rękę.

– Hej, nazywam się Althea Molin i jestem profilerką. Moglibyśmy chwilę porozmawiać o twoich znajomych? – Wysunęłam krzesło i usiadłam naprzeciwko niego. Zauważyłam, że ma wielkie trudności z podjęciem decyzji, jaki przybrać wyraz twarzy. Próbował wyglądać jednocześnie na zaskoczonego i niewzruszonego.

– Wiem, że cała ta afera to nie twój pomysł. Przechlapane, że to akurat ty wpadłeś, no nie?

Prychnięcie.

– Cały policyjny dział techniczny jest pod wielkim wrażeniem twojego programowania. Bank pewnie nadal się do końca nie zorientował, co się wydarzyło.

Lekceważące, sztucznie obojętne potrząśnięcie głową.

– Wiesz, co się teraz stanie, prawda?

Brak odpowiedzi, ale byłam pewna, że skoczył mu puls.

– Jestem profilerką. Zajmuję się więc przewidywaniem i interpretowaniem ludzkiego zachowania.

Pochyliłam się odrobinę nad stołem, ale nie tyle, by wtargnąć w jego sferę osobistą.

– Udało się wam nakłonić policję do szukania seryjnego mordercy, który dokonał też włamania do Lindsteina.

Odchyliłam się, jedną rękę przewiesiłam przez oparcie krzesła, a drugą mu pomachałam.

– A ty siedzisz tutaj. Wiemy, że to ty włamałeś się do banku. I że przynajmniej raz trzymałeś pistolet. – Chciałam nim mocno wstrząsnąć.

Martin przełknął ślinę i skrzyżował ramiona. Gdzieś głęboko zatańczyłam z radości. Wybrałam odpowiednią taktykę! Działało! Wzięłam długi łyk kawy, niby z namysłem, celowo na niego nie patrząc. Odstawiłam filiżankę i pochyliłam się z powrotem, oparłam na łokciach i splołam dłonie.

– Dlaczego policja nie miałyby uznać, że zamordowałeś ich wszystkich? Jedyne, co muszą zrobić twoi tak zwani przyjaciele, to trzymać się z boku. Przez jakiś czas nie podnosić głowy, aż wszystko się ułoży. I po problemie.

Poczekajłam chwilę, aż słowa do niego dotrą. Przyglądałam mu się w zamyśleniu. Odważę się jeszcze bardziej przykręcić śrubę? Jego prawa powieka lekko drgała, a on przygryzał dolną wargę. Dobry znak. Jego myśli pewnie teraz galopowały. Miałam rację? Czy zrobiliby mu coś takiego? Byliby w stanie? Równie dobrze mogłam od razu jeszcze trochę podrażnić.

– Poza tym chyba wiesz, co się stanie, gdy pozwolimy ci stąd teraz wyjść. Uznają, że to w porządku? Uwierzą, że nic nie powiedziałaś? Znam co najmniej jedną osobę, która byłaby cholernie niezadowolona i która całkiem chętnie stosuje przemoc. Pozostali pewnie pozwolą jej działać. I tyle masz z nierozzerwalnej grupy. Pomyśl, co się przydarzyło Peterowi.

Umilkłam. Podrapałam się po nosie. To, jak przedstawię kolejną kwestię, było rozstrzygające. Wóz albo przewóz.

– Jedyne sposob, w jaki możesz się z tego wszystkiego wywinąć, to wszystko opowiedzieć. Przekonać nas, że nie działałeś sam. Jeśli tak się stanie, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by przekonać prokuratora, że tak naprawdę w ogóle tego nie nakręcałeś.

Uśmiechnęłam się krótko i poczekałam na jego reakcję. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił ani na mnie nie patrzył, ale w końcu skinął głową.

– Okej. Opowiem. Ale żadnych nazwisk.

– Oczywiście. Mogę się na to zgodzić. Chcesz coś zjeść, kiedy będziemy rozmawiać?

Potrzebowałam pretekstu, żeby wyjść i pomówić z Tovą i Rickardem.

– Kanapkę. I chciałbym dostać kubek herbaty.

– Zaraz to załatwię.

Opuściłam pomieszczenie i zamknęłam za sobą drzwi. Na zewnątrz stali Rickard, Gabriel, Tova i Mattias.

– Dobra robota – pochwalił Mattias.

– Dzięki. Spróbuję wyciągnąć od niego informacje, które umożliwią wam jak najszybszą identyfikację pozostałych typów, ale trzeba będzie ułożyć sporą układankę. Od żony Petera Lilji mamy już jedno imię: Eric. Zaczniście od niego.

– Będziemy słuchali stąd waszej rozmowy i spróbujemy działać w tym samym czasie – odparł Rickard.

– Skombinuję kanapkę – powiedziała Tova i odeszła.

Skinęłam głową i spojrzałam na zegarek. Dziewiąta. Najpóźniej za pięć minut muszę wejść z kanapką, żeby nie zaczął się zastanawiać, dokąd poszłam. Włączyłam telefon. Dostałam esemesa od Jerkera z Infosecu, żeby się odezwała, kiedy tylko będę mogła. Oddzwoniłam.

– Wiesz, gdzie jest Emelie? Godzinę temu mieliśmy zorganizować specjalne spotkanie. Nie możemy się z nią skontaktować – powiedział Jerker.

Emelie nigdy w życiu nie opuściłaby spotkania, które sama zwołała. Natychmiast się zaniepokoiłam. Czy coś jej się stało? Przewróciła się gdzieś? Jej rana zdecydowanie się jeszcze nie zagoiła. Jeśli z powrotem się otworzyła, Emelie mogłaby szybko stracić bardzo dużo krwi.

– Byliście w mieszkaniu?

– Ech, nieee, nie chcieliśmy...

– Klucz jest przymocowany pod jej biurkową szafką. Zadzwoni do mnie, jak już sprawdzicie. I proszę, nie dotykajcie niczego w środku. Nie żeby podejrzewała was, że... Ale jeśli ktoś tam był, musimy zachować odciski palców.

– Jasne, rozumiem.

– Rickard, mogę z tobą chwilę pomówić? – spytałam.

Skinął głową, po czym odeszliśmy w głąb korytarza.

– Co się stało? – spytał cichym głosem, gdy znaleźliśmy się tuż poza zasięgiem słuchu pozostałych.

– Emelie zniknęła. Nie możemy jej znaleźć. Chłopaki z Infosecu sprawdzają teraz jej mieszkanie. Nie miałam z nią kontaktu, odkąd wysłodziła Martina wczoraj przed południem. A jeśli drugi raz próbowali ją zabić?

– Nie brzmi to dobrze. Zobaczą, co mogę z tym zrobić. – Popatrzył na mnie badawczo. – Jak się czujesz?

Otoczyłam się ramionami. Było mi zimno, chociaż czułam kroplę potu spływającą po plecach. Zaciskała mi się teraz wokół piersi dobrze znana żelazna obręcz. Niezawodna mieszanka stresu i paniki. Wysłam stamtąd. Opuściłam Emelie. Byłam tak zajęta profilowaniem, że nie poświęciłam jej ani jednej myśli. Najmądrzejsza kobieta, jaką znałam, jeśli chodziło o wszystko poza nią samą. Gdzie teraz była? Czy żyła? Poczułam, jak usta wypełniają mi się śliną, a mdłości uderzają we mnie jak betonowa ściana. Pobiełam do najbliższej toalety i obficie zwymiotowałam. Dłuższą chwilę stałam tam oparta o ścianę, aż trochę się opanowałam. Najlepszą rzeczą, którą mogłam obecnie zrobić, to pomóc w schwytaniu pozostałych zabójców. I wyciągnąć jak najwięcej od Martina. W stu procentach ufałam, że Rickard zrobi wszystko, by znaleźć Emelie.

Rozległ się sygnał mojej komórki. Chłopaki z Infosecu oddzwoniły. W mieszkaniu też nie było Emelie. A więc na pewno zaginęła. Wróciłam do Rickarda.

– Nie ma jej w domu.

– W porządku. Jadę się tam rozejrzeć. Skup się na przesłuchaniu. Obiecuję, że ją znajdę. Dam znać, kiedy tylko czegoś się dowiem.

Zastanawiałam się krótką chwilę. Była moją najlepszą przyjaciółką. Chciałabym poruszyć niebo i ziemię, żeby ją znaleźć, ale co mogłam zrobić? Pokiwałam głową.

– Okej. Zostaję tutaj.

Musiałam się skoncentrować i pomóc w śledztwie. Wzięłam kilka głębokich wdechów i weszłam do Martina Thompsona.

– Opowiedz mi o tej grupie i włamaniu do banku. Jak to się zaczęło?

– Znamy się od zawsze. Założyliśmy klan i zaczęliśmy brać udział w internetowych turniejach Counter-Strike'a. Przez kilka lat graliśmy na profesjonalnym poziomie i zarabialiśmy niezłe pieniądze. Jeszcze w szkole.

– Na turniejach Counter-Strike'a?

– Tak. – Martin rzucił się na kanapkę przed sobą.

Nie miałam pojęcia, że można na tym zarabiać, ale nie chciałam się teraz do tego przyznawać. Między jednym kęsem a drugim dodał:

– A potem się skończyło. Kilku z nich zaczęło uprawiać paintball, mówili, że w realu jest fajniej. – Martin potrząsnął głową. Było jasne, że się z nimi nie zgadza.

– A ty?

– Ja i Johan...

Widziałam, jak zaklął pod nosem w tym samym momencie, w którym wymówił imię. Udałam, że tego nie zauważyłam.

– ...poświęciliśmy się bardziej programowaniu i założyliśmy własną firmę, która zajmowała się optymalizacją wyszukiwarek internetowych i innymi rzeczami, bardziej niszowymi.

– Twoja firma robi to dalej?

– Tak, mniej więcej.

– Trzymaliście się ciągle z resztą chłopaków?

– O tak. Mieszkaliśmy razem. Impreza dwadzieścia cztery godziny na dobę. A potem... H. znalazł dobrą pracę, Peter założył firmę paintballową i się ożenił. Myślałem, że klan się rozpada, aż do momentu, w którym H. wpadł na pomysł, żeby wyprowadzać pieniądze z banku. Spytał, czy ja i Johan jesteśmy dość dobrzy, żeby załatwić sprawy techniczne.

Przewrócił oczami. Najwidoczniej w swoim mniemaniu był więcej niż „dość dobry”. Szkoda, że wyciągnął naciągę ze swojego błędu i nie podał mi jeszcze jednego imienia. Uśmiechnęłam się do niego, czekając na ciąg dalszy.

– Znalezienie odpowiedniego dojścia zajęło nam parę miesięcy, ale mieliśmy duże wsparcie.

– Znalście Pontusa? To on założył konto użytkownika?

– Nie, on po prostu przez przypadek natknął się na konto przy okazji jakiejś corocznej kontroli. Cholerna szkoda, że był taki dokładny, bo inaczej nadal by żył.

– To ty go zastrzeliłeś?

– Nie, w żadnym razie. To B.

– Opowiedz mi o B.

– Ma nierówno pod sufitem. Czasami jest zupełnie normalny, naprawdę spoko. A czasami totalnie mu odbija. Zaczyna wymachiwać pistoletem i opowiadać, że będzie strzelał do ludzi.

– Czy miał wcześniej broń?

– Tak, kupił ją od jakiegoś Polaka, tak mówił.

Nie udało nam się jej wyśledzić, więc pewnie było prawdą, że importowano ją nielegalnie.

– Gdzie pracuje B.?

Martin milczał przez chwilę.

– Nie powiem.

– W porządku. A więc Pontus zginął, bo wpadł na ich ślad. A Rönndahl?

– Został zamordowany, bo H. uznał, że miał za dużą wiedzę. – Martin upił łyk herbaty.

– Czy Rönndahl wiedział, czym się zajmujecie?

– Nie, nie do końca. Peter i H. zdobywali od Rönndahla informacje, co się stanie, jak ktoś oszuka państwo na pieniądze, a kiedy on się dowiedział, że zastrzelono kogoś z Lindsteina, zadzwonił do Petera. Wściekł się na maksa

i groził, że pójdzie na policję. H. zdecydował, że Rönndahl musi zniknąć. To było po tym, jak Peterowi odbiło i do ciebie napisał.

– Wiedzieliście, że od początku się ze mną kontaktował?

Mózg pracował mi pełną parą. Jak Rönndahl miałby połączyć Lilję z Lindsteinem?

– Tak. Czytaliśmy twoje e-maile od dość dawna. Ogarniamy to znacznie lepiej, niż wam się wydaje.

Zignorowałam jego lekceważący uśmiech i przełknięciem śliny stłumiłam mdłości, które zaczęły powracać. Próbowałam rozpaczliwie odwrócić swoją uwagę od Emelie. Jeśli zacznę się niepokoić, nie dam rady przeprowadzić przesłuchania.

– Zhakowaliście jeszcze czyjąś pocztę? – spytałam.

– Nie powiem.

– Jak zareagował Peter Lilja, kiedy H. chciał się pozbyć Rönndahla? Domyślam się, że to nie on go zastrzelił?

– Nie, to nie on. Petrowi odbiło. Chciał to ujawnić. Chciał ci wszystko powiedzieć.

– To kto zastrzelił Rönndahla? Ty?

– Nie, do cholery, ja nikogo nie zastrzeliłem!

– Nie? To kto?

– Johan.

– Kto strzelał do Emelie?

– Peter.

– Kto zastrzelił Petera?

– B., jak mi się zdaje.

Przyglądałam mu się uważnie. Nie miałam całkowitej pewności, czy to prawda. Mogło być też tak, że to Martin zabił Rönndahla, a może postrzelił Emelie. Ale pogrzebię w tym później.

– Dobra. A dlaczego Emelie wam zagrażała?

– Napisała ci przecież, że doniesie na policję. Myśleliśmy, że da sobie spokój, kiedy zniszczyliśmy wszystkie twarde dyski Infosecu, ale się nie poddała. Wiedziała za dużo.

– Próbowaliście zastrzelić też mnie czy tylko Emelie?

Martin uciekł wzrokiem.

– Rozumiem. No i ostatnia ofiara, Daniel van der See. Zamordowany, bo mógł zidentyfikować osobę, która otwierała wasze konta numeryczne, prawda?

– To wina Emelie. To jej się udało wyśledzić konta.

Nie pamiętałam, żeby w naszych e-mailach pojawiła się ta ostatnia informacja. Zaczynałam powoli przypuszczać, jak to wszystko się ze sobą łączyło.

– Dlaczego do ataku wybraliście Lindstein?

Martin zamilkł na chwilę, a potem odrzekł:

– Nie powiem.

– W porządku. To ty wpadłeś na taktykę salami? Ty napisałeś program?

– Tak. Ja i Johan.

– Był niesamowicie dobrze wykonany. Jak pieniądze z kont numerycznych przekazywaliście z powrotem do Szwecji? Przez zagraniczną fundację?

– Tak.

– Która z kolei posiada wasze firmy?

– Tak – odpowiedział, odwracając wzrok. Stawał się coraz bardziej opryskliwy. Nie chciał rozmawiać o finansach. Całkiem zrozumiałe. Pewnie wciąż wierzył, że istnieje szansa na ukrycie części zysków.

– Wszyscy macie własne firmy?

– Nie powiem.

– Opowiedz mi o H. Wydaje się waszym przywódcą. Jest tak? Czy uważa, że jest od was lepszy i mądrzejszy?

Prychnięcie i uniesienie brwi. Strzał w dziesiątkę.

– Zaczął się za bardzo rządzić?

– Tak.

– Wcześniej graliście bardziej zespołowo? Sądzi, że to wszystko jego pomysł?

– Coś takiego.

– Chociaż zawsze to on był przywódcą, prawda? To on umiał zagadać tu i tam i załatwiać wam korzyści? Wyciągał was z tarapatów? – Zaczynałam rozumieć dynamikę tej grupy.

– Tak.

Miałam pewne podejrzenie, które warto było sprawdzić.

– Czy H. pracuje w banku?

Martin popatrzył na mnie szybko zalęknionym spojrzeniem, po czym z powrotem wbił wzrok w podłogę.

– Nie powiem.

Innymi słowy – miałam rację. Dowiedziałam się, kto to. Co za kanalia!

– W porządku. – Westchnęłam i udałam rezygnację. – Proponuję, żebyśmy zrobili przerwę na lunch, a po południu jeszcze porozmawiamy. – Musiałam szybko stąd wyjść.

Martin skinął głową.

Opuściłam pomieszczenie, dokładnie zamknęłam za sobą drzwi i niemal wpadłam na Tove, Mattiasa i Rickarda, którzy tuż pod pokojem przesłuchania rozstawili duży stół, a na nim komputery. Przytaszczyli też dużą białą tablicę. Była całkowicie zamazana.

– Tak blisko łatwiej się pracuje – wyjaśniła Tova.

– Fredrik Hesslow! – oświadczyłam.

– Kto? – spytał Rickard.

– Fredrik Hesslow jest kontrolerem w Lindsteinie i osobą do kontaktu Emelie. To on jest przywódcą grupy.

– Jakim cudem do tego doszłaś? – chciał wiedzieć Rickard.

– Martin powiedział, że Peter Lilja zabrał ze sobą przywódcę, czyli H., do Rönndahla, żeby dowiedzieć się więcej o przestępstwach finansowych. Kiedy były prokurator przeczytał o śmierci Pontusa, wściekł się i zadzwonił do Petera. Dlaczego miałby tak zareagować, jeśliby nie wiedział, że Lilja ma związek z bankiem? Musiał wiedzieć, że Hesslow tam pracuje. Martin powiedział też, że Emelie wiedziała za dużo o ich kontaktach numerycznych. Nigdy na ten temat do siebie nie pisałyśmy w e-mailach, ale poinformowała o tym Hesslowa i Carla Lindsteina, kiedy składałyśmy im raport. Poza tym Martin wystraszył się, kiedy spytałam, czy przywódca pracuje w banku. Sądził, że wyjawiał coś, co pozwoliło mi się tego domyślić, jak w zasadzie było.

Wściekałam się na samą siebie, że wcześniej tego nie zauważyłam. Że gdy spotkałam Fredrika, niczego w jego zachowaniu nie dostrzegłam. Przez cały czas nas kontrolował i sprawdzał, ile wiemy. Dostawał raporty od niczego nieświadomej Emelie. To dlatego tak ją adorował. Siedziałam z nim na spotkaniu! Z tym bydlakiem! Teraz też dokładnie wiedziałam, kto porwał Emelie. Pytanie brzmiało, czy istniała jakakolwiek możliwość, że jej nie zabił. Poczulałam, że zbliżam się do granicy wytrzymałości. Przełknęłam ślinę i oznajmiłam:

– To on musiał porwać Emelie.

– Też o tym pomyślałam – odpowiedział Rickard, po czym wyjął telefon i zadzwonił do Gabriela. – Dowiedz się wszystkiego, czego tylko możesz, o Fredriku Hesslowie z banku Lindstein. Wyślij kilku obserwatorów, żeby go znaleźli i mieli go na oku. Być może to on porwał Emelie. – Rickard słuchał, co mówi Gabriel po drugiej stronie linii, po czym podziękował i się rozłączył.

– A tak w ogóle domyśliliśmy się kilku pozostałych nazwisk – rzekła Tova.

– Tak? Super! – Podeszłam do jej komputera. Ucieszyłam się, że mogę zająć myśli czymś innym. Mattias podsunął mi krzesło, a ja położyłam przed sobą notatnik i telefon, na wypadek gdyby zadzwonili Emelie lub ktoś z Infosecu.

– Zestawiłam listy wszystkich uczniów, którzy chodzili do szkoły Arlandaskolan w Märsta w tym samym roku co Martin z listami członków drużyny paintballowej Urban Warriors. Trafiłam na tego kolesia. Nazywa się Eric Björck. Dorastał w Märsta. Ma mieszkanie w dzielnicy Liljeholmen. Trzykrotne przekroczenie prędkości w zeszłym roku. Trzykrotnie zgłoszony za stosowanie przemocy. Raz skazany, dwie umorzone sprawy. Jeździ mercedesem SL. Czyli kabrioletem. Cholernie drogi, efekciarski samochód.

– Märsta, nie Sigtuna?

– Leżą zaraz obok siebie, a do Arlandaskolan chodzą uczniowie z obu miast – odparła Tova.

Z zastanowieniem pokiwałam głową.

– Pasuje do opisu osoby, którą Martin nazywał „B.”. Czym się zajmuje?

– Ma własną kawiarenkę internetową na Södermalmie. Według ostatniego zeznania podatkowego troje pracowników.

- Rodzina? – zapytał Mattias.
- Rodzice nadal mieszkają w Märsta. Kawaler, nie ma dzieci.
- Dobra. Mamy zdjęcie?
- Zobacz – powiedziała Tova.

Odwróciłam się do jej komputera. Zdjęcie Erica zrobiono przy okazji wywiadu dla czasopisma „Sportmagasinet” na temat jego kariery paintballowej. Miał prawie dwa metry wzrostu, pomalowane na czarno rozczochrane włosy i bladoszare oczy. Nosił obcisły czarny T-shirt z białym nadrukiem „H+”. Muskularne ramiona były pokryte tatuażami.

– Morderca Pontusa, jeśli wierzyć Martinowi – powiedziałam. – Moje wnioski na temat jego osobowości na podstawie tego, co mówisz, tylko mnie w tym utwierdzają, zresztą jego wzrost zgadza się z kątem strzału. Martin mówił prawdę. Impulsywny i gwałtowny. Obeznany z bronią. Obnosi się z pieniędzmi, ale bez zastanowienia. To jest Diabeł. Jak się nazywa drugi typ, którego znalazłaś?

– Johan Andersson. Trafiłam na niego, sprawdzając firmę Martina Thompsona. Wszystkie spółki akcyjne muszą mieć zarząd. W tym poza samym Martinem zasiada Johan Andersson, który na dodatek chodził z nim w szkole średniej do jednej klasy. Johan ma też własną firmę konsultingową pod tym samym adresem, a w jej zarządzie jest Martin Thompson!

– Co za głupota z ich strony, że tak sobie nawzajem pomagają – odezwał się Mattias.

– Pewnie nigdy się nie spodziewali, że tak dokładnie ich prześwietlimy – odpowiedziałam.

– Mamy jakieś zdjęcie?

– Niestety nie. A raczej całe mnóstwo. „Johan Andersson” to całkiem popularne nazwisko w Szwecji – odparła Tova.

– Nie mamy zbyt wielu informacji, na których można się oprzeć – zauważył Mattias.

– Masz rację. Według Martina to Johan zamordował Rönndahla, ale nie jestem tego taka pewna. Równie dobrze mógł to zrobić Martin. Z taką ilością danych nie da się tego stwierdzić. Zobaczymy, jak już trafi do aresztu.

Wszedł do nas Gabriel, niosąc w ręce plik papierów.

– Wiemy już więcej o Hesslowie. Ma domek letniskowy w Vaxholm i mieszkanie przy Karlaplan. Nie ma go w pracy ani w domu. Zarejestrowane na niego bmw zniknęło. Wszyscy członkowie zespołu obserwacyjnego jeżdżą na łyżwach po lodowisku w Kungsträdgården, żeby mieć na oku wejście do banku. Inna grupa pije kawę w kawiarni niedaleko mieszkania. Jedna brygada jest w drodze do domku letniskowego w Vaxholm. Wszczęto poszukiwania jego czarnego mercedesa. Teraz tylko czekamy, aby dostać zgodę na wejście do mieszkania i domku. Może to zająć trochę czasu, bo nie mamy jeszcze żadnych rzeczywistych dowodów, że Hesslow jest w to zamieszany. Johan Andersson i Eric Björck znajdują się pod obserwacją. Obaj przebywają pod domowymi adresami. Zgarniamy ich natychmiast. Zwołałem w tej chwili odprawę. – Machnął ręką na znak, żebyśmy szli za nim.

– Dobra robota – rzekł Rickard.

Wstaliśmy i poszliśmy do wypełnionej po brzegi sali konferencyjnej. Gabriel poprosił o uwagę. Wszyscy zamilkli i na niego popatrzyli. Zaczął mówić:

– Dobrze. Zaczynamy. Przeprowadzimy jednocześnie cztery akcje. Dwie z nich, żeby zająć sprzęt, i dwie w celu pojęcia wskazanych osób. Gdy tylko otrzymamy odpowiednie dokumenty, przeprowadzimy także przeszukiwanie u domniemanego lidera, Fredrika Hesslowa. Zarówno w mieszkaniu, jak i w domku letniskowym. Zniknął, ale mamy nadzieję, że w którymś miejscu znajdziemy poszlaki co do tego, gdzie może przebywać. Na razie koncentrujemy się jednak na Johanie Anderssonie i Ericu Björcku. To cholernie ważne, aby ci kolesie nie mieli możliwości kontaktu ani nawet spojrzenia na komputer, telefon czy inną elektroniczną zabawkę. Pod żadnym pozorem nie chcemy, żeby zniszczyli potencjalne dowody. W dodatku istnieje możliwość, że któryś z podejrzanych wziął zakładniczkę. Od wczorajszego wieczoru nie ma kontaktu z Emelie, konsultantką IT, która pomagała zespołowi technicznemu przy tej sprawie. Wszyscy dostaniecie jej zdjęcie. Nie wiemy, czy któryś z tych facetów ją przetrzymuje, czy wykupiła last minute na Majorce, ale wszyscy powinniśmy brać pod uwagę możliwość, że jest przetrzymywana. Dobrze?

Zgromadzeni pokiwali głowami. Teraz moja kolej.

– Zeszłego lata też tutaj stałam, żeby wyruszyć z oddziałem interwencyjnym, który miał zatrzymać sprawcę. Wtedy mieliśmy zgarnąć seryjnego gwałciiciela i mordercę. Wydawał się nieporównanie bardziej niebezpieczny niż tych dwóch typów. Mam rację? Prawda jest jednak bardziej skomplikowana. Seryjny morderca był psychopatą, nie umiał odczuwać strachu tak jak my, lecz to czyniło go chłodnym i wyrachowanym, dzięki czemu zachowywał się logicznie i do pewnego stopnia przewidywalnie. Ci kolesie nie są psychopatami, nawet jeśli jeden z nich, Eric Björck,

wyduje się brutalny i ma psychopatyczne skłonności. To mniej więcej zwyczajni faceci. Żądni podziwu, zuchwali, bezwzględni, owszem. Lecz także śmiertelnie przestraszeni, zdenerwowani, a niekiedy dręczeni wyrzutami sumienia. Mają znacznie więcej do stracenia. Nie tylko ogromne sumy pieniędzy, które prawdopodobnie wyprowadzili z Lindsteina, ale też normalne życie, fasadę. Rodziny. Uznanie społeczne. Nie postrzegają samych siebie jako przestępców. Niezwykle trudno przygotować was na to, jak ci mężczyźni zareagują i się zachowają. Musicie być świadomi, że zachodzi ryzyko samobójstwa, ucieczki, a może nawet ataku w obronie własnej, wiem jednak, że już wiele razy wcześniej mieliście z tym do czynienia. Pamiętajcie też, że ich potencjalne dziewczyny prawdopodobnie nie wiedzą nic o tym, czym zajmowali się ci kolesie, więc zdecydowanie mogą utrudniać nam działania.

Policjanci znowu pokiwali głowami.

– Ja jadę z zespołem, który zatrzymuje Erica Björcka, a Mattias z zespołem Johana Anderssona. Jesteśmy do waszej dyspozycji w sprawie dokładniejszego profilu każdego ze sprawców, jeśli chcielibyście go mieć.

Po kolejnych dziesięciu minutach uzgodnień zeszliśmy do policyjnego garażu. Wsiadliśmy do minibusa, którego prowadził Predde. Na zewnątrz wóz wyglądał jak samochód jakiejś firmy budowlanej z Brommy, miał nawet zgryzmołoną karoserię i stare bilety parkingowe. Zrobiło się już ciemno, gdy parkowaliśmy na nabrzeżu w okolicy nowo wybudowanego kompleksu mieszkaniowego w Liljeholmen. Woda lśniła w blasku samochodowych reflektorów. Gdy Predde je zgasił, morze stało się całkowicie czarne. Po drugiej stronie zatoki świeciło się w parku Tantolunden. Most kolejowy naprzeciwko nas, który łączył Liljeholmen i Södermalm, wyglądał potężnie i złowieszczo. Czekaliśmy na zielone światło, żeby wejść.

– Kawy? – spytał Predde, potrząsając termosem. Jego szerokie ramiona zajmowały większą część kabiny. Miał krótko przycięte włosy i przyjazną twarz.

– Chętnie – odpowiedziałam.

– Ta sprawa musi być niesamowicie ciekawa. Co prawda dołączyłem dopiero pod koniec, więc może dobrze jej nie śledziłem, ale to wszystko wydaje się jakieś nienormalne.

– Tak, wiem. Strasznie trudno zrozumieć, że zbrodnie może popełnić wspólnie cała grupa. – Wzięłam z wdzięcznością plastikowy kubek z parującą, gorącą kawą.

– Cóż, akurat to nie tak trudno mi zrozumieć. – Podmuchał kawę i popatrzył na mnie z poważną miną. – Sam kiedyś się staczałem po równi pochyłej do tego bagna. – Milczał przez chwilę. Spoglądał na wodę. Po chwili zaczął mówić dalej:

– Byłem w Bośni. Robiliśmy się coraz bardziej chamscy. Coraz bardziej chojrakowaliśmy. Coraz bardziej odpływaliśmy. Nasz stosunek do ludzi był naprawdę godny pogardy.

– Czy dokonywaliście...? – Nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

– Nie, żadnego takiego cholerstwa nie robiliśmy, ale to był tylko łut szczęścia. – Pokręcił głową. – Pewnego dnia świetny dowódca, miał na imię Bosse, usłyszał, jak rozmawiamy, wszedł do nas i spytał, czy siebie słyszymy, czy naprawdę rozumiemy, co mówimy. Był pierwszą osobą, która dała radę i odważyła się zwrócić nam uwagę. Wszystko się wtedy zmieniło.

Pokiwałam głową i odwróciłam się do niego, na ile tylko pozwalało mi wnętrze samochodu.

– To przerażające, jak łatwo zwykli ludzie całkowicie tracą rozeznanie, kiedy stają się anonimowi, a normy się odzruca. Jest bardzo interesujący badacz, który sporo na ten temat napisał. Nazywa się Philip Zimbardo.

– Wiem. Świetne jest jego badanie poświęcone torturom w Abu Ghurajb. Prowadziłem dla swoich chłopaków warsztaty z jego materiałami.

Zauważył moje zaskoczenie i się zaśmiał.

– To chyba nie takie dziwne! Moim zdaniem to diabelnie ważne.

– Wiesz co? Bardzo ciekawie byłoby przeprowadzić z wami warsztaty. Mogłabym dodać od siebie więcej spostrzeżeń dotyczących sposobu myślenia sprawców.

– To naprawdę dobry pomysł. A gdybyśmy tak...

Przerwał nam sygnał telefonu. Wszystko było gotowe. Predde dał mi kluczyki, zapewnił mnie, że dokończymy rozmowę przy okazji, i wysiadł z samochodu. Czekałam, kiedy on i reszta wchodziłi do środka i zakładali kajdanki Ericowi Björckowi. Przyglądałam mu się uważnie, gdy wsadzali go do pomalowanego radiowozu, który dołączył do naszej budowlanej furgonetki tuż po tym, jak oddział interwencyjny zgłosił, że sprawca jest ujęty. Eric Björck był wysoki, muskularny i rozwścieczony. Żeby wsadzić go do radiowozu, trzeba było całej pokaźnej postury Preddego i jeszcze dwóch chłopaków. Predde wsadził głowę do samochodu.

– Nie ma zakładników.

– W porządku. Dostałeś meldunek od drugiej grupy?

Skinął głową.

– Tam też nie.

Zebrało mi się na płacz. Coś tu się nie zgadzało. Czy Emelie już nie żyje? Ale skoro tak, to gdzie jest, gdzie jest jej ciało? Potarłam dłońmi policzki. Próbowałam myśleć jasno i analitycznie. Zachowanie profesjonalizmu to mój psi obowiązek wobec Emelie. Tylko w ten sposób mogłam jej pomóc. Przez całą drogę na komendę mój mózg pracował na wysokich obrotach. Przycisnęłam Preddego, żeby w najdrobniejszych szczegółach opowiedział mi, jak zareagował Eric, kiedy wkroczyli do mieszkania. Musiałam przyznać, że w jego zachowaniu nie było niczego podejrzanego.

Na komendzie na Kungsholmen zrobiłam sobie jeszcze jeden duży kubek kawy i usiadłam przed lustrem weneckim pokoju przesłuchań z czerwonym notatnikiem i telefonem komórkowym na kolanach. Mieliliśmy natychmiast rozpocząć krótkie przesłuchania. Spodziewałam się, że pierwsze dużo zdradzi na temat relacji między mężczyznami. Będzie je prowadzić Rickard. Zgodnie z moimi zdecydowanymi zaleceniami na pierwszy ogień poszedł Johan Andersson. To o nim wiedzieliśmy najmniej. Z wyglądu zupełnie zwyczajny facet. Brązowe włosy. Kolczyk w nosie. Brzydka cera. Niektórzy kolesie z kolczykami rzeczywiście wyglądali całkiem fajnie, a niektórzy tak, jakby naprawdę chcieli wyglądać fajnie. Kolczyk Johana Anderssona w nosie kojarzył mi się bardziej z krową niż z jakimś zagrożeniem. Notowałam jego zachowania i reakcje na słowa Rickarda. Ten koleś zacznie mówić w każdej chwili. To dobrze, mielibyśmy dwa źródła, moglibyśmy porównać przekazane informacje i łatwiej odkryć kłamstwa. Raz na jakiś czas przerywałam notowanie i dzwoniłam na komórkę Emelie. Czułam, że skurcz w brzuchu przybiera na sile.

Teraz miał zostać przesłuchany Eric. Był rozwścieczony. Predde wprowadził go do pokoju i położył mu rękę na ramieniu, aby ten usiadł. Eric strząsnął ją i zajął miejsce, rzucając Preddemu pogardliwe spojrzenie. Ten nie dał po sobie nic poznać. Stał tylko w rogu, skrzyżował ramiona i oparł się o ścianę.

– Nie mam zamiaru pisać ani jednego pieprzonego słowa, dopóki nie przyjedzie mój adwokat. Nic o tej sprawie nie wiem. Pomyliliście mnie z kimś – warczał Eric.

– Twój adwokat jest w drodze. A do tego czasu mogę cię czymś poczęstować? Kawa, cola? – zapytał Rickard.

Björck odchylił się na krześle. Uśmiechnął się półgębkiem. Jedną rękę położył na oparciu krzesła i wyciągnął długie nogi.

– Naprawdę sądzisz, że za kubek popłuczyn zacznę gadać? Pieprzona menda! – Ostatnie słowo wykrzyczał.

Widziałam wystarczająco dużo. Zgadzał się z moim wyobrażeniem. Na pewno niedługo zacznie mówić, ale spróbuje zrzucić z siebie winę i zmieniać zeznania, a przy tym będzie stale niemiły. Na tym etapie mogliśmy go jeszcze zignorować. Teraz musieliśmy przede wszystkim znaleźć Hesslowa i Emelie. Brzuch bolał mnie tak bardzo, że ledwo wstałam z krzesła. Kiedy weszłam do gabinetu, Mattias wciąż tu był.

– Jeszcze nie poszedłeś do domu? – spytałam.

– Nie, nie mogłem sobie odpuścić. Chciałem dowiedzieć się więcej przed jutrzejszymi przesłuchaniami. – Włosy mu sterczały i przekrzywił mu się krawat. Wyglądał mniej więcej tak, jak ja się czułam.

– Dobra, dasz radę jeszcze kilka godzin?

– Jasne.

Pracowaliśmy przez jakiś czas, gdy Rickard zapukał do drzwi. Podniósł plastikową torebkę.

– Głodni? Mam kiełbaski z puree ziemniaczanym z Sibyli. Niezbyt wyszukane, ale w okolicy tylko to było otwarte.

– Super! – zawołał Mattias.

Zabraliśmy się w trójkę do jedzenia.

– Dobra, a teraz mi pomóż. Co Hesslow zrobił z Emelie i gdzie ją trzyma? Myśl! – powiedziałam po ugryzieniu pierwszego kęsa.

– Wie, że zatrzymaliśmy jego kompanów – rzekł Mattias.

– Jak długo może o tym wiedzieć? – spytał Rickard.

– Zastanówmy się... Odkąd... Kurde! Nie mam pojęcia. Może odkąd Emelie wysłedziła Martina Thompsona? – Było mi niesamowicie trudno skupić myśli.

Wygooglowałam nazwisko Hesslowa, przeczytałam notatki i wyciągnęłam wszystkie wiadomości wysłane do mnie przez Emelie, odkąd to się zaczęło. Rickard porozmawiał z prokuratorem, żeby przyspieszyć otrzymanie zgody na rewizję. Mattias wlepił wzrok w ekran monitora i pisał intensywnie. Ukryłam twarz w dłoniach. Desperacko szukałam jakiegoś pomysłu, jakiegoś drobnego śladu, który by mi podpowiedział, gdzie jest Emelie. Miałam wrażenie, że czas zaczyna gdzieś wyciekać.

– Wiecie co? Mówimy tu o inteligentnym koleś, który w samym mordowaniu tak naprawdę nie znajduje niczego kuszącego. A może wziął Emelie jako zakładniczkę, a nie zabił? – spytał nagle Mattias.

– Tylko po co miały ją brać jako zakładniczkę? – odpowiedział pytaniem Rickard.

– Ma pieniądze, kontakty. Strzelam, że próbuje wyjechać z kraju – odparł Matias.

– Też tak myślę – zgodziłam się.

– Gabriel już poinstruował służby graniczne i policję na Arlandzie, żeby kontrolowali listy pasażerów. Nic to nie dało – odrzekł Rickard. – Ale dopilnuję, żebyśmy sprawdzili parkingi długoterminowe i ruch promowy. – Wziął ostatni kęs kiełbaski i wstał. – Zaraz wracam.

Mattias i ja jedliśmy w milczeniu.

– Znaleźliśmy samochód! Stoi na Benstocken! – Gdy Rickard stanął nagle z powrotem w drzwiach, wysoko podskoczyłam. – Benstocken jest pod Arlandą. Jedziemy – oznajmił i obrócił się na pięcie.

Ruszyłam za nim. Matias wyglądał na niezdecydowanego.

– Zostań tu, proszę, a my zadzwonimy, jak tylko się czegoś dowiemy – obiecałam. Szczerze mówiąc, na Arlandzie na niewiele by się przydał. Skinął głową i usiadł z powrotem.

W drodze na lotnisko przygotowaliśmy się w rozmowie telefonicznej z oddziałem interwencyjnym na ewentualne przejęcie zakładniczki. Chciałam dać im jak najwięcej informacji i wskazówek, bo nie mogłam uczestniczyć w akcji. To było absolutnie wykluczone. Negocjator w takich sytuacjach nigdy nie może mieć osobistych związków ani z ofiarą, ani z napastnikiem. To całkowicie uniemożliwiłoby mu rozsądną ocenę ryzyka. Cztery osoby właśnie przeglądaly listy pasażerów wszystkich lotów, aby sprawdzić, czy nie widnieją tam nazwiska Hesslowa albo Emelie. Nie widniały. Z zawrotną prędkością jechaliśmy na parking długoterminowy Benstocken. Usiłowałam przekonać samą siebie, że nadal jest nadzieja. Że Emelie żyje. Hesslow nie chciał z nią nigdzie lecieć. Nie mogliśmy się z nią skontaktować. Wciąż się nie odzywała. Wiele możliwości nie zostawało. Poczulałam w środku wielką, okropną pustkę. Wydawało mi się, że tonę. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobię bez Emelie. Była moją najlepszą przyjaciółką, odkąd miałyśmy pięć lat. Swoim dobrodusznym sarkazmem i nieograniczoną szczodrością ratowała mnie przede mną samą częściej, niż mogłam zliczyć. Skreśliśmy na duży ogrodzony parking leżący w środku lasu i zatrzymaliśmy się gwałtownie przed recepcją.

– Zaczekam tutaj – powiedziałam i zostałam w samochodzie, podczas gdy Rickard wszedł do budynku, żeby się dowiedzieć, gdzie stoi auto Hesslowa. Oparłam głowę o zagłówek, zamknęłam oczy i zrobiłam jedną z najtrudniejszych rzeczy w całym swoim życiu. Odgrodziłam wszelki smutek, wszelką desperację i wszelkie lzy głęboko wewnątrz i skupiłam się na pracy. Jakkolwiek mała była szansa na znalezienie tu Emelie, nie chciałam, do cholery, spędzić reszty życia z poczuciem, że nie zrobiłam wszystkiego, co w mojej mocy. Po kilku minutach Rickard wskoczył z powrotem na fotel kierowcy, wjechał za barierki i skierował się w róg parkingu. Zatrzymał się przed dużym czarnym bmw. Wysiedliśmy z samochodu. Przez zimny, ostry wiatr nie mogłam oddychać. Zajrzeliśmy przez przyciemniane szyby. Wnętrze samochodu było wysprzątane, sterylne i puste. Zadzwoił telefon. Rickard odbył krótką rozmowę i się rozłączył.

– Przeszukali mieszkanie. Nic.

Oparłam się ciężko o auto i ukryłam twarz w dłoniach. Rickard obszedł samochód i wyłamał zamek bagażnika.

I tam leżała. Jej blond włosy i blada twarz były brudne od krwi. Miała duże rozcięcie na czole oraz siniaki na szyi i ramionach. Jedno oko całkowicie zapuchło. Niektóre paznokcie były wyłamane, a knykcie całe w zadrapaniach. Nie ruszała się.

– Emelie! – Rzuciłam się do przodu i sprawdziłam jej na szyi tętno. Ledwo dało się wyczuć, ale było.

Rickard za moimi plecami dzwonił na pogotowie.

– Pomóż mi ją podnieść. Musi mieć dostęp do powietrza – powiedziałam drżącym głosem.

Ostrożnie ją unieśliśmy. Wiatr jeszcze bardziej się wzmógł. Nie dalibyśmy rady przenieść jej między rzędami aut do recepcji, więc zdecydowaliśmy się położyć ją w samochodzie. Rickard wyważył drzwi i ostrożnie wniósł ją do środka.

– Emi, kochana moja. Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Tak strasznie się cieszę, że cię znaleźliśmy. – Przez cały czas starałam się mówić pewnym głosem, żeby się ocknęła, ale niespecjalnie mi się udało. Płakałam, ciekło mi z nosa i co chwilę łamał mi się głos.

Kiedy ułożyliśmy ją na tylnym siedzeniu, przestała oddychać. Wcisnęłam się do środka i zrobiłam jej sztuczne oddychanie. Po jakimś czasie, który wydawał się wiecznością, duża ręka chwyciła mnie za ramię.

– My się nią zajmimy. Bardzo dobrze się spisałaś. Ale już musisz odpuścić. – Kierowca ambulansu łagodnie, choć ze zdecydowaniem odciągnął mnie od Emelie. Troje sanitariuszy wyniosło ją wspólnie z samochodu i położyło na noszach czekających na zewnątrz. Wnieśli je przez tylne drzwi karetki, a następnie porozmawiali z Rickardem. Bagażnik samochodu był wciąż otwarty. Coś na jego dnie rzuciło mi się w oczy. Karta tarota. Świat. Z przeczytanej książki pamiętałam, że oznacza koniec czegoś złego i początek czegoś dobrego. Zatrzasnęłam drzwi bagażnika. Podszedł do mnie Rickard.

– Jadą do szpitala Karolinska. Zabieramy się za nimi.

Wskoczyliśmy do auta i podążyliśmy za karetką, która zaczęła się już wciskać między rzędy zaparkowanych samochodów.

– Musimy zadzwonić do rodziców Emelie. Masz ich numer? – spytał Rickard, kiedy wyjechaliśmy na autostradę. Wyrzebałam telefon z kieszeni płaszcza.

– Tak, gdzieś tu powinien być. Mieszkają w Vaxholm... – Odczytałam mu numer.

– Okej, mamy tam teraz jeden zespół, mogą ich zabrać. – Włączyłam zestaw głośnomówiący i zadzwoniłam do policjantów, którzy przeprowadzali przeszukanie w domku letniskowym w Vaxholm, a potem do rodziców Emelie i poinformowałam ich, co się stało i że po nich przyjadą.

– A jak ty się czujesz? – spytał, gdy już się rozłączył.

– Dobrze. Tak mi się wydaje. Nie wiem – odpowiedziałam i wytarłam dłonią łzy spływające mi po policzku. Trzęsłam się na całym ciele i nie mogłam myśleć o niczym innym niż o ciężko poturbowanej twarzy Emelie. Musi być dobrze, Emelie musi przeżyć. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, że będzie inaczej.

Rickard pogłaskał mnie po ramieniu i odebrał telefon, który zadzwonił po raz kolejny. To był Gabriel. Z samochodowego głośnika dosłownie krzyczał:

– Mamy Hesslowa!

– Super, gdzie go znaleźliście? – spytał Rickard.

– Tova, nasza wspaniała Tova, która wie wszystko o bazach danych, zestawiała samochody wszystkich zatrzymanych typów z samochodami zarejestrowanymi w ostatnim czasie na parkingach długoterminowych. Fredrik Hesslow zostawił swoje auto na Benstocken, a godzinę później wziął z innego parkingu zarejestrowane na Erica Björcka.

– Musieli je tam trzymać na wszelki wypadek.

– Owszem. Stało tam przez trzy tygodnie. Samochód i Hesslowa znaleźliśmy w drodze do Oslo. A teraz jest w drodze do aresztu.

– Wszyscy zrobiliście kawał fantastycznej roboty! Przekaż Towie wyrazy uznania. Przyjadę do Kryminalnego, jak tylko podwiozę Altheę do szpitala.

– Rickard, obiecaj mi, że będę mogła go jutro przesłuchać – poprosiłam.

– Oczywiście, bez ciebie dalej byśmy polowali na szalonego seryjnego mordercę. Jutro jest twój!

Zamknęłam oczy, odchyliłam głowę na zagłówek i uśmiechnęłam się do siebie.

Kiedy dotarliśmy do szpitala, dostaliśmy wiadomość, że Emelie jest w trakcie badań. Rickard wytrzasnął skądś krzesła dla mnie i rodziców Emelie, którzy właśnie przyszli. Wśród tego całego niepokoju i płaczu coś do mnie dotarło – nie wiedziałam, co ja bym bez niego zrobiła. Był bez wątpienia jednym z absolutnie najcudowniejszych mężczyzn na świecie. Pojechał do Wydziału Kryminalnego, a ja zasnęłam na niewygodnym krześle i obudziłam się, dopiero gdy podszedł do nas lekarz.

– Emelie została bardzo ciężko pobita za pomocą jakiegoś ciężkiego narzędzia. Ale miała nieprawdopodobne szczęście. Powrót do zdrowia zajmie jej trochę czasu, jednak wyjdzie z tego praktycznie bez szwanku. Jeśli chcecie, możecie teraz do niej na chwilę zajrzeć.

Zaczęliśmy się ścisnąć na korytarzu. Najpierw weszli do środka rodzice Emelie, a po nich ja.

Przez częściowo zasłonięte żaluzje do pokoju wpadało słońce. Gdy tak leżała, wyglądała na bardzo malutką, dookoła zaś znajdowały się stojaki na kroplówkę i mnóstwo przyrządów, których przeznaczenia nie znałam. Miała obandażowaną głowę, a jej twarz była granatowo-fioletowa od siniaków i w połowie zapuchnięta. Zauważyła, że się wzdrygnęłam.

– Ty też nie wyglądasz jakoś szalowo! – Podciągnęła w górę kącik ust.

Pewnie w tej chwili był to najszerszy uśmiech, na jaki mogła sobie pozwolić. Usiadłam na brzegu łóżka i chwyciłam jej dłoń.

– W co ja cię wciągnęłam? Przepraszam.

– W co takiego mnie wciągnęłaś? To ja się przecież do ciebie zwróciłam, prawda? Nie wiem, jak mogłam być tak cholernie tępa. Jak mogłam pozwolić, żeby mnie tak oszukał?

– Mnie też oszukał, Emelie, wszystkich oszukał.

– Ty przynajmniej nie próbowałaś zaciągnąć go do łóżka – odparła ponuro.

Domyślałam się, że zajmie jej trochę czasu, zanim będzie w stanie sobie samej to wybaczyć.

– Jadę do domu wziąć prysznic i doprowadzić się do porządku. Wrócę za jakiś czas. Mam coś przywieźć?

– Tak, moją pizamę, kilka dobrych książek i masę czekolady.

– Zrobi się.

Spojrzała na mnie.

– Gdybyś mnie nie znalazła... Uratowałaś mi życie. Dziękuję.

– Nie ma za co. Nie mam pojęcia, ile razy ty uratowałaś mnie. Najwyższy czas, żebym się trochę odwdzięczyła.

Ale co się właściwie stało? Dasz radę opowiedzieć?

Emelie się zaśmiała.

– Fredrik zaprosił mnie na drinka. Powiedział, że chce zakopać między mną a bankiem topór wojenny. Flirtowaliśmy jak wariaci, a potem poszliśmy do niego. I tam całkiem odpłynęłam. – Westchnęła ciężko. – Chyba dosypał mi czegoś do drinka. Kiedy się obudziłam, próbował mnie przekonać, żebym pojechała z nim Nicei, nic nikomu nie mówiąc. W podróż dla zakochanych, jak się wyraził. Kiedy się nie zgodziłam, wpadł w szał. W ruch poszedł kij bejsbolowy i co to tam jeszcze było. – Po policzkach płynęły jej łzy.

Objęłam ją i tak siedziałyśmy. Długo, długo, długo.

Wpatrywałam się we Fredrika Hesslowa przez szybę pokoju przesłuchań, masując swój zeszywniały, obolały kark. Potem chciałam jechać do domu i spać przez cały tydzień. Obok mnie stanął Mattias. Poklepałam go po ramieniu.

– Dzięki za wczoraj, dobra robota. Czy kompletnie cię odstraszyłam od kariery profilerka? Byłbyś w tym naprawdę świetny.

Mattias lekko się zaczerwienił. Uśmiechnął się do mnie.

– Właściwie chciałbym przy tym zostać. Chociaż nie do końca wiem jak.

– Obiecuję, że się odezwę, jak tylko coś się pojawi.

– Byłoby super! Słuchaj, muszę już lecieć, ale mógłbym do ciebie zadzwonić, gdybym potrzebował pomocy podczas pisania pracy o tej sprawie?

– Jasne, dzwoń. Poza tym chętnie ją przeczytam, jak już będzie gotowa.

Lekko go uściśnęłam, co skrepowało go jeszcze bardziej, pożegnałam się i odwróciłam się z powrotem do okna.

Za prostym stołem Fredrik wyglądał jak nie na swoim miejscu. Jak postać z naprawdę mrocznej historii autorstwa Clive’a Barkera. Może z *Księgi krwi*. Blond włosy były rozpuszczone i opadały na ramiona. Nosił czarny obcisły T-shirt z białym nadrukiem *Come to the dark side – we have cookies*, czyli „Przejdź na ciemną stronę mocy – zapraszamy na ciasteczka”. Na lewym przedramieniu miał takie same kolczyki podskórne jak Peter Lilja na twarzy – metalowe krążki przylegające do skóry. Na ramieniu, pod krawędzią koszulki, mignął mi tatuaż, jaki widziałam na ręce Petera Lilji. Litera „U” i „W” z przecinającym je mieczem. Urban Warriors – nazwa, którą już dobrze znałam. To nie do końca ten Fredrik Hesslow, którego zazwyczaj widywałam. Mimo to byłam przygotowana – sporo o nim poczytałam. Kiedy siedziałam w szpitalu, Gabriel, Tova i reszta zespołu zdążyli sporządzić jego dość obszerny życiorys. Na jego podstawie ustaliłam taktykę – będę święcie oburzona i nieco przestraszona, chociaż dobrze to ukryję. Mimowolnie pod wrażeniem. Sceptyczna. Dam mu publiczność, którą chciał mieć. Rozpięłam jeszcze jeden guzik koszuli i bardziej ją rozsunęłam. Blizna biegnąca po szyi dodatkowo podkreśli, jaka jestem nieszkodliwa. Weszłam z ramionami skrzyżowanymi na piersi i usiadłam naprzeciwko niego.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Mrużył jasne oczy, patrząc na mnie z lekkim rozbawieniem.

– Dlaczego? Dlaczego! Głupie pytanie. Dlatego że mogłem. Dlatego że mój zespół jest inteligentniejszy niż większość nieudaczników chodzących po ziemi. Przecież wszyscy chcą zarabiać pieniądze. Wszyscy próbują zdobyć przewagę nad innymi. Kombinują przy podatkach, a sprzętatkę zatrudniają nielegalnie. Cieszą się, kiedy sąsiadowi powinie się noga. Cały ten świat wypełniają egoistyczne drapieżniki. Różnica polega tylko na tym, że my jesteśmy mądrzejsi, odważniejsi. Najgorsza rzecz, którą robi większość ludzi, to praca na czarno, nie mają odwagi posunąć się dalej. Ale my, my robimy dokładnie to, co chcemy.

Jego spojrzenie mówiło mi, że naprawdę tak uważa.

– Robiliśmy. Już koniec – odpowiedziałam.

Zaczął chichotać, a po chwili wybuchnął głośnym śmiechem.

– Koniec! A według ciebie jakim cudem? Nie macie na mnie zupełnie nic. Ta sprawa nigdy nie trafi do sądu, Althea. A ty weź tę pracę w Nowym Jorku. Tu ci się raczej średnio powiedzie. – Odchylił się na oparcie i pobujał na krześle. Na chwilę zaskoczył mnie jego komentarz, ale potem przypomniałam sobie, że już od dłuższego czasu miał dostęp do mojej poczty.

– Pieniądze mogę zrozumieć, ale morderstwa? Nic z tego, co mówisz, nie pasuje do zbrodni. One was tylko upodabniają do zwierząt. Nieokrzesanych zwierząt. Myślałam, że chcecie czegoś więcej.

– Co ty o tym wiesz? Żyjemy według własnych reguł.

Wielkie ego. I niestety równie wielka inteligencja. Nadal nie skłoniłam go do żadnego wyznania, które byłoby wystarczająco konkretne do podtrzymania podczas procesu. Czas się wycofać i zacząć od nowa.

– Od jak dawna tworzycie zespół?

– Od zawsze.

- Jak wybierałeś członków?
- Osobiście, każdego z nich.
- A mimo to znalazł się jeden, który postanowił sypać.
- Nie zawsze można zapanować nad uczuciami, wiesz coś chyba na ten temat? Prawda? Jak to właściwie jest z tym twoim związkiem, wolno się pieprzyć w tym miejscu z kolegami z pracy?
- Au... Trafiał, ale udało mi się stłumić reakcję.
- Najwidoczniej spodobało ci się czytanie moich e-maili. W przeciwieństwie do ciebie mam bardzo niewiele tajemnic, które bałabym się wyjawić, jeśli w ogóle jakiegokolwiek. A jak z twoimi? Ojciec na sfigowanej rencie? Matka, która miała wobec ciebie tak wysokie oczekiwania, że cały czas kłamała, próbując przekonać ludzi, że jesteście bogaci?
- Na jego skroni zaczęła pulsować wielka żyła. Był zły.
- Mam gdzieś to, co mówi o mnie jakaś psycholka. Koledzy z pracy wiedzą, że masz świra?
- Sytuacja przybrała nowy obrót. Pojedynek na trupy w szafie. Nie miał szans. Przez wiele długich lat chodziłam na terapię i nie miałam ani jednej tajemnicy, która nie zostałaby wywleczona, rozłożona na czynniki pierwsze i przeanalizowana. Super, że w końcu miałam z tych wszystkich godzin jakiś pożytek.
- Że mam zaburzenia obsesyjno-kompulsywne? Nie, ale jeśli chcesz poznać prawdziwą tajemnicę, to dzięki natrętnym myślom jestem w tym lepsza, niż myślisz. W ten sposób lepiej rozumiem takich prymitywnych morderców jak ty.
- Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Nigdy nie miałabyś odwagi, żeby zabić. Nigdy tego nie zrozumiesz.
- Spróbuj. Dlaczego zbłąźniliście się w banku tak bardzo, że musieliście mordować ludzi, skoro jesteście niby tacy inteligentni?
- Pontus nie wiedział, co jest dla niego najlepsze. Gdyby tylko umiał trzymać głowę na kłódkę, teraz by żył i był bogaty.
- A więc to nie twoja wina.
- Musieliśmy go usunąć. Nie miałem zamiaru pozwolić, żeby taka miernota rozwalila całą naszą organizację.
- „Usunąć”. Co to za tchórzliwe eufemizmy? Zamordowałeś go. To żalosne, że nawet nie masz odwagi tego przyznać.
- Nie jestem tchórzem, do cholery, ale to nie ja zabiłem Pontusa, tylko Björck, ten pieprzony świr.
- Nie, oczywiście, ty się pewnie nawet boisz wziąć broń do ręki. Skłoniłeś też pewnie Björcka to zastrzelenia Daniela van der See i pozostałych.
- Daniela van der See zabiłem sam. Nie było to takie cholernie trudne.
- No nieźle. Co za bohater.
- Wstałam i wyszłam. Dostałam już to, czego potrzebowałam.

Spojrzałam na swoich słuchaczy. Dziesięć osób wokół białego stołu konferencyjnego o owalnym kształcie. Za nimi i za dużymi oknami migotały kanciaste fasady Manhattanu. Minął tydzień, odkąd przesłuchiwałam Hesslowa. Umówiłam się na spotkanie z Raymondem Kellym z nowojorskiej policji, który zaproponował mi pracę. Poza tym ustaliłam z Tomem, że przedstawię Modusowi Operandi zakończoną już dla mnie sprawę Fredrika Hesslowa i jego kompanów. Teraz, kiedy stałam przed moimi dawnymi kolegami z pracy, poczułam ukłucie tęsknoty. Tęsknoty za naszym koleżeństwem i wspólnotą. Tęsknoty za pracą z Tomem, który tak wiele mnie nauczył. Gdy sobie uświadomiłam, że to odeszło na zawsze, tęsknota przerodziła się w smutek. Nie mogłam wrócić do Modusa i Toma. Na przeszkodzie stała noc spędzona na jego biurowej sofie. Na przeszkodzie stał napad, który miałam za sobą. Przełknęłam ślinę i odsunęłam od siebie te myśli. Przyszłam tu wykonywać pracę.

– Chciałabym zacząć od podziękowania, że mogę tu dziś być. Sporządziłam szczegółową analizę osoby, o której zaraz opowiem. Analiza opiera się na wywiadach z nim, z członkami grupy, której był przywódcą, nauczycielami ze szkoły, niektórymi z jego obecnych współpracowników, a także z matką. – Kliknęłam pierwsze zdjęcie z prezentacji. – Fredrik Hesslow dorastał w Sigtunie niedaleko na północ od Sztokholmu. Ojcu przyznano rentę na podstawie sfałszowanych dokumentów. Był robotnikiem drogowym, lecz udało mu się wyłudzić świadczenie, gdy Fredrik miał pięć lat. Kiedy zaś skończył piętnaście, jego ojciec został zdemaskowany i skazany na karę grzywny. Po tym wydarzeniu dostawał zasiłek dla bezrobotnych aż do śmieci na raka trzy lata temu, co ponadto trzeba postrzegać jako bezpośredni czynnik popełniania zbrodni. Fredrik żywił do ojca głęboką pogardę, ale jednocześnie obwinił państwo, które nie zapewniło mu potrzebnego wsparcia. Uważam, że jego wczesne doświadczenia dotyczące życia ojca przyczyniły się do fiksacji na punkcie szacunku i wysokiego statusu. Poczucie, że społeczeństwo nie wsparło ojca, także przyczyniło się do jego przekonania, że w legalny sposób nie można osiągnąć sukcesu.

Matka utwierdzała go w tym zachowaniu, robiąc wszystko, aby zapewnić rodzinie odpowiedni status. Przez całe jego dzieciństwo usiłowała sprawiać pozory, że mają więcej pieniędzy niż w rzeczywistości. Kłamała, że syn chodzi do bardziej prestiżowych szkół, ona ma lepszą pracę i tak dalej. W szkole średniej Fredrik poznał pozostałych chłopaków, którzy należeli do grupy Urban Warriors. Stworzyli klub i szybko okazali się bardzo zdolnymi komputerowcami. Grupa ma dwa skrzydła – Johan Andersson i Martin Thompson, którzy są naprawdę dobrymi hakerami, a na poziomie społecznym korzystali z ochrony drugiego skrzydła grupy – Erica Björcka i Petera Lilji, atletycznych sportowców z sukcesami. Ta dwójka i Fredrik Hesslow należeli do jednej drużyny paintballa i to stąd czerpali do swoich działań militarne elementy. Wszyscy to też bardzo utalentowani gracze. Wygrywali liczne turnieje, między innymi Counter-Strike’a. Grupa jest niezwykle solidarna i jednorodna. Przyjęli podobny strój.

Wyświetliłam ich fotografie – Fredrik Hesslow pośrodku, a wszyscy ubrani w tym samym częściowo wojskowym, częściowo futurystycznym stylu.

– Czy gry komputerowe i uprawianie paintballa wywarły decydujący wpływ na ich zachowanie? – spytał Tom.

– Nie, tego bym nie powiedziała. Ich jedyną motywację stanowiły władza i pieniądze. Kultura cyberpunkowa to tylko sposób, aby zamaskować prawdziwą potrzebę i uczynić ją bardziej atrakcyjną, fajniejszą i bardziej romantyczną. To pozory, po prostu. Mordowaliby i kradli pieniądze, nawet gdyby grali w szachy czy piłkę nożną. Istnieje wielu badaczy, którzy podzielają ten pogląd w przypadku podobnych spraw.

– Jakim typem lidera był Fredrik? – spytała Marjory, jedna z moich dawnych koleżanek.

– Fredrik pełnił funkcję ich przywódcy przede wszystkim dlatego, że jest bardzo charyzmatyczny. To on miał największą zdolność wtapiania się w społeczeństwo. Kiedy spotkałam go po raz pierwszy, wyglądał tak. – Wyświetliłam kolejną fotografię Fredrika, tym razem przedstawiającą, jak wyglądał w banku. – Rozwijał udaną karierę kontrolera w banku Lindstein.

– Czy to bank, z którego wyprowadzali pieniądze? – spytał Tom.

– Tak, grupa korzystała ze stanowiska Hesslowa. To on utworzył w systemie informatycznym konto użytkownika o nazwie „Case”, które zapewniło Martinowi i Johanowi swobodny dostęp do całego systemu bankowego. W związku z tym Hesslow był także zleceniodawcą specjalistki banku do spraw bezpieczeństwa, czyli mojej przyjaciółki Emelie, mógł kontrolować, jakie informacje posiadała. Kiedy operator systemu bankowego Pontus Olsson

zwrócił się do niego i poinformował, że odkrył fałszywe konto, nie wiedząc, kto za nim stoi, Fredrik postanowił go usunąć.

Wypiłam ze szklanki łyk wody.

– Wtedy grupa dokonała wspólnie czegoś, co uważali za zbrodnię doskonałą. Stworzyli postać w celu odciążenia uwagi od banku. Policja miała albo uznać ją tylko za seryjnego mordercę i całkowicie stracić z oczu powiązanie z bankiem, albo przynajmniej szukać tylko jednego sprawcy – hakera i mordercy w jednej osobie. Co też do końca robiliśmy. Interesującym szczegółem na tym tle, który potwierdza moją analizę ich osobowości, jest porwanie przez Fredrika Hesslowa w ostatnim akcie desperacji Emelie jako zakładniczki. Najpierw próbował ją zwieść, aby dobrowolnie wyjechała z nim za granicę, twierdząc, że chce się z nią związać. Kiedy odmówiła, ciężko ją pobił i zostawił w bagażniku samochodu. To wskazuje na jego ludzkie odruchy i brak skłonności psychopatycznych. Nie mógł się zdobyć na jej zamordowanie, więc umieścił ją w bagażniku samochodu, bo wiedział, że go znajdziemy. Gdyby porzucił ją w gdzieś w lesie, nie znaleźlibyśmy jej na czas. – Kiedy wypowiedziałam ostatnie słowa, mimowolnie się wzdrygnęłam.

– Fascynujący przypadek. – Tom odchylił się na krześle. – Sądzę, że w przyszłości coraz częściej będziemy odnotowywać tego rodzaju grupy, ponieważ ludzie szukają nowych form zapewniania sobie bezpieczeństwa. – Wstał i uściśnął mi dłoń. – Wielkie dzięki, że zechciałaś udokumentować dla nas tę sprawę. Teraz tylko czekamy na twój powrót i ponownie rozpoczęcie z nami współpracy. Jesteś zawsze mile widziana, wiesz o tym.

– Dziękuję – odpowiedziałam, pozbierałam swoje papiery, pożegnałam się ze wszystkimi i opuściłam te pokoje, zanim zdążyłabym zmienić zdanie i od ręki przyjąć jego propozycję.

Już na chodniku spojrzałam na zegarek. Miałam pół godziny do spotkania z Raymondem Kellym z Departamentu Policji Nowego Jorku. Dobrze. Przespacerowałam się szybko do bardzo szczególnego miejsca – najbliższego Starbucksa. Ich kawa była jedną z bardzo niewielu rzeczy w Ameryce, za którymi naprawdę tęskniłam. Znalazłam swojego Starbucksa, do którego chodziłam i w którym naprawdę się rozkoszowałam udawaną atmosferą przytulnej studenckiej knajpki. Kupiłam grande latte i niespiesznie usadowiłam się przy stoliku pod oknem w niewiarygodnie głębokim i mocno wypchanym fotelu obitym materiałem. Właśnie w tym miejscu przesiedziałam tak wiele godzin. Przede wszystkim z Andream i Sandrą, moimi dwiema najlepszymi przyjaciółkami, z którymi przez ostatnie dwa lata nawet mieszkaliśmy tu, na Manhattanie, zanim wróciłam do Sztokholmu. Przyleciałam tu wcześniej tylko po to, żeby zdążyć się z nimi spotkać. Wczoraj miałyśmy przecudowny babski wieczór uświetniony Cosmopolitanami, a poprzedzony kupowaniem butów. Dawno się tak dobrze nie bawiłam. Byłam tu inną osobą. Młodsza. Znacznie bardziej wyluzowana i kobieca. Łagodniejsza. W sumie w amerykańskim wydaniu lubiłam siebie bardziej. Naprawdę powinnam zabrać trochę tej osobowości do Szwecji, bo mimo wszystko Szwecja to mój dom. To tam chciałam być. Wstałam z fotela i poszłam jeszcze trzy przecznice do siedziby głównej Departamentu Policji Nowego Jorku na Park Row, pijając resztę latte.

Raymond Kelly przyjął mnie w swoim biurze. Za szklaną ścianą płynął nieprzerwany strumień ludzi, z których część była w mundurach, a część w białych fartuchach lub ubraniach cywilnych.

– Jestem bardzo wdzięczny, że poświęciłaś swój czas i przysłałaś – rzekł, kiedy ściskaliśmy sobie dłonie.

– Mogłam zrobić chociaż tyle. Twoja propozycja niesamowicie mi pochlebia.

– A nie musi, bo to z mojej strony tylko zimne wyrachowanie: chcę pracować z najlepszymi. Masz najlepsze referencje, nie tylko od Toma i z Modusa.

Rozmawialiśmy dłuższą chwilę. Raymond szczegółowo opisał mi stanowisko. Powoli, lecz stanowczo podejmowałam decyzję.

– Ta praca wydaje się absolutnie fascynująca, ale niestety muszę odrzucić twoją propozycję. Chciałabym spróbować zrobić karierę jako freelancerka w Sztokholmie.

Raymond wyglądał na zaskoczonego.

– I nie mogę zrobić nic, żebyś zmieniła zdanie?

Pokręciłam głową.

– Niestety nie.

Lekko się uśmiechnął.

– Będę szczerzy. Nie rozumiem tego, ale decyzja należy do ciebie. Pozostaje mi życzyć ci powodzenia w przyszłości. Pamiętaj, żeby się odezwać, gdybyś się jednak zdecydowała.

Podziękowałam mu i wyszłam. Na ulicy wzięłam taksówkę na lotnisko Newark i wróciłam do Sztokholmu.

Na Arlandzie przywitał mnie Rickard z wielkim bukietem tulipanów we wszystkich kolorach tęczy.

– Czym sobie na nie zasłużyłam?

– Cóż, rozwiązałaś sprawę. Dzięki tobie dobrze wypadłem przed dowództwem. Po prostu byłaś sobą. Nie przeprowadziłaś się do Stanów. Tak mniej więcej.

Mocno mnie pocałował.

– Idziemy do auta? Do domku mamy spory kawałek.

– Jasne.

Ruszyliśmy w stronę parkingu.

– Myślisz, że jeśli wleję w twoją mamę wystarczająco dużo wina, to powie, kto jest na tamtym zdjęciu zbiorowego seksu?

Wybuchłam śmiechem.

– Powodzenia. Tylko mi nie mów, jak już się dowiesz!

W samochodzie Rickard rzucił mi na kolana numer „Aftonbladet”.

– Pomyślałem, że spodoba ci się wiadomość dnia – rzekł z uśmiechem.

„Bank Lindstein podejrzany o przestępstwa finansowe. Klienci oszukani na miliony koron”. Na przedniej stronie obok nagłówka umieszczono fotografię wściekłego Carla Lindsteina.

– Cudownie! – wykrzyknęłam. – Kto sypnął?

– Wydaje mi się, że Emelie wykorzystała wspianą szansę stworzoną przez szwedzkie państwo, aby informatorzy gazet pozostawali anonimowi – odparł Rickard.

– Ona jest genialna!

Uśmiechałam się całą drogę do domku.

Stałam na schodach prowadzących na werandę domku letniskowego. Na zewnątrz panowała zupełna cisza. Niebo było całkowicie czarne i czyste. Widziałam miliony jasnych punkcików porozrzucanych po firmamencie. Spostrzegłam nawet Drogę Mleczną. Kiedy tak stałam z twarzą zwróconą ku niebu, ogarnęło mnie zapierające dech, hipnotyczne, magiczne uczucie. Rozkoszowałam się ciszą. Domek wypełniały ruch i gwar. Byli tu mama, tata, Rickard, jego rodzice i Emelie. Świętowaliśmy razem Seollal, koreański nowy rok. Emelie była co najmniej w równym stopniu moją rodziną co pozostali, więc ją też zaprosiłam. Zgodziła się przyjść, ku mojej wielkiej radości. Otworzyły się drzwi i na zewnątrz wyjrzała mama.

– Wracasz już? – spytała.

– Tak, zaraz. Ale wyjdź na moment, jest fantastycznie.

Zamknęły się drzwi, a chwilę później wyszła opatulona po uszy. Długo stałyśmy obok siebie w milczeniu. Objęłam ją ramieniem. Ona objęła mnie.

– Idziemy do środka coś zjeść? – spytałam w końcu.

– Tak, tak, jestem głodna. Ale nie włożysz którejś z tych ślicznych sukienek?

– Nie. Szczerze mówiąc, *umma*, to nie mój styl. A dlaczego ty nie masz którejś na sobie?

– Czuję się w nich jak lalka. Nie można mieć sześćdziesięciu trzech lat i ubierać się jak lalka.

– Trzydziestu trzech też nie. Kocham cię, mamó.

– Ja ciebie też.

Spis treści

Okładka

Tytułowa

Strona redakcyjna

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37